Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

WOLNA SOBOTA

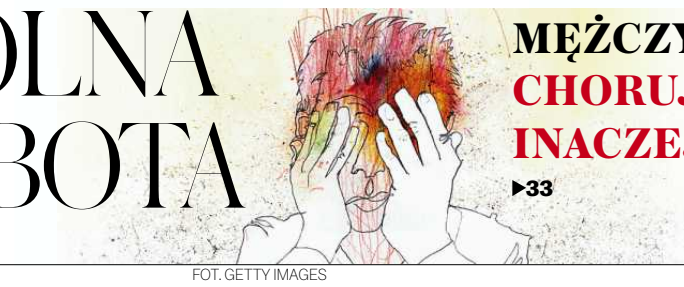

MĘŻCZYŹNI CHORUJĄ INACZEJ
▶33

WYSOKIE OBCASY
Wygodnie
W co się ubierzesz jesienią i zimą

FOT. GETTY IMAGES

GAZETA wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Trzymajcie się!

- CO ZE SOBĄ ZABRALIŚMY – OPOWIADAJĄ URATOWANI
- DLACZEGO LUDZIE NIE UCIEKAJĄ
- KIM BĘDZIEMY, GDY WODA OPADNIE
- UNIA POKAZUJE, ŻE JEST DOBRA

FOT. ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA, nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 38>

Ukraina, poligon sztucznej inteligencji ▶16

Kiedy rozpadnie się rząd Tuska ▶10

Śpiew ptaka zamiast dzwonka na przerwę ▶12

Obóz w Pruszkowie Warszawiaków nie opłaca się rozstrzelać ▶40

Prawa człowieka **Niemiecki chłop łapie za widły** ▶44

wydanie magazynowe – sobota-czwartek, 21-26 września 2024 | Redaktor prowadzący Marek Markowski | Cena gazety 9,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 221.10715, 1 Nakład 89 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 72aacc3640

POWÓDŹ

Woda niszczy ludzki dorobek, zalew sprzecznych narracji niszczy naszą zdolność do racjonalnej dyskusji

Z PSYCHOLOGIEM **PAWŁEM DROŻDZIAKIEM** ROZMAWIA **KRYSTYNA ROMANOWSKA**

KRYSTYNA ROMANOWSKA: Mój znajomy z Lądka Zdroju, który stracił wszystko, powiedział: „Jestem jak Noe, ale bez arki". W uporządkowany, stechnologizowany świat wdarła się realność i prawda.

PAWEŁ DROŹDZIAK: – Kiedy się obserwuje dyskusje o tegorocznej powodzi – nie widać żadnej wspólnej prawdy o niej. Prawda jest już tylko i wyłączne subiektywna.

A w 1997, roku pamiętnej powodzi stulecia, taka prawda obiektywna była?

– Tak. Prawie 30 lat temu różnice w rozumieniu kataklizmu i tego, co się z nim wiąże, mieściły się w granicach typowych różnic w opiniach co do jakiejś skomplikowanej sytuacji. Ludzie się spierali: czy można było zapobiec zalaniu Wrocławia? Może trzeba było zacząć wcześniej ewakuację? Ale to są normalne spory w ramach podobnego w sumie, podstawowego obrazu świata.

Dzisiaj sytuacja jest kompletnie inna. Nie ma żadnej wspólnej narracji co do tego, co się właściwie wydarzyło.

Ale zgoda jest w tym: powodzianom trzeba pomóc.

– Krótkookresowo tak. Ten bardzo wyraźny wspólny odruch doraźnej pomocy jest po prostu naturalny. Ale już w dłuższym okresie pojawią się niemożliwe do pogodzenia różnice, na przykład co do tego, jaka pomoc się należy, z jakich funduszy, komu ile, ile to jest „wystarczająco" i tak dalej.

Jeszcze gorzej będzie z przyczynami i przebiegiem zdarzeń. Już teraz z fascynacją obserwuję kompletny rozpad opinii na ten temat. Rozmowy są podobne do wschodniej powieści o ślepcach i słoniu. Kilku ślepców podeszło do niego i każdy, dotykając go z innej strony, miał zupełnie różną opinię o tym, czym właściwie jest słoń. Czy jest jak szczotka, czy jak skała? Tu jest podobnie. Coś zaszło. Ale co dokładnie? Nie umiemy ustalić.

Poczynając od odpowiedzi na pytanie: czym w ogóle jest powódź?

– Jedni mówią: ta katastrofa jest dowodem globalnego ocieplenia, spełnionym proroctwem, które w sposób oczywisty potwierdza narracje o antropogenicznym wpływie człowieka na klimat. Niektórzy w tej grupie domagają się, aby ludzie myślący inaczej poddali się samokrytyce albo żeby ich wręcz przymusowo skierować do napraw po powodzi i odciąć od mediów społecznościowych, od internetu za to, że wątpili np. w europejskie polityki klimatyczne.

To jedna grupa. Ale zaraz mamy kolejną, która opowiada, że to wszystko nieprawda, jakie tam zmiany klimatyczne, to Czesi celowo trzymali wodę w zbiornikach, aby wywołać suszę, a może i żeby „podtrzymać histerię klimatyczną". Potem wodę puścili i mamy to, co mamy. Przy czym – muszę zastrzec, skoro mamy czasy bezwzględnego etykietowania i uznawania obserwacji, analiz za czyjeś poglądy – nie opowiadam się za żadną z tych historii, po prostu referuję to, co i dlaczego ludzie mówią. Inna więc historia opowiada, że to wszystko wina ekologów, bo „nie chcieli regulować rzek" i blokowali budowę wielkich zbiorników retencyjnych, a zniszczenia udało się ograniczyć tylko dzięki tym, które mieliśmy.

Szuka się też winnych po kluczu politycznym.

– To jasne i akurat niespecjalnie zaskakujące, niezależnie od przemian technologiczno-mentalnych. Hulają dyskusje, jaka partia chciała budować zbiorniki, a jaka była przeciw. Jedni mówią, że PiS chciał, ale PO zablokowało, a inni – że było odwrotnie. Kto chciał budować, a kto blokował? Kto jeździł na protesty, a kto kradł pieniądze?

Ale te standardowe polityczne przepychanki zaraz wchodzą w koleiny wojny kulturowej. „A PiS to, a PO tamto" przechodzi płynnie w opowieść o tym, że winę ponoszą pisowskie Wody Polskie i Lasy Państwowe, które wycinały bez pamięci drzewa, także w górach, przyczyniając się do spadku możliwości małej retencji. Czyli – w tej opowieści – winne są te zbiorniki, duża retencja i budowanie na terenach zalewowych. Gdyby w ogóle nie było żadnych wałów, to woda rozlałaby bezkonfliktowo po pustych pastwiskach i nikomu by to nie wadziło.

Kontrprawda do tej tezy brzmi: takiej ilości wody mała retencja by nie zatrzymała. Poza tym, gdzie ostatecznie nad rzeką można by w ogóle coś zbudować, gdybyśmy faktycznie zrezygnowali z czegoś takiego jak wały? Ile kilometrów od rzek trzeba tego marginesu zostawić? I z tego miejsca wracamy znów do zbiorników, w ślad za nimi do podstępnych Czechów, ani chybi dogadanych z klimatystami.

I tak dalej. Ktoś inny pyta, skąd ta powódź, skoro miała była susza? Odpowiadają mu, że właśnie dlatego powódź, że susza. Nieprzekonany mówi, że w efekcie nie ma takiego wydarzenia, które wstępną tezę obali, skoro każde pasuje. I tak dalej. Tylko że opowiadanie o tym, że skutki powodzi są z powodu ośmiu lat wiadomego złodziejstwa, idą tymczasem o lepsze z opowieścią o potędze żywiołu, który zmiótł miasta w Austrii, Czechach, Rumunii, a nie tylko w Polsce.

Rozjazd opinii i całego obrazu świata, jaki za nimi stoi, jest tak zupełny, że przekracza możliwość rozmowy. Mamy więc dwa kataklizmy. Wodę, która niszczy ludzki dorobek, i zalew sprzecznych narracji, który niszczy naszą zdolność do racjonalnej dyskusji. Ta zupełna nieprzystawalność wykluczających się nawzajem obrazów świata – która zresztą objawia się

Kod dostępu do Wyborcza.pl

C5A17JR

1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny"
3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 21-22.09.2024 r.

eprasa.pl 72aacc3640

15. 09. Lądek-Zdrój. Rzeka Biała Lądecka zalewa miasto

FOT. TOMASZ PIETRZYK/AGENCJA WYBORCZA.PL

NIE JEDEN KATAKLIZM, A DWA

przy każdym kryzysie – jest groźniejsza niż sama powódź.

Właśnie. Obok kataklizmu informacyjnego mamy także inne mechanizmy, które towarzyszą każdej tego rodzaju katastrofach.

– Katastrofa musi mieć twarz. Człowiek musi znać jej przyczynę. Nie ma w jego umyśle pozwolenia na to, aby uznać katastrofę bezprzyczynową. Zawsze należy znaleźć winnego – w przeszłości ludzie składali bogom ofiary przebłagalne albo znajdowali czarownicę, w której zachowaniu upatrywali przyczyn niefortunnego stanu rzeczy. Dzisiaj, jeżeli spotyka nas coś złego, mówimy sobie: „stało się tak, ponieważ wybrałem złą drogę/za późno wracałem/zrobiłem niewłaściwy ruch". Ma to na celu utrzymanie złudzenia, że można uchronić się przed przykrymi zdarzeniami, a w szerszym kontekście – przed katastrofami. Bo naprawdę przerażające są dopiero katastrofy bezprzyczynowe.

To pierwszy poziom. Na drugim – przyprawienie twarzy katastrofie jest wielką okazją do tego, by obarczyć nią tych, których nie lubimy. I grzechem byłoby z tego nie skorzystać. Ludzie przekopują internet, aby znaleźć, kiedy i który z polityków był przeciwko budowaniu zbiorników retencyjnych. Kto podpisał petycję, a kto nie podpisał? Kto blokował, kto – nie? Politycy więc czym prędzej – aby ubiec „kopaczy" – usuwają ze swoich tablic facebookowych informacje o tym. Choć to praca nadaremna, bo w sieci nic nie ginie. Wszyscy czują, że katastrofa musi mieć twarz, więc walczą, by miała twarz ich wroga, a nie ich własną.

Nie ma procedur na czas kataklizmu, nie ma obyczajowości z tym związanej, zasad czy wyuczonych zachowań. Póki „to" się nie zdarzy, człowiek nie wie, co zrobi

W zasadzie zawsze tak było.

– Ale nie do tego stopnia. Przywołam zdarzenie z powodzi w 1997 roku. Oprócz tego, że oskarżono wówczas o zaniechania SLD, pojawił się we Wrocławiu pewien człowiek, założyciel hinduistycznej sekty new age'owej. Oświadczył, że Wrocław został zalany z powodu wizyty papieża w czerwcu tego samego roku. Jak głosił: „złe energie zostawione przez papieża musiały zostać zmyte wielką wodą".

Kilka lat później ten człowiek trafił do zakładu psychiatrycznego, ponieważ zapowiedział wysadzenie Częstochowy w powietrze. W tamtych czasach poziom jego zapamiętałości był uważany za niepokojący objaw psychiczny, a wypowiedzi uznano za kompletnie nieracjonalne. Niestety, słuchając niektórych wypowiedzi okołopowodziowych, mam wrażenie, że poziom odklejenia od rzeczywistości jest zbliżony do tego prezentowanego przez samozwańczego guru prawie 30 lat temu. Tyle, że dziś nikt już nie próbuje nikogo zamykać.

Wróćmy może na poziom jak najbardziej realny. Są bohaterowie: pracownicy jeleniogórskich wodociągów, którzy ocalili wodę pitną dla miasta, strażacy ratujący zwierzęta z takim samym poświęceniem jak ludzi, mieszkańcy Nysy, którzy nie pozwolili na zalanie miejscowości. Niewidomy pan Mirosław układający worki z piaskiem na wałach w Czadrowie. Mamy przykłady ogromnego bohaterstwa i poświecenia. Ale są też doniesienia o kradzieżach czy przekopywaniu wału, aby ratować swoje mienie.

MY TEŻ POMAGAMY GŁUCHOŁAZOM

„Gazeta Wyborcza", Radio Zet, Radio TOK FM, Złote Przeboje, Gazeta.pl, kina Helios łączą siły, by razem pomagać powodzianom. Zbieramy dla zalanych przez Odrę Głuchołazów. Do akcji „Serce dla powodzian" można dołączyć, wysyłając **SMS o treści SERCE pod numer 75 265 (koszt 6,15 zł z VAT)** lub dokonując przelewu na stronie fundacjaradiazet.pl lub bezpośredniej wpłaty na konto: **83 1840 0007 2213 3200 0811 5819**

– Wszystkie ekstremalne wydarzenia są rodzajem egzaminu dla człowieka. Dotykają w nim sfer, których nie potrzebuje odwiedzać, żyjąc w spokojnym świecie. Nie ma procedur na czas kataklizmu, nie ma obyczajowości z tym związanej, zasad czy wyuczonych zachowań. Póki „to" się nie zdarzy, człowiek nie wie, co zrobi. Natomiast w momencie zagrożenia regresuje się do postaci jak najprostszej i podejmuje najprostsze decyzje. Z człowieka wychodzą najgłębsze, dziecięce mechanizmy.

W rezultacie jedni ludzie, chociaż wcale nie są przykładami odwagi, w sytuacji próby robią rzeczy wspaniałe, i po wszystkim zostają z dumą. Inni – stają w obliczu wielkiego wstydu czy niesmaku, bo ich wybór okazał się fatalny. Jeden zostaje bohaterem, drugi – szabrownikiem. Jeden „wszystko przewidział", drugi – „głupotą doprowadził do...". I teraz będzie musiał z tym żyć.

Ale dopóki to wszystko się nie wydarzy, każdy jest przekonany: „będę bohaterem". W czasach względnego spokoju możemy sobie wyobrażać, jak bardzo dzielnymi i pomocnymi osobami jesteśmy, a w chwili dramatycznej próby – możemy odmówić komuś pomocy, uciec, zaniedbać, ukraść. Mówimy wówczas coś w rodzaju: „nie wiem jak to się stało". Zupełnie szczerze – po prostu nie wiedzieliśmy tego o sobie.

Tylko że to zaraz przekłada się na ten wyższy level, publicznych opinii i ocen. W sytuacji dużej mobilizacji i dużego zagrożenia, osądy stają się najprostsze. Ktoś jest absolutnie winny, ktoś inny – absolutnie niewinny. Ktoś jest nosicielem cnót wszelakich, a ktoś inny – Judaszem. Żeby był bohater, musi być antybohater.

Ta polaryzacja jest klasyką zachowań społecznych. Opowieść o katastrofie zawsze jest opowieścią heroiczną, podobną do tej pokazanej w „Titanicu". Są nieskończenie szlachetni i podli. Nic pomiędzy, bo opowieść jest zbyt okropna, a przez to zbyt poruszająca, by niuansować cokolwiek.

Pan też ma swoich prywatnych bohaterów i antybohaterów.

– Mam i muszę powiedzieć, że sam jestem zaskoczony. Jakiś czas temu poddałem mocnej krytyce aktywistów Ostatniego Pokolenia. Krytykę ich działań podtrzymuję, natomiast w kontekście powodzi okazało się, że są zdolni do konstruktywnego, prospołecznego działania. Zrobili najlepszą rzecz, jaką można było – po prostu przyjechali do pracy.

Porównajmy inną grupę młodych ludzi: ogolonych na łyso narodowców, którzy właśnie teraz biegają gdzieś pod granicą białoruską i szukają bliskowschodnich przyjezdnych, którzy – w ich mniemaniu – mają zagrażać jakimś kobietom. Młodzi, silni mężczyźni, zamiast zająć się tym, czym powinni, czyli pracą dla ogółu, biegają grupami po ulicach zafascynowani własną mocą. Tymczasem Ostatnie Pokolenie konstruktywnie działa, pomaga i robi to całkiem bezinteresownie. Wygrywa stuprocentowo. Oczywiście podtrzymując swoją ideową narrację – z którą można się nie zgadzać, tylko jaka jest na tym tle narracja ogolonych głów? Nieważne, ze ludziom odpływają domy, ważne, żeby wszyscy wiedzieli, jacy jesteśmy silni. Wydają się zupełnie nie rozumieć, czego społeczeństwo od mężczyzny w takich wypadkach oczekuje. Za bardzo są skupieni na sobie, by zauważyć, że zupełnie się kompromitują.

Ludzie osiągnęli tak wiele, bo umieją współpracować w grupach. Dlatego w czasie powodzi robimy dokładnie to, do czego jesteśmy bardzo dobrze przygotowani. Tworzą się naturalne procesy społeczne. Widzieliśmy, że z rejonów zamieszkałych przez starszych ludzi płynęły prośby o przyjazd młodych ludzi. Młodych mężczyzn do noszenia ciężkich worów z piaskiem.

Jeżeli technologia zawodzi albo jest deficytowa – a tak dzieje się w podczas katastrof, kiedy brakuje a to sprzętu, a to paliwa, a to w ciężkich warunkach coś nawala – następuje powrót do prastarych zasad. Jeżeli jest 50-kilogramowy worek z piaskiem – wiadomo, co się musi wydarzyć. Będą osoby noszące takie worki i będą inne osoby, które będą szykowały im koce. Co innego będą robiły osoby starsze, co innego kobiety i dzieci.

To jest tak oczywiste, że następnym razem ludzie, po odbyciu dyskusji o zmianach społecznych, mentalnych, obyczajowych, i tak powtórzą ten proces. Odtworzą po prostu pierwotną społeczną strukturę

Nie bez znaczenia jest to, że obrazy powodzi są dostępne w skali kiedyś nieznanej. Przykuwają wzrok całą dobę, nie pozwalają się oderwać. Ale czy robią nam coś jeszcze?

– Przede wszystkim robią to, co robiły zawsze. Hipnotyzują. Jednocześnie fascynują i przerażają. Czy naprawdę woda może unieść domy i samochody? Jest współ-

eprasa.pl 72aacc3640

• 15.09. Rzeka Biała Lądecka wdarła się do centrum Lądka Zdroju

• 18.09. Zalany Lewin Brzeski

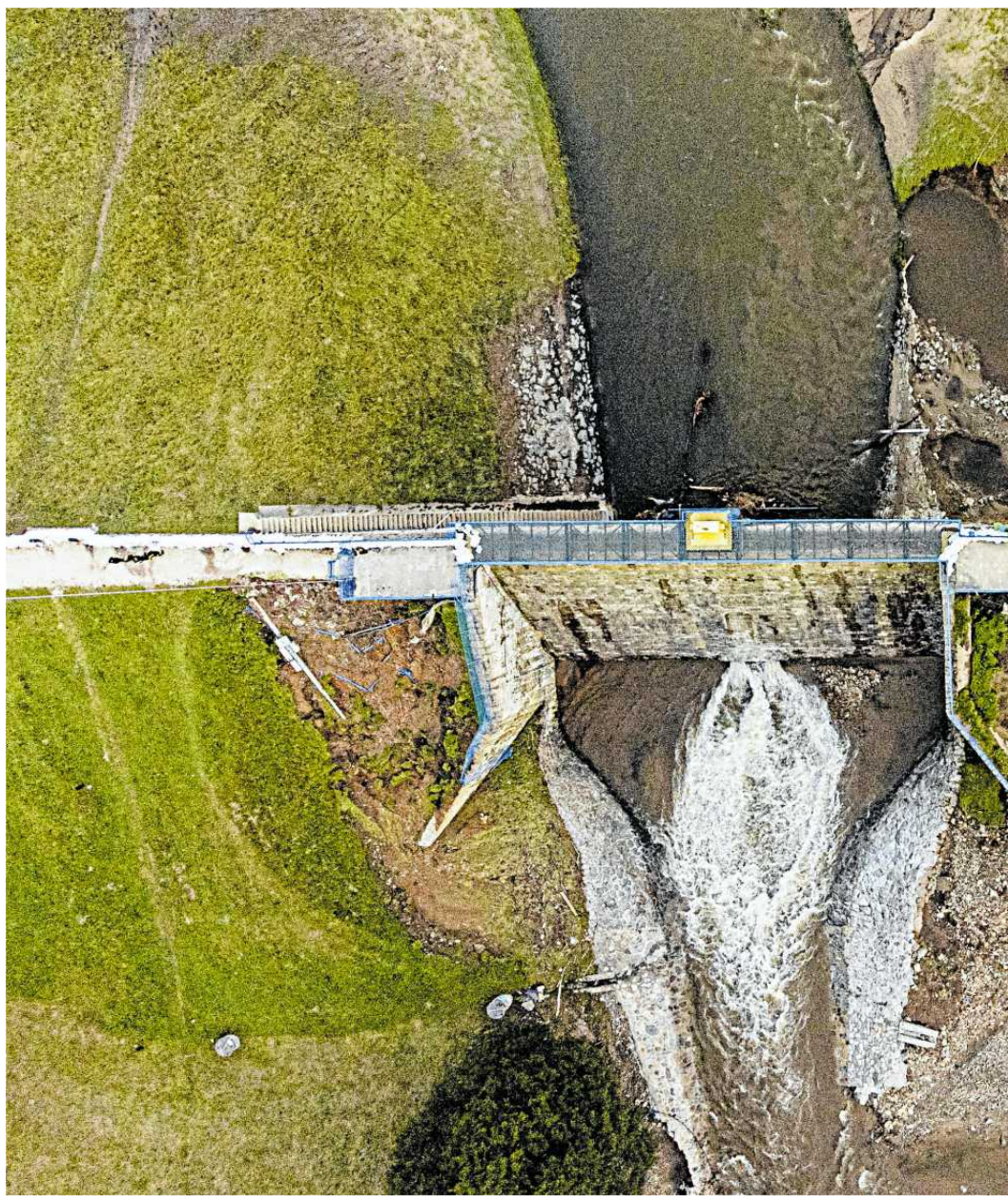

czucie dla ludzi tracących nagle wszystko, ale jest i jakaś fascynacja tą potworną siłą, poza naszym wyobrażeniem.

Różnica między dziś i choćby rokiem 1997 polega na tym, że pojawiła się przestrzeń wirtualna, a w niej z jednej strony napawamy się prawie irracjonalnym widokiem żywiołu w mgnieniu oka niszczącym wszystko dokoła – a drugiej słyszymy histeryczny jazgot o tym, że różne osoby się myliły, źle oceniły, czegoś nie zbudowały, ukradły pieniądze, zaprzeczały globalnemu ociepleniu, nie protestowały albo źle protestowały. Gdzie w tym wszystkim ludzie tam na miejscu? Dopiero co ich dostrzegliśmy, a już obok współczucia dla ofiar budzi się w nas jeszcze jedno uczucie. Pewien rodzaj satysfakcji, że oto „mają za swoje" ci, których obsadziliśmy w roli „winnych". Nieważne czy to będą ekolodzy, przeciwnicy dużej retencji, czy neoliberałowie, którzy nie chcieli retencji małej, ludzie chcący budować się na terenach zalewowych, zwolennicy PiS zaprzeczający globalnemu ociepleniu czy zwolennicy PO, którzy czegoś tam może nie chcieli, choć oni mówią, że przecież zawsze chcieli…

Przeciwnik w takiej sytuacji nigdy cię nie słucha. Patrzy na tę potęgę, ustawia sobie najbardziej nielubianą grupę osób i myśli albo mówi, to co królowa Elżbieta Wielka, kiedy flotę Hiszpanii szykującą się do inwazji została porwana przez sztorm: „Bóg jednym dmuchnięciem ich obalił". Tak oto, prócz satysfakcji, przeżywamy miłą iluzję własnej mocy. Nie ma bowiem wśród walczących grup ani jednej, która by nie twierdziła, że to właśnie im spełniło się dzisiaj proroctwo.

W relacjach powodzian regularnie słyszymy frazę, że woda podnosiła się błyskawicznie. Widać to zresztą na trójdzielnym zdjęciu z Kłodzka, które pokazywało, że poziom wody w ciągu trzech godzin podniósł się o kilka metrów.

– Na mnie wrażenie zrobił inny film, z Austrii. Widać tam zalany radiowóz. Policja miała wszelkie środki łączności, a nie przewidziała, że radiowóz zostanie uwięziony i zalany? To jak można wymagać tego od zwykłego człowieka? Filmy z zalanymi, niesionymi przez prąd samochodami są bardzo częste i ludzie często zastanawiają się, jak to mogło się zdarzyć? Ktoś miał samochód. Czemu go zostawił, zamiast nim uciec? „Ja bym przecież od razu…" „jak można być tak głupim/nieodpowiedzialnym".

Czy to kwestia „braku wyobraźni", czy braku dostępu do aktualnych informacji? I szerzej, wiedzy?

– Jednym z decydujących czynników jest fakt, że nie potrafimy wyobrazić sobie czegoś, co fachowo nazywane jest procesem nieliniowym. Nasz umysł dobrze sobie radzi z procesami liniowymi – jeśli woda leje się do wanny, to umiemy przewidzieć, ile czasu będzie się wanna wypełniać. Ale na przykład przyrost grzyba w budynku nie przebiega proporcjonalnie do czasu. Komórki dzielą się coraz szybciej.

Podobnie z powodzią. O 15 rosło centymetr na godzinę, ale o 18 rośnie już 30 cm na godzinę, a w godzinę później – już o metr. Nasz umysł słabo wyobraża sobie takie procesy. Nie umie oszacować prędkości. Raczej pozostaje przy wizji, że to będzie rosło liniowo – tak jak na początku. Do oceny procesów nieliniowych ewolucja nas nie przygotowała. Weźmy prąd – mamy go od pokoleń, ale z perspektywy gatunku jest rzeczą świeżą i nie umiemy sobie wyobrazić, że wyłączenie go spowoduje lawinę procesów, które przyśpieszą inne procesy w bardzo szybkim tempie.

No i zwykle patrzymy, jak zachowują się inni. Jeżeli widzimy, że nie uciekają, my też zostajemy. Dlatego ewakuacja jest możliwa w momencie, kiedy zostaje przekroczona jakaś liczba ludzi decydujących się na ucieczkę. Jeżeli nikt się nie ruszy – pozostali także zostaną na miejscu. Wyobrażenie i działanie w odpowiedzi na niebezpieczeństwa, których nigdy nie doświadczyliśmy, jest szalenie trudne. Dlatego szybciej ewakuują się wrocławianie pamiętający powódź z 1997 roku niż ci, którzy jej nie doświadczyli.

Na filmie z czeskiej Pragi widzimy mężczyznę surfującego na desce po wezbranych wodach Wełtawy. Film ma miliony wyświetleń. A mnie się przypomina „Czas apokalipsy" Coppoli i surfujący po falach Lance Bottom.

Większe wrażenie, niż surfer na wezbranej Wełtawie, zrobił na mnie zalany radiowóz z Austrii. Policja miała wszelkie informacje i środki łączności, a nie przewidziała, co może się zdarzyć

– Skutecznym sposobem radzenia sobie z traumą jest właśnie takie zmienianie kontekstu sytuacji. Ludzie w covidzie nosili śmieszne maski. Ukraińska artystka wkomponowuje odgłos bomb w swoje operowe śpiewanie. W zasypanym śniegiem mieście mieszkańcy wkładają narty biegowe.

Ludzie pierwotni – bojąc się dzikich zwierząt – malowali sceny z polowań i mówili, że te zwierzęta, mimo że są groźne, są też piękne. Przebierali się w ich skóry, żeby zmniejszyć swój strach. Zamiana tragedii w sztukę wydaje się niezłym sposobem

Jest też ogromny dysonans u pozostałych mieszkańców Polski, który w słonecznych i suchych miastach nie mogą uwierzyć: „my mamy wszystko, a oni wszystko stracili". I czują się wręcz trochę winni.

– To poczucie absurdu towarzyszy nam zawsze wtedy, kiedy tracimy poczucie spójności rzeczywistości. Wydaje nam się niemożliwe, że za naszą granicą jest wojna. A w samej Ukrainie ludzie starają się żyć normalnie. Kilkadziesiąt kilometrów od linii frontu chodzi się na piwo i kawę do restauracji. Podczas covidu ludzie bawili się na świeżym powietrzu, gdy obok jeździły karetki na sygnale.

Nasze życie jest po prostu dysonansem. Cofając się do czasów II wojny światowej – może się to wydać niemożliwe, ale do 1942 roku warszawiacy mogli chodzić nad Wisłę na plażę, pływać i opalać się, później tego zakazano. Ludzie terminalnie chorzy chodzą do kina na filmy o miłości. I mamy surfera na Wełtawie. Gdybyśmy zabrali nam możliwość życia w dysonansie – pozbawilibyśmy siebie samych człowieczeństwa.

To wróćmy do pytania być może bez odpowiedzi. Jakie będą konsekwencje tej powodzi chaosu, której doświadczamy?

– Rozjechanie dyskursów, brak umiejętności sformułowania jednej prawdy – to charakterystyczne dla społeczeństw i cywilizacji, które się kończą. Znika jedna wspólna opowieść i struktura społeczna się rozpada. Społeczeństwo istnieje, dopóki jest jakaś wspólna, „uzgodniona" rzeczywistość, która je łączy.

Na podstawowym poziomie ratowania ludzi, dobytku i społecznej solidarności więzy społeczne działają i będą jeszcze długo działać. Może zawsze. Problem zacznie się wtedy, kiedy – jak już załaduje się te worki z piaskiem na ciężarówkę – będzie kłopot z określeniem, w jakim stopniu właściciel tej ciężarówki powinien ją posiadać, a w jakim państwo czy wspólnota? Jak w przyszłości pomagać powodzianom i czy w ogóle pomagać? Regulować rzeki czy nie? Budować zbiorniki retencyjne czy nie?

Brak jednej prawdy powoduje, że na te pytania nie ma odpowiedzi, a spór jeszcze się pogłębia.

Na czwartym miejscu pod względem popularności na Netflixie jest serial „Wielka woda" o powodzi we Wrocławiu.

– Niezły film. Między innymi dlatego, że pokazuje wersję wydarzeń, co do której dziś się wszyscy zgadzają. Obawiam się, że o powodzi z 2024 nie da się już nigdy nic podobnego nakręcić.

Paweł Droździak

• psycholog, psychoterapeuta, mediator rodzinny. Autor książki „Zawsze Bezpieczna. Psychologiczne aspekty samoobrony kobiet", współautor książki „Blisko, nie za blisko".

1 RP

eprasa.pl 72aacc3640

17.09. Stronie Śląskie w kilka minut zostało zniszczone, kiedy woda uszkodziła tamę

16.09. Głuchołazy po przejściu fali powodziowej

18.09. Dzierzysławice k. Głogówka. Sołtys Michalina Szyroki i jej koleżanki sprzątają po powodzi

FOT. TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL, PATRYK OGORZAŁEK / AGENCJA WYBORCZA.PL, FOT. MICHAŁ RYNIAK / AGENCJA WYBORCZA.PL, FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL (2)

Cześć, jestem Unia i ogarnę wam ten kryzys

Zjednoczona Europa poradzi sobie z powodzią tak, jak z covidem i szczepionkami?

Bartosz T. Wieliński

Piszę ten tekst w środę, siedząc na murku przy placu Lajosa Batthyánego w Budapeszcie, a w zasadzie w Budzie. Gołym okiem widać, że poziom Dunaju się podnosi. Schody z nabrzeża do wielkiego gmachu parlamentu praktycznie są na wysokości lustra wody. A prawdziwe problemy ciągle są przed Budapesztem, fala kulminacyjna przekracza dopiero słowacką granicę.

Dunaj oszalał, widać to po prędkości, z jaką mijają mnie niesione przez rzekę konary drzew. Zalany Dolny Śląsk, Morawy, Dolna Austria, słowacki Spisz, zachodnia, rumuńska część Mołdawii. Pytanie, czy Węgrom uda się opanować Dunaj, jak rzeka zachowa się dalej w Serbii, w Rumunii.

Z tej wyliczanki widać jasno, że kataklizm ma europejski charakter. Oczywiście to żadne odkrycie. Powodzie, które dotykają kilka krajów dzielących dorzecze wielkiej rzeki czy pasmo gór, wynikają z praw hydrologii, a nie polityki. Tyle że w trzeciej dekadzie XXI w. możemy już sobie postawić pytanie: czy odpowiedź na tę europejską katastrofę będzie też ponadnarodowa? Europejska?

•

Mniej więcej o tej porze cztery lata temu Unia Europejska wdrażała wspólną odpowiedź na ówczesny kryzys. Po wybuchu pandemii koronawirusa unijne instytucje dofinansowały badania nad szczepionkami, a potem w imieniu państw członkowskich negocjowały warunki zakupu milionów dawek.

Z szacunków WHO wynika, że szczepionki w Europie tylko w czasie pandemii uratowały życie 1,4 mln ludzi. Unia po raz pierwszy udowodniła, że jest w stanie stawiać wyzwania globalnym kryzysom. Ma potrzebne do tego struktury, wiedzę i pieniądze.

Żaden z traktatów europejskich nie przewidywał, że Unia będzie musiała stawić czoła szerzącej się w błyskawicznym tempie nieznanej wcześniej chorobie. I żaden nie przewidywał, ze trzeba będzie wspierać w walce o niepodległość sąsiedni kraj, aspirujący do Europy, ale ciągle uwięziony w poczekalni. Gdy w bólach negocjowano obowiązujący traktat lizboński, Rosję powszechnie uważano w Europie za partnera, a gdzieniegdzie nawet za przyjaciela. Świat – ten bliski i daleki – zmienia się bardzo szybko. Europa stara się za zmianami nadążać. Z różnym skutkiem, ale z covidem się udało. W sprawie Ukrainy, mimo podlanego korupcją gospodarczego powiązania wielu najważniejszych krajów z Rosją, też zachowała się, jak trzeba.

•

W Budapeszcie widać worki z piaskiem. Na stacji metra przy placu Batthyánego naliczyłem kilka stert po kilkadziesiąt sztuk. Symboliczna ilość. Gdyby Dunaj wystąpił z brzegów, na niewiele się zdadzą. Ludzi rosnący poziom rzeki ciągle jeszcze nie przeraża. Podchodzą tak blisko nurtu, jak się da, robią zdjęcia. Wody przybyło, więc gmach parlamentu pięknie się w Dunaju odbija.

W Europie Środkowej woda zabiła już ponad dwadzieścia osób, spustoszyła Kłodzko, Lądek Zdrój, Stronie Śląskie, miejscowości w Czechach, Austrii, Rumunii. Porównywanie powodzi do pandemii koronawirusa nie będzie miało żadnego sensu, dopóki nie potraktujemy tej katastrofy jako zwiastuna tego, co nas w najbliższej przyszłości czeka. Tego, co Europie Środkowej stanie się taką samą „nową normalnością", jak letnie pożary trawiące wysuszone europejskie południe.

Klimatyczni denialiści, czyli ci, którzy zaprzeczają, że to wskutek działalności człowieka doszło do zmiany klimatu, jakoś się pochowali. Coraz częstsze pogodowe anomalie, susza na północy Polski i jednoczesna powódź na południu, to właśnie efekty zmiany klimatu. Ucichła też krytyka unijnego Zielonego Ładu, kompleksowego, ambitnego (może zbyt?) programu transformacji rolnictwa i przemysłu.

W obliczu coraz częstszych żywiołowych klęsk będziemy już w najbliższym czasie musieli przeorganizować nasze życie, by nie dochodziło do tragedii. Dotyczy to tego, jak mieszkamy, zarówno w miastach, jak i poza nimi, jak podróżujemy, jak spędzamy wolny czas. Trąby powietrzne – zjawisko, które może przybierać zabójczą postać – jeszcze dekadę temu były ewenementem zasługującym na czołówki gazet i czerwone paski w telewizji. Teraz odnotowuje się ich w Polsce już kilkanaście w roku.

Nie da się ich zatrzymać, ale można się przygotować. I tu właśnie potrzebna jest Europa.

•

Czytam wiadomości z Polski. Do Warszawy ma przylecieć szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen. Na pewno nie przybędzie z pustymi rękami. Premier Tusk w Brukseli ma niezwykle mocną pozycję, co bezpośrednio przekłada się na gotowość szefowej komisji do współpracy i szczodrość jej instytucji.

Na usuwanie skutków klęsk żywiołowych Unia może wykorzystać Fundusz Solidarności UE. W obecnym budżecie zapisano w nim ponad 6 mld euro. Tylko w zeszłym roku na pomoc przeznaczono 450 mln euro. Większość tej sumy dostała Turcja na odbudowę po wielkim trzęsieniu ziemi z lutego 2023 r. Pomoc dostali też Włosi i Rumunii na usuwanie skutków powodzi. Wcześniej z funduszu finansowano usuwanie skutków wichur, które spustoszyły północną Polskę w 2017 r. Dostaliśmy wówczas 12 mln euro. W obliczu wielkich zniszczeń w Polsce, Czechach czy Austrii, fundusz odegra olbrzymią rolę.

Ale nie chodzi tylko o odbudowę zniszczonych miast czy zerwanych mostów i gromadzenie środków w oczekiwaniu na kolejną katastrofę. Unia Europejska powinna zadbać, by wielka powódź w tym regionie nigdy więcej nie powtórzyła się na taką skalę.

Gdy woda opadnie, eksperci zaczną analizować przebieg wydarzeń minuta po minucie, począwszy od pierwszych niepokojących prognoz meteorologicznych, poprzez działanie systemu alarmowego, akcję ratunkową, na zabezpieczaniu zrujnowanych miast skończywszy. Ponieważ kataklizm miał międzynarodowy charakter, ta praca nie może odbywać się tylko na poziomie krajowym.

Rozwiązania też muszą mieć ponadkrajowy charakter. Mogę sobie wyobrazić, że aby uchronić przed powodziami Dolny Śląsk, trzeba będzie zainwestować w zabezpieczenia na Morawach. A trudno, by Czesi sami inwestowali w polskie bezpieczeństwo... Pytanie, jaki wpływ na skalę kataklizmu miało wycinanie lasów w polsko-czeskiej okolicy. Za unijne pieniądze będzie trzeba je wspólnie odtworzyć, zadbać o wspólne rzeki.

Unia powstała, by zapewnić Europie bezpieczeństwo. Przeszliśmy pandemię, boimy się pełnoskalowej wojny (bo hybrydowa na naszym terytorium już trwa), teraz przekonujemy się, jakim zagrożeniem są katastrofy naturalne.

Zwijam się z placu Batthyánego. Ludzie mówią, że liczą, że nie będzie tak źle, jak w 2013 r., gdy Dunaj wystąpił z brzegów i podtopił miasto. Pewności w ich głosie jednak nie ma.

eprasa.pl 72aacc3640

CO WZIĘLI, UCIEKAJĄC

• **Kazimierz Szypuła z Krosnowic: Na obrazie ze Świętą Rodziną widać, dokąd sięgała woda w moim domu. Obok zdjęcia z jego domu i ogrodu**

• **Krystyna Remza ze Stronia Śląskiego: To było już po fali. Nie chciałam opuszczać domu, ale przyszło wojsko i powiedzieli, że nie ma innej opcji.**

FOT. MICHAŁ RYNIAK / AGENCJA WYBORCZA.PL (4)

Trzy koty, dwa cano corso, telewizor, czajnik. I tę samą lalkę, co w 1997 roku

Marta Danielewicz

Już w nocy z soboty na niedzielę przed blokiem było pełno wody, a jeszcze fala nie nadeszła. Syn więc podjechał po mnie koparką, bo żaden inny samochód by na Nadbrzeżną już nie dojechał. W tym, co miałam na sobie przez okno wchodziłam na łopatę koparki – opowiada pani Ewa, mieszkanka Stronia Śląskiego, gdzie woda dokonała jednych z największych zniszczeń.

Ewakuacja. To hasło, powtarzające się jak echo, słyszeli od soboty mieszkańcy terenów zagrożonych powodzią. Na opuszczenie mieszkań niektórzy mieli kilka minut.

Ślad na świętym obrazie

Odwiedzając kolejne wsie i miasta zniszczone powodzią w Kotlinie Kłodzkiej, zatrzymujemy się w Krosnowicach. Przy drodze stoi Kazimierz Szypuła. Czeka na transport żywności, wody pitnej. Na pomoc. We wsi nie ma ani wody, ani prądu, ani gazu. Wielka woda zalała mu mieszkanie prawie po sufit. Kazimierz pokazuje nam ślad na ścianie. W domu jest pełno błota, wszystkie meble są mokre, zniszczone. Na ścianie wciąż jednak wisi obraz ze świętą rodziną.

– I w 1997 roku, w czasie tamtej powodzi, także wisiał w tym samym miejscu. Wtedy woda doszła do sufitu – opowiada.

Woda zerwała z dachu papę. Zabrała komórki, w których trzymał drewno na zimę i narzędzia. W ogrodzie pełno jest naniesionego żelastwa, opon, dachówek pozrywanych z innych dachów. Samochód obrócił się o 180 stopni. Ma wybite szyby.

Koszmarny widok. Kazimierz wspomina moment, gdy nadeszła fala. – Oglądałem film. Żona z synem poszli już do sąsiadki, która na piętrze w zamku mieszka (tak mieszkańcy nazywają zabytkowy budynek we wsi). Nagle poczułem muśnięcie w nogę. Myślałem, że to jeden z kotów, a to była woda. Chwyciłem telewizor pod pachę i zawołałem trzy swoje koty. Też pobiegliśmy do sąsiadki. Najważniejsze, że koty przeżyły. No i telewizor musi być – dodaje.

Zamek też został zalany, ale tylko piwnice i parter. Na piętrze, gdzie mieszka sąsiadka państwa Szypułów jest sucho. I oni tam tymczasowo zamieszkali.

– W ciągu 27 lat to drugie takie uderzenie. Wtedy jeszcze urwało nam kawałek ściany szczytowej. Teraz woda wyrwała schody i zrobiła ogromną dziurę w ziemi. Wczoraj przyjechał znajomy, zasypał nam to, byśmy mogli wejść, chociaż do mieszkania – opowiada Krzysztof z Krosnowic.

Jego żona, Edyta pokazuje nam to, co zostało z jej ogrodu. Połamane drzewa, pergole, przewrócone ogrodzenie, pełno śmieci. Fala przyszła znienacka. – Były dwa kryzysowe momenty. W nocy z soboty na niedzielę i w niedzielne popołudnie. Już myśleliśmy, że sytuacja się uspokaja, bo wyszło słońce, a tu nagle... – opowiada Krzysztof. Edyta dodaje: – Nagle informacja od sąsiadów, że trzeba się ewakuować.

– Gdy nadeszła fala, to zabraliśmy dokumenty, gotówkę i uciekaliśmy do córki, do sąsiedniej miejscowości. Zdążyliśmy, nim ulice zalało. Ale sąsiadka to czajnik zabrała i biegła na drugą stronę wsi, do siostry... Czemu czajnik? Nie mamy pojęcia – dodaje Edyta.

Nadjeżdża transport z żywnością. To mieszkańcy sąsiedniej miejscowości. Ocaleli. Ich dobytek także, więc teraz pomagają innym.

Kot w ręczniku

W Stroniu Śląskim przed urzędem, gdzie znajduje się punkt pomocy i kuchnia polowa, spotykamy Genowefę Kret. Mieszka u koleżanki, ale straty w jej mieszkaniu nie są tak znaczne, jak w innych częściach Stronia. – Mój blok stoi. To najważniejsze. Mieszkanie znajduje się na wyższym piętrze, od góry jest trochę zalane, ale można mieszkać – opowiada.

Jak i większość mieszkańców Stronia Śląskiego ewakuowała się dosłownie w ostatniej chwili, tuż przed nadejściem fali, w niedzielne popołudnie. – Radny biegał od klatki do klatki i pukał po mieszkaniach, byśmy się ewakuowali. To, co teraz było, to jakby bomba spadła – opowiada.

Dwa dni przed ulewnymi deszczami patrzyła na stan rzeki Białej Lądeckiej. – Jeszcze mówiłam, że jak utrzyma się taka wysoka temperatura, to rzeki nie będzie. Nikt się nie spodziewał, że kilka dni później nastąpi taka katastrofa.

Dom opuszczała, jak wielu w pośpiechu. – Zabrałam tylko kotka, dokumenty i pieniądze. Kotka zawinęłam w ręcznik i uciekłam do koleżanki, która mieszka w budynku położonym wyżej.

Ewa to mieszkanka charakterystycznych, zielonych bloków w Stroniu Śląskim, przy ulicy Nadbrzeżnej. Chociaż teraz ulica ta istnieje tylko na mapach. Bloki stoją, ale we wtorek do późnego wieczora nie wiadomo było, czy można w nich zamieszkać. Woda podmyła niższe piętra i mogła uszkodzić konstrukcję. – Chciałabym wrócić do mieszkania, zabrać cokolwiek. Bo wyszłam z domu, tak jak stałam. Nic nie wzięłam. Pieniądze w mieszkaniu zostały, dokumenty, wszystko – opowiada.

Kot na strychu

Zwierzęta – to je w pierwszej kolejności ewakuowani powodzianie zabierali ze sobą. Małgorzata Mazurek ze Stronia Śląskiego, ze swojego domku nad rzeką, nim nadeszła potężna fala, zabrała dwa psy. Kota zdążyła zamknąć na strychu. – To był ostatni moment. Jeszcze nie wiedziałam, gdzie się podziać z tymi psami. Bo to dwa duże cane corso. Znajomy córki wziął je ode mnie, zamknął w swojej kancelarii. Oprócz nich nic z domu nie zabrałam.

Gdy tu wróciliśmy następnego dnia i wypuściłam kota, to stanął na schodach i zaczął przeraźliwie miauczeć. Myślałam, że mi serce pęknie. Cały poniedziałek przeryczałam.

Córka Małgorzaty, która mieszka z mamą, zabrała dokumenty, bluzę dla syna i to wszystko. – Nikt nas nie przyszedł poinformować, że coś się dzieje. Do mamy sąsiadka zadzwoniła. Gdy już byłyśmy na zewnątrz, słyszałam tylko straż pożarną, która przez megafon mówiła coś. Słychać było tylko straszny bełkot, ale domyśliliśmy się, że to wezwanie do ewakuacji.

Do punktu pomocy pod urząd przychodzą zrozpaczeni mieszkańcy. Wolontariuszki pytają: – Czego panu potrzeba? Żel pod prysznic, chleb, konserwy, środki czystości?

– Czego mi potrzeba? Proszę pani, ja nic nie mam – płacze młody chłopak.

Powódź tysiąclecia to pikuś

Władze gminy Stronia Śląskiego obserwując prognozy pogody i stan rzeki, który się podnosił, apelowały do mieszkańców już od piątku, by ci, którzy mieszkają przy rzece, opuścili swoje mieszkania.

– Ale nie chcieli. Do czasu ogłoszenia klęski żywiołowej, czyli do poniedziałku nie mieliśmy możliwości, by wyprowadzać ich siłą – opowiada Monika, pracownica urzędu. – Większość mieszkańców, zwłaszcza tych z bloków na Nadbrzeżnej, chciała zostać. Powtarzali, że przeżyli powódź w 1997 roku, to przeżyją i teraz. Ale te 27 lat temu, to woda tak naprawdę nas musnęła.

75-letnia Krystyna Remza dopiero, gdy w poniedziałek do jej drzwi zapukali żołnierze Wojsk Obrony Terytorialnej, posłusznie opuściła mieszkanie. Porusza się o kulach. Terytorialsi musieli ją znosić po schodach.

– To było już po fali, ale woda u nas stała. Nie chciałam opuszczać domu, ale przyszło wojsko i powiedzieli, że nie ma innej opcji. To założyłam gumiaki, zabrałam spakowaną już torbę i mnie zabrali. – opowiada. Tego dnia żołnierze WOT ewakuowali cały jej blok. Łącznie kilkadziesiąt osób.

Krystyną Remzę spotykamy, gdy na ławce pod Zespołem Szkół Samorządowych czeka na swoją koleżanką, u której się zatrzymała. Ma siatki pełne darów, które tu otrzymała. W szkole znajduje się jeden z trzech punktów pomocowych w mieście.

W pierwszych chwilach tu także byli kierowani ewakuowani powodzianie. Przygotowane były dla nich miejsca noclegowe. We wtorek przewieziono ich do pensjonatów w Siennej i Czarnej Górze, które za darmo udostępnili prywatni przedsiębiorcy.

W szkole teraz jest magazyn darów. Żywność, środki czystości, woda, jest tak-

eprasa.pl 72aacc3640

że miejsce z ubraniami. Można zaopatrzyć się w paliwo, agregatory, a nawet karmę dla zwierząt. Ksiądz z pobliskiego kościoła pomaga nosić wielkie pakunki. Głównie pomagają jednak terytorialsi, wolontariusze, pracownicy szkoły i dyrektorka, która nadzoruje akcję pomocową.

Krystyna Remza miała nadzieję, że po przejściu fali ewakuacja nie będzie konieczna. Okazało się inaczej. Bo jeszcze we wtorek nie było wiadomo, czy jej budynek nadaje się do dalszego użytku. – W torbie, którą miałam spakowaną już, wzięłam coś na przebranie, leki, dokumenty. Ale miałam nadzieję, że nie będzie to konieczne. Jednak woda za bardzo podmyła budynek.

Jej syn wraz z żoną też nie opuścili swojego domu, gdy nadeszła fala. Woda go zalała i zniszczyła. Zdążyli jeszcze pomóc kobiecie, którą porwała woda. Wciągnęli ją na dach, a z dachu zabrał ich śmigłowiec do Kłodzka. Stamtąd pojechali do Wrocławia.

– Szukają teraz miejsca, gdzie mogą się na dłużej zatrzymać. Bo nie mają już domu, a jeszcze nie dawno go remontowali. Podłogi drewniane robili. Tak się zachwycali. Chcą tu jednak wrócić i uruchomić przychodnię, którą prowadzą w Stroniu, bo to lekarze. Wiedzą, że potrzeba pomocy medycznej w mieście.

Krystyna w tym samym mieszkaniu przeżyła powódź w 1997 roku. Też domu nie opuściła. – Wtedy mieliśmy gaz, można było jakoś kolejne dni funkcjonować. A teraz nie ma nic. Prądu, wody, gazu. Miasta też nie ma. Modlę się, trzymam kciuki, gromnice palę. Już nie wiem, co robię, by było dobrze. Głupieję. Przy tej powodzi, ta z 1997 roku, o której mówi się, że to tysiąclecia, to pikuś – mówi.

Babcia zabrała biżuterię

Joanna mieszka w Stroniu Śląskim przy ulicy Chłodniczej. A raczej mieszkała. Bo woda zrobiła ogromną wyrwę w ziemi przed jej domem. Przed urzędem gminy próbują z córką Pauliną złapać internet, bo w sieci krąży lista osób zaginionych. Chcą się upewnić, że ich na niej nie ma. I że nie ma też ich bliskich.

W niedzielę, gdy tama pękła, stała przed domem, zauważyła falę. – Wpadłam do środka, zamknęłam drzwi na klucz. Po chwili wody było aż po pas. Siła uderzenia była tak duża, że wybiło szyby w oknach. Przez nie woda wlała się do środka. Meble mi poprzestawiało. Lodówka popłynęła z prądem rzeki. Nawet nie wiem, jak to było możliwe.

Woda na szczęście szybko opadła. – Mogłam się ewakuować. Zdążyłam tylko odebrać telefon od córki, chwycić kota i wybiegłam. Nie wzięłam ze sobą nic. Ani dokumentów, ani gotówki. Wszystko popłynęło z falą. Wyszłam w ulubionych laczkach – mówi Joanna.

Po przejściu wielkiej wody, schronienie znalazła u córki, która wraz z teściami mieszka powyżej Stronia Śląskiego, w bezpiecznej odległości od rzeki. – Woda wybiła tylko w piwnicach, a w pozostałej części jest całkowicie sucho.

Problem był za to z ewakuacją babci, która nie chciała, jak wielu innych, wynieść się ze swojego mieszkania w bloku przy Nadbrzeżnej. – Dopiero wojsko w poniedziałek zabrało babcię, gdy okazało się, że budynek może grozić zawaleniem. Zabrała ze sobą biżuterię i oszczędności – opowiada Paulina.

Ta sama lalka

Dorota, mieszkanka Bystrzycy Kłodzkiej zadzwoniła do matki, gdy woda już wchodziła do jej mieszkania. – Poprosiłam, by wzięła, chociaż jakieś moje zdjęcia, bo widziałam, jak woda zalewa kolejne partie naszego domu.

Mamę też zalało, ale chwilę później. Poszła do sąsiadki, która mieszka kilka pięter wyżej, tam przeczekały, aż zagrożenie minie. – Zabrałam torebkę, albumy ze zdjęciami i to wszystko. Nawet nie miałam gotowej torby na przebranie – opowiada Anna.

Pamięta powódź w 1997 roku, gdy Nysa także zalała jej miasto. Dorota trochę gorzej, była jeszcze dzieckiem. – Wtedy poziom wody był wyższy, ale patrząc na zniszczenia to podobne – mówi Anna.

– Pamiętam, że te 27 lat temu, także uciekałyśmy na wyższe piętra. Zabrałam ze sobą tylko lalkę. Teraz tę lalkę wzięła moja córka – opowiada Dorota. ●

Idzie fala

Ćwierć wieku temu szarpałbym się bardziej, teraz chcę tylko zabezpieczyć rzeczy niezbędne.

Tomasz Majeran

Idzie fala i będzie tu za jakieś 40 godzin. Takie rzeczy da się dość dokładnie policzyć. Tym razem zaleje prawdopodobnie tylko piwnice, a woda na podwórku nie powinna być wyższa niż kilkanaście centymetrów, więc w razie czego w wysokich kaloszach będzie można wydostać się na – już chciałem napisać „szerokie wody" – ale być może po prostu na wąski chodnik, który poprowadzi do suchszego przylądka, na przykład do tej drugiej Żabki, co to ją zrobili na półpiętrze nowego bloku. Bo tę bliższą Żabkę, po drugiej stronie ulicy, zaleje na bank. I gabinet weterynaryjny też zaleje. I aptekę.

●

I jest coś arcyludzkiego w tym półbiernym, lekko otumanionym czekaniu na nieuchronne, nawet jeśli „nieuchronne" tym razem oznacza właściwie tylko drobne niedogodności – pomijalne, kiedy wie się, co woda robi w miejscowościach w górze rzeki. Wszystko jest kwestią skali: – Ale dobrotliwego? – spytał mój brat, kiedy powiedziałem mu, że mam nowotwora, jakby od razu chciał umieścić tę wiadomość poniżej grubej kreski stanów alarmowych na rzece życia. No więc, patrząc z lotu Airbusa, czekają nas tutaj takie raczej dobrotliwe podtopienia. Język czyni cuda.

●

Idzie fala i będzie tu za jakieś 40 godzin. Ćwierć wieku temu szarpałbym się bardziej, teraz chcę tylko zabezpieczyć rzeczy niezbędne, zredukować je do koniecznego minimum. Zszedłem do piwnicy i zabrałem ostatnie butelki zeszłorocznego cydru. W tym roku nie nastawię nowego, bo kwietniowe przymrozki, a potem majowa susza zniszczyły zbiory jabłek w całym regionie. Zniszczyły nawet posadzony przeze mnie klon japoński, a jest to raczej dość odporny na kaprysy pogody gatunek. Wziąłem cydr, ale stary rower zostawiłem, przestałem się łudzić, że kiedykolwiek go naprawię. I już miałem wychodzić, już miałem zatrzasnąć drzwi, kiedy zauważyłem owinięte stretchową folią i wciśnięte w róg piwnicy dwa kartonowe pudła. Szczęśliwie opisane flamastrem podczas przeprowadzki, więc nie musiałem rozrywać.

●

Pudło z kombinezonem narciarskim wziąłem ze sobą, ale nie dlatego, bym się łudził, że kręgosłup pozwoli mi jeszcze kiedyś poszusować po stokach, które w Masywie Śnieżnika pracowicie wykarczowali także pod moje przyjemności dzielni leśnicy, ale tak na wszelki wypadek, jeśli w zimie wyłączą prąd i trzeba będzie jakoś się chronić. Taki kombinezon ma świetną wentylację, byle kurtka ci tego nie da.

Natomiast drugie pudło, ciężkie, wypchane, bez żalu i nawet bez namysłu zostawiłem. To różne pamiątkowe rupiecie, głównie fotografie z pogrzebów i wesel, studniówki, matury, strajki, trochę papierów, jakieś świadectwa szkolne, jakieś zeszyty, legitymacje. Kogo to? Szkoda dźwigać. Pamiętam, że na jednej fotografii z wesela ciocia Ala miała takie zasuszone oczy z dziwnym światłem w rogówkach jak w japońskim horrorze. Myśleliśmy wtedy, że to lampa błyskowa tak pechowo poświeciła, ale kilka tygodni później zdiagnozowali u niej raka. Otworzyli ją nawet, ale od razu zszyli, nie było już co robić, z ciała wysypał się styropian. Trzy miesiące i nie było człowieka. Szkoda dźwigać, niech wreszcie odpocznie. Wcześniej nie miałem serca tego wyrzucić, teraz woda zrobi to za mnie.

●

Idzie fala i będzie tu za jakieś 40 godzin. Biorę psa na spacer i robimy obchód okolicznych wałów, rowów, kałuż, ścieżek, łąk, rzek, strumieni, kładek i mostów. Brochówka bez zmian, Zielona przybrała, ale wciąż stany okołodobrotliwe. Natomiast Oława nie potrzebuje wiele, aby przebrać miarkę. Dzwoni Piotrek S. i pyta, czy wszystko w porządku i od razu sobie przypominam, że w 1997 roku też dzwonił, chociaż wtedy mieszkałem nie na pierwszym, ale na dziewiątym piętrze i widoki na przyszłość miałem jakby solidniejsze. Niektórzy tak mają, że się troszczą. Gadamy przez chwilę, bardziej o książkach niż o powodzi, głównie o Jerzym Ficowskim, właściwie jakbyśmy razem spacerowali, bo on meandruje pod Warszawą z Bobikiem, a ja pod Wrocławiem z Tarasem.

●

Idzie fala i będzie tu za jakieś 40 godzin. Idę wałami wzdłuż Zielonej i obserwuję z wysokości kilku metrów ogrodzone osiedle, które kilka miesięcy temu wybudowano w polderze zalewowym. Wjazdu, bo przecież nie wlewu, strzeże szlaban, a przed szlabanem góra piasku. W pobliżu wyłożono puste worki. Pół tuzina dzieciaków z wielką powagą ładuje kolorowymi koparkami piasek do plastikowych ciężarówek. Potem jadą w stronę worków, gdzie następuje chaotyczny rozładunek. Nie więcej niż dwa worki na godzinę, które potem rozradowani tatowie ułożą pod płotem. Chciałbym pomyśleć „mam nadzieję, że chociaż się ubezpieczyli", ale tak naprawdę mam nadzieję na coś wręcz przeciwnego, ktoś przecież karmi tę deweloperską hydrę nienasyconą.

●

Wracam i wciąż zastanawiam się, czy nie zejść do piwnicy po ten karton ze zdjęciami. I już prawie, prawie chcę prolongować wieczność cioci Ali z przepalonymi rogówkami, i innych ciotek, i wujków, i licealnych koleżanek, i kolegów, kiedy z rozterki wyrywa mnie telefon od Ani, która ma gabinet weterynaryjny po drugiej stronie ulicy, a ulica jak klif wyznacza tu dwa światy – jeden za 40 godzin będzie dobrotliwą kałużą, drugi lokalną katastrofą dwa metry pod wodą. Obiecałem, że pomogę jej przenieść karmy, leki i sprzęt z gabinetu w bezpieczne miejsce, a teraz okazuje się jeszcze, że najlepsze miejsce to chyba nasz strych. Nie ma problemu i tak nas nie będzie, bo za 40 godzin bierzemy azymut na koniec świata, finis terrae, będziemy oglądać falę z pokładu Airbusa A220-300. Karton ze zdjęciami musi poczekać, myślę, pakując karmę do samochodu. I nawet nie mogę cynicznie skomentować „po nas choćby potop", bo przecież ostatecznie staję po stronie Bobika i Tarasa, po stronie życia, a nie styropianu. ●

eprasa.pl 72aacc3640

• **17.09. Ratownicy w Stroniu Śląskim, które zostało niemal całkowicie zniszczone**

OKŁADANIE POWODZIĄ

Politycy PiS ostro zaatakowali rząd Donalda Tuska, gdy tylko pojawiły się doniesienia o powodzi. Ale przegrzali. Także na własną szkodę

Dominika Wielowieyska

Podczas sobotniej (14 września) demonstracji pod Ministerstwem Sprawiedliwości PiS sięgnął po stały zestaw haseł o „reżimie Tuska" i niemieckim rządzie. Gdzieś po dwóch godzinach przemówień ktoś mimochodem wspomniał o powodzianach. Tymczasem do południowo-zachodniej Polski, gdzie rzeki zaczynały wylewać, już w piątek wyjechało pół rządu.

Chętnych do pochylenia głowy nad losem podejrzanego o wypompowywanie pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości ks. Michała O. nie było wielu.

Frekwencja była marna. W dodatku sieć zasypały memy z Ryszardem Czarneckim i j jego ciągniku siodłowym, a brytyjski sąd zatrzymał w areszcie Michała K., współpracownika Mateusza Morawieckiego.

PiS trafił więc z demonstracją jak kulą w płot.

Brudziński nie rozlicza, ale rozlicza

W sobotę w TVN 24 politycy prawicy: Marcin Horała (PiS) i Błażej Poboży (przedstawiciel prezydenta), zachowywali się jeszcze w miarę powściągliwie. Joachim Brudziński próbował nawet zachować pozory. „Dziś jest czas pomocy dla ludzi dotkniętych tragedią powodzi i pełnego wsparcia dla wszystkich służb" – stwierdził, ale natychmiast też zapewnił, że gdy sytuacja wróci do normy, przyjdzie „czas na rozliczenia tych, którzy mówili, że »prognozy nie są alarmujące«; tych, którzy polityką polowania na czarownice sparaliżowali administrację państwową; tych, którzy poprzez brak decyzji i odpowiednich rozkazów pozostawili samorządowców i bohaterskich druhów z OSP samych z żywiołem powodzi".

Czyli niby nie rozliczał, ale rozliczał. Twardy elektorat i tak go skrytykował, że jest za ostrożny.

TV Republika wzięła na cel wicemarszałkinię Sejmu Monikę Wielichowską, która niegdyś poparła mieszkańców Kotliny Kłodzkiej protestujących przeciw budowie zbiorników retencyjnych. Okrojona wersja projektu zakładała wysiedlenie 1200 osób. Zwolennicy PiS oczywiście pomijali, że to mieszkańcy zbiorników nie chcieli i dlatego rząd PiS zrezygnował z ich budowy.

Druga strona natychmiast wrzuciła wypowiedź Anny Zalewskiej z 2019 r., która zapewniła, że dodatkowych zbiorników nikt nie będzie budować. Oczywiście walczyła wtedy o głosy przed eurowyborami.

Najzabawniejsza teza w przekazie PiS była taka, że skoro Wielichowska nie chciała zbiorników, to rząd Morawieckiego ich nie zbudował.

Gróbarczyk: Zbiorniki są psu na budę

W rzeczywistości decyzję podjął ówczesny minister gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej Marek Gróbarczyk. „W żadnych planach inwestycyjnych nadzorowanej przeze mnie instytucji – Państwowego Gospodarstwa Wodnego Wody Polskie, nie ma budowy nowych zbiorników na Ziemi Kłodzkiej" – napisał w oficjalnym dokumencie do wojewody dolnośląskiego Pawła Hreniaka.

Gróbarczyk wyjaśnił potem dziennikarzom, że rzeki wylewają najczęściej w Kotlinie Kłodzkiej, więc przede wszystkim ją należy zabezpieczyć. „Natomiast jest czymś nieodpowiedzialnym – dodał – zaplanowanie kolejnych dziewięciu zbiorników, jak to mówią: chyba psu na budę". Jego wypowiedź zacytowały ostatnio „Fakty" TVN.

Nie przeszkadzało to Mariuszowi Błaszczakowi powtórzyć oskarżenia, że zbiorniki nie powstawały z powodu ulegania przez obecnie rządzących „Niemcom" i „religii klimatycznej".

Obie strony pomijały niewygodne dla niej fakty. A pewne zjawiska i wydarzenia wymykają się prostym podziałom politycznym.

Trochę jedni, trochę drudzy

Tak było z dyskusją o tym, kto zbudował zbiornik retencyjny w Raciborzu. Inwestycję przygotowywał rząd PiS w latach 2005-07, ale później rząd PO-PSL doprowadził do wysiedleń i przygotował zgody. Obie ekipy starały się o pieniądze na tę inwestycję w Banku Światowym i Unii. Rząd Donalda Tuska ogłosił przetarg, który w 2013 r. wygrał koncern Dragados. Ta firma przedstawiła najtańszą ofertę.

Z budową były jednak problemy – w 2017 r., gdy projekt był wykonany w 43 proc., zmieniono wykonawcę i dokończono inwestycję w 2020 r.

Zbiornik powstał więc dzięki staraniom obu ekip, ale PiS przypisuje go sobie, wytykając Platformie błędy i opieszałość przy przygotowaniu inwestycji. Wywłaszczenia faktycznie długo trwały, ale jeśli PiS to krytykuje, zapytam, ile trwały wywłaszczenia i przygotowanie budowy CPK.

1 RP

eprasa.pl 72aacc3640

FOT. MICHAŁ RYNIAK, JAKUB WŁODEK, GRZEGORZ CELEJEWSKI, PATRYK OGORZALEK/AGENCJA WYBORCZA

• 16.09. Nysa. Ewakuacja pacjentów z zalanego szpitala

• 15.09. Podtopiony cmentarz w Brzeszczach w Małopolsce

Janusz Rudnicki:

Vera uspokaja mamę, powódź do nas nie dojdzie, mama odpowiada: ja się nie boję, ale stracha to ja mam

Janusz Rudnicki jedzie na Morawy do ukochanej i spotyka powódź. Czytaj na wyborcza.pl/magazyn

• 18.09. Lewin Brzeski. Sprzątanie po katastrofie

Decyzje o lokalizacji zbiornika się opóźniały, bo mieszkańcy poszli do sądu, który jednak ich protestów nie uznał.

Platforma rzeczywiście wybrała najtańszą ofertę, ale wykonawca miał renomę. Gdyby wybrała droższą, prokuratura w czasach PiS natychmiast by to wykorzystała. Faktem jednak jest, że to rząd Mateusza Morawieckiego zmienił wykonawcę i inwestycje ukończył.

Cynizm połączony z kłamstwem

Bezczelnością jest twierdzenie, że strażacy pomagają w walce powodzią tylko dzięki temu, że PiS zainwestował w ochotnicze straże pożarne. Po pierwsze, państwo nie może wspomagać służb jedynie w okręgach, w których startują politycy Suwerennej Polski. A po drugie, karygodne jest dawanie na to pieniędzy przeznaczonych dla ofiar przestępstw.

Rozdawanie wozów strażackich nie poprzedziła analiza potrzeb w regionach, decydowały wyłącznie kampanijne wymogi. A Dolny Śląsk i Opolszczyzna, gdzie mamy powódź, dostały z tej puli grosze. Większość pieniędzy szła do bastionów PiS: na Podkarpacie, Mazowsze i Lubelszczyznę.

Ostrożnie z prognozami, bo Czarnek czuwa

PiS zdominował przekaz o powodzi. Był autorem 70 proc. wszystkich treści, a około 80 proc. negatywnych pochodziło z kont polityków prawicy (dane z raportu Data House Res Futura podał Mariusz Gierszewski z Radia Zet).

Opozycja powinna rząd krytykować i wytykać mu błędy, ale PiS prawdopodobnie przegrzał temat. Opinia publiczna niechętnie reaguje na nawalanki polityczne, gdy ludzie walczą z żywiołem. Politykom PiS nie przyszło do głowy, że to moment, gdy najważniejsza jest pomoc potrzebującym. Refleksja pojawiła się dopiero w środę, gdy swoją konferenc ję PiS zaczął już od pomocy powodzianom.

Z kolei w TV Republika, której przekaz jest tożsamy z PiS-owskim, pojawiła się ocena, że „Tusk jest nieudolny, a w Czechach umieli sobie poradzić z powodzią". Po czym pękła tama w Ostrawie, więc pasek znikł.

Premiera ostro atakował też Przemysław Czarnek, który wytknął mu, że tuż przed powodzią powiedział, iż „prognozy nie są zbyt alarmistyczne". Czarnek skomentował to stwierdzeniem, że: „Dymisja to tylko wstęp do dalszej odpowiedzialności".

Tusk rzeczywiście użył sformułowania, że prognozy „nie są zbyt alarmistyczne", ale PiS sprytnie wyrywał je z kontekstu, by pasowało do przekazu tygodnia. Cała wypowiedź premiera brzmiała tak: „Prognozy nie są przesadnie alarmujące; dzisiaj nie ma powodu, aby przewidywać zdarzenia w skali, która by powodowała zagrożenie na terenie całego kraju; nie ma powodu do paniki".

Prognozy rzeczywiście nie przewidziały późniejszych wydarzeń, ale premier powinien ostrożniej dobierać słowa.

Co budować? Wały czy zbiorniki?

Rząd Koalicji 15 Października spiera się też z PiS o to, czy budować wały, czy zbiorniki retencyjne.

Na początku powodzi Platforma zamieściła na X infografikę opatrzoną hasłem: „PiS nie budował wałów, a Platforma owszem". To zły moment na takie rozliczenia, ale był to wpis incydentalny. Teraz premier twierdzi, że budowa zbiorników jest jednak ważniejsza od wałów.

W danych GUS rząd PO-PSL wypada w tej kwestii lepiej niż PiS. Pierwszy oddał do użytku 66 zbiorników wodnych, drugi do 2022 r. – 24 (danych za zeszły rok nie ma). W trakcie rządów PO-PSL postawiono i zmodernizowano o wiele więcej wałów niż za czasów PiS. Ale i w tym przypadku wiele inwestycji rozpoczynała jedna ekipa, a kończyła następna.

Zabezpieczenia przeciwpowodziowe powstawały również w latach 2005-07, gdy rządził PiS.

Informacją też trzeba dobrze zarządzać

Rząd do spółki z samorządami już 13 września, przed powodzią, postawił służby w stan gotowości i zaczął się zbierać sztab kryzysowy. Ekipie Tuska wypominano jednak, że w domenie rządowej zabrakło strony, która kompleksowo informowałaby o sytuacji w regionach oraz o pomocy, na którą mogą liczyć powodzianie. Z rządu szły sprzeczne sygnały w tej sprawie.

Podczas ostatniej demonstracji PiS przekaz był taki, jak zawsze: wszystkiemu winien jest „reżim Tuska". Dopiero po dwóch godzinach przemówień ktoś mimochodem wspomniał o powodzii

„Przeznaczymy ok. 100 mln zł na niskooprocentowane pożyczki na likwidację skutków powodzi" – przekazała szefowa resortu klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska. Chodziło o dotacje z wojewódzkich funduszy ochrony środowiska i gospodarki wodnej. Na ministrę natychmiast spadła fala krytyki. Tusk wyjaśnił więc na X: „Każdy poszkodowany przez powódź ma prawo do natychmiastowej pomocy doraźnej 10 tys. (zł), na remont, do 100 tys., na odbudowę domu do 200 tys.". Podkreślił, że to pomoc bezzwrotna.

Henning-Kloska tłumaczyła potem, że działania pomocowe WFOŚiGW dla samorządów to jedno, a zapowiedzi pomocy powodzianom to drugie. „Rząd przygotował pomoc dla ludzi, w ramach rozporządzenia o klęsce żywiołowej oraz uruchomionej rezerwy w budżecie państwa w wysokości 1 mld zł" – precyzowała. Zapowiedziała też, że państwo będzie za powodzian spłacać kredyty mieszkaniowe przez rok; w sumie pomoc ma wynieść 2 mld zł.

Henning-Kloska koniecznie chciała pokazać swoją aktywność, ale wyszło, jak wyszło. Tymczasem wszystko, co mówią ministrowie, powinno być skoordynowane z premierem i sztabem kryzysowym. Inaczej mamy chaos informacyjny.

Za wcześnie, by rzetelnie ocenić działania sztabu kryzysowego, służb porządkowych, samorządów i Wód Polskich, ale jeśli chodzi o budowę dodatkowych zbiorników retencyjnych, to lepiej zabrać się do tego już teraz, póki ludzie mają świeżo w pamięci niszczący żywioł, bo jeśli inwestycje znów odsuną się w czasie, to protesty społeczne mogą je ponownie zablokować. ●

eprasa.pl 72aacc3640

POLITYKA I SPOŁECZEŃSTWO

RYS. ANDRZEJ RYSUJE

A GDYBY KACZYŃSKIEGO NIE BYŁO

W Polsce podziały kulturowe są ważniejsze niż podziały na tle interesów ekonomicznych

Z **PROF. JACKIEM RACIBORSKIM**
ROZMAWIA AGNIESZKA KUBLIK

Agnieszka Kublik: Tusk zjada swoje przystawki. Notowania Trzeciej Drogi coraz słabsze, Lewica balansuje na wyborczym progu. To było do przewidzenia?
Prof. Jacek Raciborski: Powiedzmy, że podgryza. Ważne, że poparcie zostaje w obrębie bloku.

Od kilkunastu lat podkreślam, że zasadniczy podział socjopolityczny w Polsce, a więc taki, który jest zakorzeniony i w interesach, i w biografiach jednostek, i w odmiennych układach wartości, to podział na PiS i anty-PiS. Nazwa jest techniczna, ale tu naprawdę chodzi o zbiorowe polityczne tożsamości.

Punktem odniesienia jest zawsze Jarosław Kaczyński.
– Oraz uogólniona niechęć do PiS. Tak, sprzeciw wobec polityki PiS i po prostu zwykła niechęć do Kaczyńskiego i jego pretorian spaja nie tylko liderów obozu anty-PiS, ale także wyborców tego bloku. Dopiero drugorzędnym kryterium jest to, czy lista jest PO, Trzeciej Drogi czy Lewicy.

Dla wszystkich z bloku anty-PiS odniesieniem jest Kaczyński, ale tylko KO jest w stanie z PiS konkurować.
– To realizm wyborców – wskazują głównego przeciwnika, gdy już podejmą decyzję, że nie chcą rządów PiS. Stąd wrażenie dwupartyjności, ale tak naprawdę to jest dwublokowość.

Ponad 60 proc. głosów zbierają w sumie PO i PiS...
– ...często nawet około 70 proc. A licząc bloki w wyborach sejmowych, to około 90 proc. głosów.

W obrębie bloku anty-PiS następowały przesunięcia, ale równowaga między blokami jest stabilna. Nawet w 2019 r., gdy PiS odnotował spektakularny sukces – blisko 44 proc. głosów – to słabszy wynik KO skompensował nadspodziewanie dobry wynik Lewicy i w sumie na blok anty-PiS padło o 900 tys. głosów więcej. A w 2023 r. ten zdobył większość głosów i większość mandatów – ale w ostatniej chwili również były przesunięcia świadczące, że blok był ważniejszy niż poszczególne partie. Trzecią Drogę ocalili wyborcy strategiczni, przesuwając na nią w ostatniej chwili głosy z KO i zapewne z Lewicy.

Blok anty-PiS nie jest tak spójny jak PiS, aby takie przesunięcia były łatwe.
– Rzeczywiście tożsamość PiS-owska jest względnie jednorodna, homogeniczna, czy tam jest Solidarna Polska...

...Suwerenna Polska.
– ... czy jej nie ma. To drugorzędna kwestia. Po stronie bloku anty-PiS to wygląda nieco inaczej. Przesunięcia nie były łatwe, dokonały się pod groźbą spadku listy Trzeciej Drogi pod próg i tym samym porażki całego obozu anty-PiS.

O homogeniczność na prawicy także łatwiej ze względów historycznych, bo wśród poprzedniczek obecnej Zjednoczonej Prawicy nie było tak potężnej formacji, na jaką w swoim czasie wyrosło SLD. Ludowcy też są partią z historią i dobrze zinstytucjonalizowaną, a PO ma paradoksalny rodowód – toczy spór z PiS o historyczne dziedzictwo „Solidarności" i zarazem dostaje ogromne wsparcie ze strony wyborców SLD doby Kwaśniewskiego i Millera.

Natomiast PiS to formacja bez oczywistego korzenia, stąd taka rola mitu smoleńskiego i odżegnywanie się od Okrągłego Stołu. Nieco paradoksalne, bo Kaczyński nie był w tym procesie statystą, odegrał chwalebną rolę.

Kaczyński musiałby odejść z polityki, żeby przestał być punktem odniesienia dla tego podziału?
– W końcu się zacznie dekompozycja tego układu. Nastąpił przecież rozkład podziału pokomunistycznego, który strukturalizował politykę przez prawie 15 lat. Upadnie też PO-PiS. I to nie jest kwestia personalna. Nie należy przesadzać z personifikacją podziału, że jest Kaczyński, jest Tusk. Tuska nie było w krajowej polityce, a podział był tak samo silny.

Bo PiS grał nim cały czas. Wina Tuska była osią ich narracji.

1 RP

eprasa.pl 72aacc3640

– Otóż to. Obie główne siły są zainteresowane, aby podtrzymywać ten podział. On jest korzystny dla obu stron.

Bo się wzmacniają w swoim bloku, podjadając przystawki?
– Dajmy już spokój przystawkom. Podział na PiS i anty-PiS ma bardzo solidne ugruntowanie: wyrasta z samych trzewi społecznych. To nie jest tak, że się Tusk z Kaczyńskim umówili: będziemy się kopać, opluwać, wyzywać i widownię podzielimy na wiernych kibiców naszych klubów.

Jest u politologów pokusa ujmowania polityki jako gry. Ale ludzie obok interesów mają jakieś wartości, mniemania lepiej lub gorzej skrystalizowane, sympatie i antypatie – a przede wszystkim gdzieś przynależą. Do rodziny, parafii, wsi, kręgu zawodowego. Więc podział, o którym mówimy, ma w wielkiej mierze charakter kulturowy. Odnosi się do jednostek, ale uspołecznionych jednostek, ludzi żyjących wśród innych znaczących. W Polsce podziały kulturowe są ważniejsze niż podziały na tle interesów ekonomicznych.

Te kulturowe dotyczą zwłaszcza podstaw ładu społecznego. Elementy jednej wizji to: mąż, żona, dzieci, rodzice, praca zawodowa, kościół, gmina, wreszcie naród i państwo. Druga wizja to wizja społeczeństwa otwartego, świeckiego, z prawami gwarantującymi autonomię jednostki, jej wolności, w tym swobody obyczajowe, reprodukcyjne, podróżowania i zamieszkiwania, gdzie się chce – i w jej obrębie bardzo ważna jest Europa jako najlepsze miejsce do życia i gwarant zbiorowego bezpieczeństwa. Każda szczegółowa kwestia jakoś koresponduje z tymi światopoglądami.

A w przypadku bloku PiS dochodzi bardzo silny czynnik spajający w postaci lęku wywołanego modernizacją. Świat się zmienia tak gwałtownie, że trudno być przygotowanym na te wszystkie nowości.

W obozie PiS jest niewielu polityków progresywnych w tym znaczeniu, że demonstrujących otwarcie na świat, podejmujących próbę jego zrozumienia, przyswojenia zmian obyczajowych. Kiedyś było ich więcej. To skutek pierwszego wyboru, jakiego dokonali założyciele PiS: opowiedzenia się za rygoryzmem moralnym i prawnym. Obietnica punitywnego państwa, surowego, ale sprawiedliwego, wyniosła Lecha Kaczyńskiego, a za nim Jarosława, do władzy.

Natomiast obóz anty-PiS ma liczne zworniki, ale też siły, które go rozsadzają – i niebezpieczeństwa są widoczne gołym okiem. Teraz najbardziej jednoczy go historyczne doświadczenie, że każda formacja, która się dzieliła, marnie kończyła. Powszechna wśród liderów jest pamięć rządów SLD. Sojusz Lewicy Demokratycznej miał w wyborach w 2001 r. 41 proc. poparcia! A w 2005 r. spadło do nieco ponad 11 proc. W parę lat upadła partia, która miała wszystko – niemal całkowitą władzę, kadry, pieniądze. O tym pamięta i Tusk, i Kaczyński. Sądzę, że dlatego nie wyrzucił Ziobry.

A nie przez informacje, jakie Ziobro jako minister sprawiedliwości mógł mieć?
– To też. Niemniej główny powód był taki, że jego wyrzucenie, nawet jeśli jego partia miała marginalne poparcie, groziłoby dekompozycją bloku PiS. Ziobro nie wyleciał nawet wówczas, gdy Kaczyński się zorientował, że Fundusz Sprawiedliwości finansuje kampanię jego partii. Kazał mu się tylko nie dać na tym złapać.

Ale oprócz pamięci blokowi anty-PiS spójność nadaje też relatywna słabość trzech koalicjantów. Weźmy PSL. Siła ludowców w znacznej mierze budowała się na strukturach władzy lokalnej. Ostatni dramatyczny wynik w eurowyborach i dość słaby w samorządowych, mimo koalicji z Hołownią, pokazuje, jak ogromne straty kadrowe poniosło PSL w terenie.

Nowa Lewica od lat jest cieniem dawnego SLD, a fatalne jednoczenie Lewicy starej z młodszą i młodą bardzo pogorszyło sytuację tej partii. Razem nie wzięło udziału w tym jednoczeniu, Wiosna była w stanie agonalnym – stąd bunt w aktywie przeciwko warunkom zjednoczenia, krwawo stłumiony przez Czarzastego. Setki aktywistów znalazły się poza SLD i utrwalił się wodzowski model partii. Ale sytuacja Lewicy jest trudna również obiektywnie, nie tylko z powodu walki frakcji, błędów i ambicji liderów. PO przesunęła się programowo, stała się prawie centrolewicą, skutkiem czego partia Tuska, jako główny przeciwnik PiS, zyskała zaufanie licznych dawnych wyborców Lewicy.

To trwałe zjawisko, widoczne w sondażach, że ci, którzy się identyfikują z lewicą, wcale nie wybierają najczęściej Lewicy. W ostatnim sondażu CBOS 52 proc. tych, którzy identyfikują się z Lewicą, wybiera KO. Wcześniej było podobnie.

W 2021 r. CBOS odnotował silne przesunięcie, zwłaszcza wśród młodych, na lewo. A Lewica na tym nie zyskała.
– Ostatnie lata w Lewicy spowodowały wypłukanie z grona sympatyków pokolenia 60-, 70-latków, również ze względów programowych. To widać w wynikach według wieku. W najstarszych pokoleniach, gdzie wydawałoby się, że Lewica powinna mieć wciąż jeszcze elektorat tzw. biograficzny, ma bardzo niskie poparcie. Główne poparcie Lewicy jest w grupie do 34 lat, co wskazuje, że to jest ta lewica kulturowa, sympatyzująca raczej z Razem, a nie z nową Lewicą.

Tradycyjna triada, w której rozpatruje się siłę partii, to: partia w elektoracie, partia w parlamencie i partia w rządzie. W perspektywie rządowej siła Nowej Lewicy, podobnie jak PSL i Hołowni, jest duża. Wszystkie te partie obsadziły wiele stanowisk. Tylko że nie mają kadr. Problemem obecnie rządzących partii jest brak kompetentnych kadr, długo byli wszyscy odstawieni, nie mogą się oprzeć się na kadrach służby cywilnej.

PiS popełnił straszną rzecz dla państwa: w pierwszych miesiącach rządzenia zlikwidował służbę cywilną. W ministerstwach wyrzucono zdecydowaną większość dyrektorów departamentów i ich zastępców.

Pan jest w gronie zawiedzionych rządami Tuska?
– Nie. Współcześnie rządzenie jest trudne, rządy często pozorują kontrolę, bo główne zmienne są poza nimi – rynki światowe, wojna, epidemia, powodzie, katastrofy klimatyczne. A w przypadku rządu Tuska są niebagatelne kłopoty związane z koalicyjnością.

Pocieszające, że te wewnętrzne kryzysy do wyborów prezydenckich będą efektywnie regulowane.

Przecież będzie rywalizacja w obozie anty-PiS.
– Sądzę, że w czasie kampanii siły integracji przewyższą siły dekompozycji i po odbyciu rytuału rywalizacji wszystkich ze wszystkimi dojdzie w drugiej turze do poparcia kandydata KO przez obecnych koalicjantów.

Ale w pierwszej zetrą się Trzaskowski i Hołownia.
– To nadal prawdopodobne, ale już bym na to coraz mniej stawiał. Przeanalizujmy sytuację Hołowni i Trzeciej Drogi – odrębnie Polski 2050, odrębnie PSL.

W ogóle istnieje coś takiego jak Trzecia Droga?
– Istnieje tak, jak przez pewien czas istniał Palikot i jego partia. Trzecia Droga jako koalicja jest tworem schyłkowym. Nie przetrwa długo po wyborach prezydenckich. PSL ma mocniejszą tożsamość i mocniejsze struktury lokalne. Start Hołowni może, paradoksalnie, przyspieszyć klęskę Trzeciej Drogi, ale i Polski 2050. Powinien się dobrze zastanowić.

Ale w sumie dlaczego miałby nie wystartować? Przecież „Szymon prezydentem" to jest główny, a może i jedyny cel PL2050
– Z uwagi na perspektywę klęski już w pierwszej turze. Jeśli notowania kandydata KO, załóżmy, że Rafała Trzaskowskiego, będą bardzo wysokie w punkcie wyjścia, to nie będzie żadnej przestrzeni dla tego trzeciego. Nie będzie powtórki z wyborów w 2020 r. Względny sukces Hołowni – 2,6 mln głosów, czyli 13,87 proc. – wynikał z zużycia się Dudy jako reprezentanta obozu PiS oraz z pewnego zamętu po stronie KO. Jego wynik to był efekt świeżości, a dziś to już przeszłość. Hołownia spada we wszystkich rankingach.

Bo kluczył w sprawie aborcji?
– Sprawa aborcji dla głównej siły antypisowskiej, czyli dla KO, może pozostać nierozstrzygnięta.

Aborcja przestała być priorytetem dla większości? Z badań CBOS wiemy, że dla blisko 80 proc. najważniejsze są bezpieczeństwo, zdrowie, praca. Aborcja dla 50 proc.
– Bezpieczeństwo przede wszystkim, szeroko rozumiane, w tym socjalne, np. dbałość o emerytury. Tusk ma dobrą intuicję.

Sprawa aborcji może obniżyć wiarygodność Hołowni, ale nie rządu, nie Tuska?
– Ona będzie stale podnoszona, będzie dzieliła, będzie odciągała od innych problemów, negatywnie grała dla PSL, Hołowni, natomiast korzystnie dla Lewicy.

Poparcie dla Lewicy ani drgnie.
– Bo również wyborcy, a nie tylko politycy, rozwiązanie tej sprawy łączą z wyborami prezydenckimi, nie z działaniami Lewicy – ale pewne zasługi Lewicy zostaną przyznane.

Czyli temat drgnie, gdy wygra kandydat KO...
– ...a niestety, sytuacja nie jest wcale taka oczywista.

Że PiS przegra?
– Równowaga między PiS a obecną główną siłą koalicji, czyli PO, utrzymuje się. Sporo zależy od tego, na ile rząd Tuska pokaże sprawczość i czy będą jakieś powszechnie uznawane sukcesy rządu.

53 proc. jest niezadowolonych z premiera Tuska, 50 proc. źle ocenia jego gabinet – to ostatnie badanie CBOS z września.
– Mnie szczególnie niepokoi ponowna demobilizacja młodzieży. Narasta przewaga elektoratu starszych pokoleń – a strukturalnie to czynnik sprzyjający prawicowym partiom populistycznym.

Wydawało się, że w 2020 r., podczas wyborów prezydenckich, nastąpiła gwałtowna zmiana wzorów zachowań młodego pokolenia. Po pierwsze, młodzi poszli głosować prawie tak samo często jak starsi. Po drugie, głosowali w zdecydowanej większości na Trzaskowskiego. Różnica w ich postawach była ogromna względem roku 2015 czy nawet 2019. A ostatnie wybory i sondaże nie potwierdzają już tak dużej mobilizacji młodych.

A jeśli na przyszłoroczne prezydenckie nie pójdą tak tłumnie jak na parlamentarne w 2023 roku...
– ...to niewątpliwie będzie czynnik niekorzystny dla Trzaskowskiego. Jednak nierozstrzygający, a przecież jest możliwość i nadzieja, że kampania wyborcza jeszcze rozgrzeje młodzież.

Załóżmy, że wygra Trzaskowski. Tusk może zerwać koalicję z Trzecią Drogą i z Lewicą?
– Wtedy cały ten układ dwublokowy w kilka miesięcy może się zacząć rozpadać. Tusk musi rozpocząć wtedy walkę o wynik w wyborach parlamentarnych. Musi mieć jakieś sukcesy – wspólne z koalicjantami lub samodzielne.

Rozpad Koalicji 15 Października prawdopodobnie mógłby też spowodować rozkład, podział PiS. Bo jeśli znika ze sceny Kaczyński, to każda z sił tworzących rządową koalicję zechce się wybić na niepodległość, licząc, że prezydent stanie się stabilizatorem. Jeśli ktoś na tym wszystkim zyska, to – o ile wygra obóz anty-PiS – właśnie on, kimkolwiek by był. Bo będzie mógł wybić się na autonomię, będzie miał istotną rolę w powoływaniu koalicyjnych rządów i w procesie rządzenia.

Czyli obóz władzy teoretycznie wygra wszystko, ale przez to będzie miał kłopoty?
– Tak. Koalicja 15 Października może się rozpaść i powstanie nowy rząd. Na szczęście kraj jako taki, jako państwo, w takich warunkach też może pozostać stabilny. Polska konstytucja gwarantuje względnie sprawne powoływanie rządów, łatwiejsze niż np. w Holandii. Więc nie mam obaw, że jak się rozpadną te dwa bloki, to będzie koniec demokracji.

Co by się musiało stać, żeby to PiS wygrał wybory prezydenckie?
– Jakieś spektakularne klęski rządu, krach walutowy, wybuch inflacji, rozpad koalicji. Ale też słabe sondażowe wyniki Trzaskowskiego w momencie startu, bo ośmielą konkurentów. Ale jeśli nic bardzo dramatycznego się nie stanie i Trzaskowskiemu będzie szło dobrze, to wyborcy, którzy rok temu poparli obecną władzę – mimo niechęci wielu z nich do rządu, do Tuska i narastającego rozczarowania – nie będą mieli alternatywy.

W sondażach najsilniejszy Trzaskowski, Hołownia wypada słabo.
– Drugim będzie kandydat PiS. Może Mariusz Błaszczak? Ale w sumie w PiS się nie spieszą ze wskazaniem kandydata.

To jest niekończący się proces nrównież dlatego, że rząd stale odkrywa jakieś afery, za które odpowiadają ludzie Kaczyńskiego.
– Dlatego z tym kandydatem są takie problemy. Ale też dlatego, że kryteria Kaczyńskiego – okazały, z językami i przystojną żoną – najlepiej spełnia Trzaskowski. ●

Prof. dr hab. Jacek Raciborski

FOT. ADRIAN GRYCUK/WIKIMEDIA

• ur. w 1955 r., socjolog, pracuje na Wydziale Socjologii UW, redaktor naczelny „Studiów Socjologiczno-Politycznych". Autor m.in. książek „Polskie wybory" (1998), „Obywatelstwo w perspektywie socjologicznej" (2011), „Państwo w praktyce: style działania" (2017); „O mocy i niemocy współczesnego państwa polskiego" – wraz z Przemysławem Sadurą (2024), członek Zespołu Ekspertów Wyborczych Fundacji im. Stefana Batorego.

eprasa.pl 72aacc3640

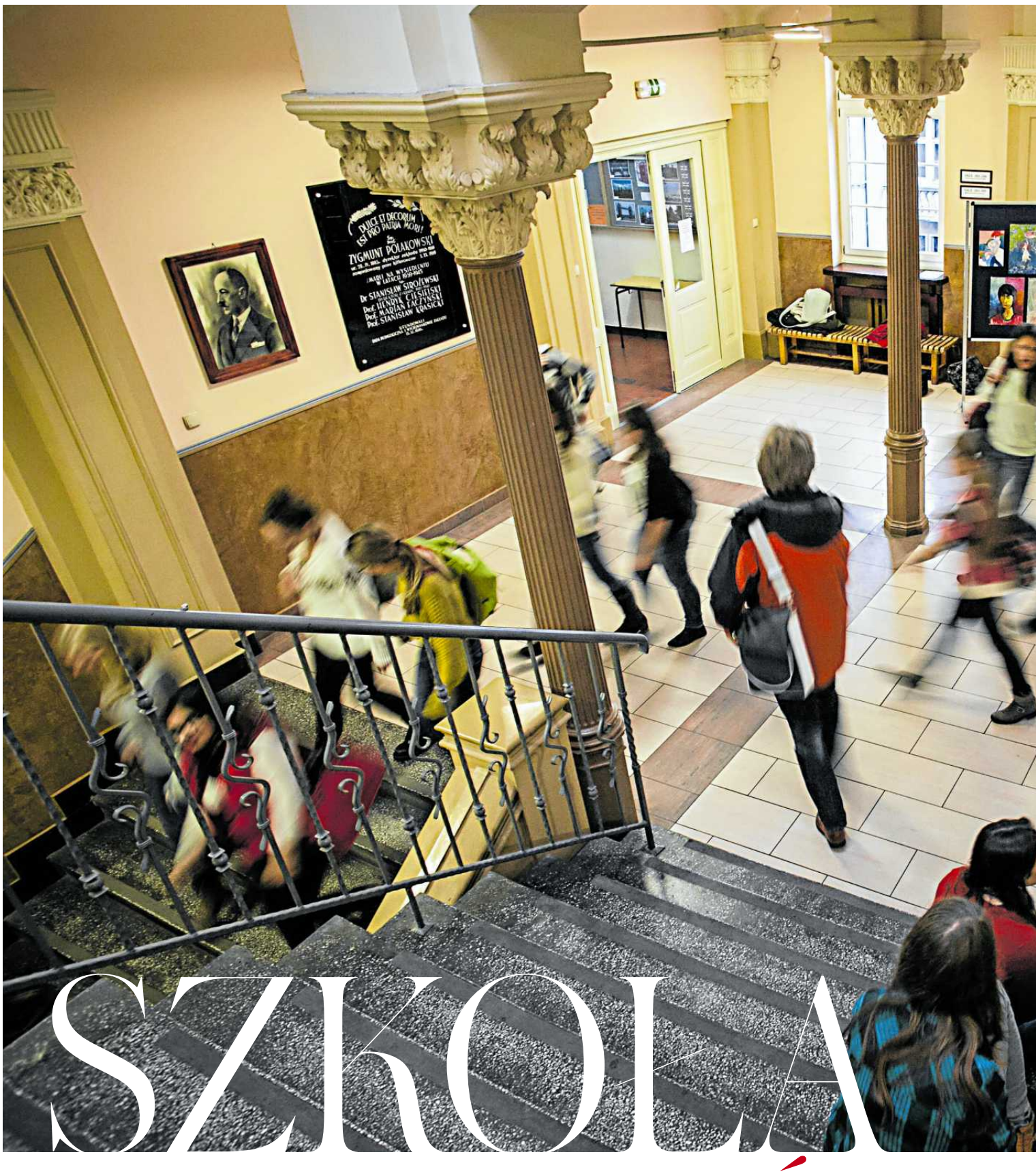

SZKOŁA BEZ DZWONKÓW

„My tworzymy budynki, a one potem tworzą nas" – mawiał Winston Churchill. Potrzebujemy przestrzeni, która ukoi zmysły i pozwoli naszemu systemowi nerwowemu odpocząć. I właśnie takim miejscem powinna być szkoła.

Z **DR JOANNĄ JURGĄ***, EDUKATORKĄ I PROJEKTANTKĄ PRZESTRZENI, ROZMAWIA **JAKUB KIBITLEWSKI**

JAKUB KIBITLEWSKI: Nie wspominam szkolnych lat ze szczególnym rozrzewnieniem. A ty?
DR JOANNA JURGA: Dla mnie ten okres też nie był najłatwiejszy. Byłam dzieckiem z nadwrażliwością sensoryczną, więc podstawówkę pamiętam przede wszystkim jako miejsce opresyjne.

Dlaczego?
– W pamięć wrył mi się huk otwieranych drzwi i niosący się echem wrzask dzieciaków pędzących przez korytarz. Do tego ten perwersyjnie głośny dzwonek, który jeszcze wiele lat później śnił mi się po nocach.

Szkoła raczej nie kojarzy się z komfortowym miejscem.
– Też to zauważyłeś? I to bez względu na wiek. Mnóstwo osób, z którymi rozmawiam, ma podobne odczucia. Nawet porównania ze szpitalem czy koszarami wojskowymi nie wydają mi się szczególnie naciągnięte. Większość z nas uczyła się przecież w tysiąclatkach, które miały spełniać podwójną funkcję na wypadek wojny z kapitalistycznym Zachodem.

Brak poczucia komfortu ma związek z zimnowojenną architekturą?
– To byłoby zbyt proste. Łatwo zapominamy, że oprócz mądrej podstawy programowej i wykwalifikowanych kadr nauczycielskich na jakość edukacji wpływa również przestrzeń, w której się uczymy. Jej fizyczny wymiar może angażować zmysły w sposób sprzyjający nauce lub do niej zniechęcać.

Ale problem leży moim zdaniem znacznie głębiej i wynika raczej z niezrozumienia tego, czym szkoła jest – albo czym być powinna – i do czyich potrzeb powinna być dostosowana. To, czy placówkę umieścimy w zmodernizowanej tysiąclatce, poniemieckim budynku z czerwonej cegły, czy w kameralnej wiejskiej szkole, jest sprawą drugorzędną.

Weźmy wspomniane tysiąclatki, czyli szkoły budowane w Polsce w odpowiedzi na powojenny wzrost demograficzny. Te budynki mają sporo zalet i nawet jeśli pierwotnie nie były dostosowane do potrzeb osób z niepełnosprawnościami, a wiele z nich jest dziś oblepiona styropianem i pomalowana na okropne pastelowe kolorki, bardzo łatwo poddają się mądrej modernizacji.

Pod względem doświetlenia, nasłonecznienia, wielkości sal, ich wysokości, długości korytarzy, to były świetnie pomyślane projekty i na ówczesne warunki stanowiły zupełnie nową jakość. Wiele z nich, w tym moja podstawówka, miało też wokół sporo zieleni i kompleks rekreacyjno-sportowy, co dziś wcale nie jest takie oczywiste. I pomimo tych wszystkich zalet obraz, który przychodzi mi do głowy, kiedy myślę o tysiąclatkach, to wciąż gigantyczny gmach przepełniony młodymi, głośnymi ludźmi, zimne korytarze, po których niesie się echo, i dzwonek, który napina cały system nerwowy.

Co zrobić, aby następne pokolenia nie miały takich skojarzeń?
– Dzieci będą definiować przyjazną, sprzyjającą dobremu samopoczuciu szkolną przestrzeń zupełnie inaczej niż dorośli, a to przecież one spędzają tam po osiem godzin dziennie przez pięć dni w tygodniu. Jeśli chcemy projektować szkoły, w których można czuć się komfortowo i bezpiecznie, punktem wyjścia powinna być perspektywa osób, którym ta przestrzeń ma realnie służyć.

Od czego byś zaczęła?
– Od zwrócenia uwagi, że szkoła jak każda inna przestrzeń może być odspołeczna albo dospołeczna. To terminy wprowadzone przez amerykańskiego antropologa Edwarda Halla jeszcze w latach 60. Odnoszą się do tego, jak ludzie funkcjonują względem siebie w określonej przestrzeni, jak pracują w niej nasze zmysły i jak wpływa to na nasz sposób komunikacji i komfort psychiczny.

Przestrzeń odspołeczna jest zaprojektowana, aby umożliwić sprawny przepływ ludzi, ale nie relacje międzyludzkie. Są to dworce czy stadiony sportowe, ale takim miejscem potrafią być też szkoły. To wszystkie miejsca, w których nie można się schować, szepnąć komuś czegoś na ucho, a zatrzymanie się w tłumie wiąże się z ryzykiem bycia rozdeptanym.

Jak się domyślam, z przestrzeniami dospołecznymi jest zupełnie odwrotnie.
– Tak, to przestrzenie naznaczone przytulnością. Ich cechą charakterystyczną są wszelkie zakamarki, zwężenia, miejsca, gdzie możemy się schować, zatrzymać, przysiąść, gdzie jeżeli coś powiemy, to nie słychać nas wszędzie, tylko słyszy nas osoba, do której mówimy. Te przestrzenie zachęcają nas do zbliżenia się do drugiej osoby i wejścia z nią w bliską interakcję.

Dla dzieci to szczególnie ważne?
– Zauważ, że jako dzieci kochamy się chować. Budowanie szałasu z koców czy chowanie się pod stołem nie jest zachowaniem przypadkowym. Ludzki gatunek od zawsze szukał sobie miejsc, w których czułby się bezpiecznie i komfortowo. Najpierw szukaliśmy schronienia w jaskiniach, a później budowaliśmy szałasy. Ale nawet kiedy zaczęliśmy wznosić bardziej złożone konstrukcje, impuls pozostał ten sam.

Potrzebujemy przestrzeni, która ukoi nasze zmysły i pozwoli naszemu systemowi nerwowemu odpocząć. I właśnie takim miejscem powinna być szkoła. Samo uczenie się jest dla dzieci i młodzieży wystarczająco męczące. Zadbajmy, żeby chociaż

eprasa.pl 72aacc3640

• Liceum w Bydgoszczy
FOT. ŁUKASZ NOWACZYK/ AGENCJA WYBORCZA.PL

Wiele osób, które po okresie mieszkania w Skandynawii posłało dzieci do polskiej szkoły, mówi, że pierwsze, co ich uderzyło, to krzyk

przestrzeń nauki nie była dla nich dodatkowym obciążeniem.

Szkoła może być czymś innym niż przestrzenią nauki?
– Coraz więcej państw dochodzi też do wniosku, że szkoła poza godzinami lekcyjnymi powinna też spełniać inne funkcje. Wiemy już o tym, że koncepcja 15-minutowych miast jest coraz szerzej przyjmowana na świecie i że większość z nas chciałaby żyć w przestrzeniach miejskich, które w odległości kwadransa oferują nam dostęp do obiektów rekreacyjno-sportowych, centrów kultury czy też miejsc, które można wynająć na różnego rodzaju warsztaty.

I coraz częściej myśli się też w ten sposób o przestrzeniach szkolnych, żeby po godzinach te szkoły mogły na siebie zarabiać, być ciekawiej i lepiej wyposażone. Podchodzi się do nich jako do przestrzeni wielozadaniowych. Dla bardzo wielu młodych osób przestrzeń szkoły nie jest tylko przestrzenią edukacyjną, ale też przestrzenią ochronną.

Co to znaczy?
– Jest przestrzenią, do której ucieka się z domu, ponieważ nie każdy dom jest bezpiecznym azylem. I takich młodych ludzi jest w Polsce bardzo dużo. W trakcie pandemii z polskiego systemu edukacji wypadło około sześciu tysięcy dzieci. To są dzieciaki, które nie włączyły się do nauczania online, ponieważ w ich domach nie było do tego warunków.

Bo nie miały komputera?
– Niekoniecznie. Czasem musiały opiekować się rodzeństwem, rodzicem albo pracować. Z tych wszystkich powodów ważne jest, żeby zacząć myśleć o szkole jako o przestrzeni, która ma nam bardzo wiele do zaoferowania, a nie tylko jest miejscem, do którego chodzimy na zajęcia, na lekcje, odbębniamy i wychodzimy. Niech to będzie przestrzeń, w której możemy się czuć bezpiecznie i która może być wspierająca.

Na początku rozmowy wspomniałaś, że obraz szkoły jako miejsca, które raczej przytłacza niż koi, przestrzeni odspołecznej, jak ją nazwałaś, dominuje w zbiorowej wyobraźni niezależnie od pokolenia. Potrafisz wytłumaczyć dlaczego?
– Szkoła jest tylko jednym z wielu symptomów pewnego szerszego zjawiska. Powiem wprost, nawet jeśli wielu osobom się to nie spodoba: przez dyktaturę kasy i deweloperki rozjechał nam się system wartości, a estetyka rozjechała się z funkcjonalnością. Sam to, że coś ładnie wygląda, nie oznacza, że jest dla nas dobre. Okulocentryzm, który zdominował naszą kulturę, projektowanie nastawione na bodźce wzrokowe z pominięciem innych zmysłów powoduje, że doświadczamy świata w sposób uboższy i w pewnym sensie patologiczny.

Zgadzam się z tym, co mówi Juhani Pallasmaa, wybitny fiński teoretyk architektury i autor „Oczu skóry": dominacja wzroku i stłumienie pozostałych zmysłów popycha nas w stronę wyłączenia, izolacji i powierzchowności. Moje doświadczenie zawodowe, ale też badania i prace projektowe, które opisuję w mojej książce, wyraźnie pokazują, że dla prawidłowego funkcjonowania człowieka w przestrzeni ważne jest nie tylko zachowanie równowagi wszystkich bodźców zmysłowych, ale też stworzenie warunków, w których mózg mógłby od nadmiaru bodźców odpocząć.

Tymczasem środowisko, w którym żyjemy, jego nieustająca kakofonia zapachów, dźwięków, kolorów i faktur, wzbudza w nas dyskomfort i lęk. Jesteśmy nieustannie monitorowani i ostrzegani o różnych zagrożeniach, ale nie czujemy się bezpiecznie. Nasze zmysły zostały wytrącone z równowagi. Sterylizacja otoczenia, społeczna indywidualizacja, technologizacja wielu dziedzin życia – to wszystko sprawia, że doświadczenia zmysłowe nam zanikają, a same zmysły wykorzystujemy w sposób nierówny.

Nieustanne przebodźcowanie, którego doświadczamy na zmianę z obronnym znieczuleniem naszego organizmu na bodźce zmysłowe, prowadzi natomiast do zaburzeń psychofizycznych, co sygnalizuje chociażby wzrost zachorowań na depresję, stany lękowe czy bezsenność. Po prostu coraz wyraźniej widać, że nie wytrzymujemy radykalnego tempa zmian środowiska, w którym żyjemy, a przestrzeń i przedmioty wokół nas, projektowane głównie z nastawieniem na walory estetyczne i komercję, nie pozwalają nam odpocząć. Stąd zaburzone poczucie bezpieczeństwa i komfortu.

Dlatego tak ważne jest synestetyczne podejście do projektowania, czyli takie, które uwzględnia wielozmysłowy odbiór rzeczywistości i pozwala zharmonizować bodźce zmysłowe, którymi odbieramy daną przestrzeń czy obiekt.

O poczuciu bezpieczeństwa i komfortu mówisz na jednym oddechu. Są dla ciebie tym samym?
– Kiedy mówimy o relacji człowieka z otaczającą go przestrzenią, te pojęcia współistnieją. Komfort rozumiem w tym kontekście jako skrajnie subiektywne doświadczenie psychofizycznego dobrostanu, uczucie swobody. Poczucie bezpieczeństwa traktuję natomiast jako jedną z podstawowych ludzkich potrzeb, której niezaspokojenie wiąże się z psychicznym cierpieniem.

Tutaj powołam się na moją dobrą przyjaciółkę, psycholożkę Martę Niedźwiecką, która poczucie bezpieczeństwa definiuje jako stan dużo bardziej złożony od komfortu, któremu towarzyszą zaufanie, ukojenie czy równowaga. Wewnętrzne poczucie bezpieczeństwa może utrzymywać się bez związku z warunkami środowiskowymi, ale może też zostać naruszone, jeśli te warunki są wrogie lub niesprzyjające.

W jakich warunkach człowiek czuje się najlepiej?
– Odczuwanie przestrzeni jako komfortowej czy bezpieczniej jest doświadczeniem jednostkowym i zależy od uwarunkowań konkretnej osoby i okoliczności. Nie ma więc uniwersalnej recepty na stworzenie przestrzeni publicznej, w której wszyscy razem i każdy z osobna czuliby się komfortowo. Wiemy natomiast, jakie warunki są dla naszego systemu nerwowego optymalne. Najlepiej odpoczywamy w miejscach o przygaszonym świetle i barwie około 2700 kelwinów, w temperaturze pokojowej w okolicach 22 stopni Celsjusza i wilgotności pomiędzy 50 a 60 procent.

Wiemy też, że regularna ekspozycja na hałas wiąże się problemami zdrowotnymi praktycznie na każdym poziomie, łącznie z problemami ze snem i koncentracją, a nawet zaburzeniami funkcjonowania układu nerwowego. Pomiary prowadzone przez Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego i Centralny Instytut Ochrony Pracy – Państwowy Instytut Badawczy pokazują, że poziom hałasu w polskich szkołach podstawowych potrafi sięgać nawet 90 decybeli. Przebywanie w takich miejscach grozi trwałym uszkodzeniem słuchu, a efekt echa, tak powszechny w naszych szkołach, obciąża nasz układ nerwowy nawet wtedy, kiedy świadomie już go nie wychwytujemy.

Jakie konkretnie zaproponowałabyś rozwiązania?
– Jeśli mówimy o zmniejszeniu hałasu i złagodzeniu efektu echa w przestrzeni szkolnej, te rozwiązania są bardzo proste. Przede wszystkim stosunek powierzchni twardych – czyli ścian, podłóg, mebli fornirowanych czy laminowanych – powinien być odpowiedni do powierzchni miękkich, takich jak dywany, zasłony, meble z tapicerką. Wprowadzając dywany i zasłony nawet do bardzo minimalistycznych wnętrz, wprowadzamy atmosferę przytulności i powstrzymujemy niesienie się dźwięków.

Dobrym pomysłem jest też zastosowanie podwieszanych paneli akustycznych, a to nie jest jakaś kosmiczna technologia. Mnóstwo takich paneli robi się z filcu i recyklingowanych tkanin. W starszych klasach w ramach zajęć plastyczno-technicznych można by na przykład zrobić warsztaty DIY z robienia takich paneli i powiesić je pod sufitem. Można je wykonać z końcówek dykty, ze sklejek, z rzeczy, które gdzieś tam w szkole w różnych magazynach na pewno zalegają. Samo to zrobi już ogromną różnicę i radykalnie poprawi jakość dźwięku, sprawiając, że ta szkolna przestrzeń nie będzie tak bardzo męcząca.

Ale i pod względem oświetlenia przydałoby się w naszych szkołach parę zmian...

Masz pewnie na myśli te koszmarnie brzęczące jarzeniówki?
– Białe świetlówki coraz częściej zastępuje się lampami LED, natomiast wciąż pokutuje zbyt mała wiedza o tym, jakiego światła realnie potrzebujemy, żeby podnieść jakość naszego samopoczucia w konkretnej przestrzeni. Z reguły potrzebujemy cieplejszego światła, a oświetlenie w klasach nadal jest bardzo prosektoryjne, bardzo białe. I chociaż rano takie światło faktycznie nas pobudza, zimą, kiedy dzieciaki siedzą w szkole do godziny 16, albo jeśli chodzą do szkoły zmianowo, co w niektórych rocznikach ostatnio miało miejsce, kompletnie zaburza nasz cykl dobowy.

Nawet jeśli pomalujemy klasę na pomarańczowo, kiedy wrzucimy tam białe światło, nasz organizm nadal będzie odbierał taką przestrzeń jako zimną. Nasz zmysł temperatury odpowiada zarówno za tem-

eprasa.pl 72aacc3640

peraturę zewnętrzną i za temperaturę wewnątrz nas. I to jest ciekawa kwestia, bo poza tym, że odczuwamy zmiany temperatury w sensie fizycznym, ciałem, odbieramy ją też wzrokowo.

Miałam okazję badać takie sytuacje głównie w biurowcach, w których pomimo temperatury grubo powyżej 22 stopni – co nie jest optymalną temperaturą ani do pracy, ani do życia – pracownicy cały czas skarżyli się na zimno. Bardzo białe światło i ściany wykończone w bardzo zimnych kolorach powodowały u nich przekłamanie poznawcze.

Przeglądałam też pod tym względem aktualne projekty szkół. I tendencja, którą obserwuję, że wszystko ma być biało-szare, jest dobra pod warunkiem, że panujące tam światło będzie w spektrum cieplejszym od neutralnego. Unikniemy wtedy też sytuacji, kiedy grzejniki w klasie są rozkręcone na maksa, a dzieciaki i nauczyciele nadal marzną.

Powinniśmy na pewno sprawdzić, jakie mamy światło i dostosować je do pomieszczeń. Ma to również związek z tym, jak słońce wędruje po widnokręgu. I jest to coś bardzo starego w naszym organizmie. Rano to światło musiało być chłodne, żeby melatonina przestała się wytwarzać, żebyśmy byli gotowi do pracy, na ogół na świeżym powietrzu. A czym później w ciągu dnia, to światło musiało być coraz cieplejsze, tak żebyśmy wieczorem byli gotowi pójść spać. Ciepłe światło kojarzyło nam się ze światłem ognia, czyli tego bezpiecznego miejsca, więc ma radykalnie duży wpływ na to, jak odbieramy daną przestrzeń.

Ważnym aspektem jest też ograniczanie kolorów. Przestrzenie dla dzieci bardzo często sprzedaje się rodzicom. Przeprowadziłam mnóstwo rozmów z rodzicami i nauczycielami na temat tego, czy szkoły powinny być kolorowe.

Na pewno wiele osób uważa, że powinny.
– Rodzice, którzy wyrośli w komunie, w szkołach, gdzie były sraczkowate lamperie, są przekonani, że szkoły muszą kolorami tryskać, bo dzieci tego potrzebują. Tylko że od jakichś 15 lat dzieci wychowują się z tabletami i telefonami, w których nie ma funkcji monochromatycznej. Wszystko jest przesycone kolorem i dzieciaki są wizualnie przestymulowane, więc wprowadzanie dodatkowych bodźców kolorystycznych w szkołach nie wyjdzie im na dobre.

Oczywiście na pewnym etapie rozwoju te kolory są nam bardzo potrzebne, bo oko wykształca się jako ostatnie, a dzieci nie widzą półtonów do drugiego roku życia. Ale potem już widzą i już na etapie podstawówki im mniej bodźców wizualnych, tym lepiej.

Szkoła ma być czarno-biała?
– Nie, mamy przecież mnóstwo kolorów pomiędzy. To nie muszą być barwy RGB nasączone na 100 procent. Poszliśmy w najgorszą możliwą stronę, dochodząc do wniosku po czasach PRL-u, że teraz wszystko powinno być pastelowe, bo wcześniej było szarobure. I nawet architektura, która była skromna, ale porządna, teraz często wygląda fatalnie.

A patrząc na kontekst przestrzeni publicznej, praca z kolorem jest niezwykle ważna. Żyjemy na północnej półkuli, więc przez przez większą część roku mamy światło pod bardzo dużym kątem, co powoduje, że kolory, które świetnie pracują na równik, u nas przez większość roku będą miały odcień siny, bo złapią to sine, niskie słońce i nie będą tak pracować.

Więc wyciąganie kolorów przestrzeni, którymi się otaczamy z natury, rozbarwianie naszego morza, naszego lasu, naszego piasku, czyli nie turkusu, tylko bardziej gołębiego koloru i raczej sosny, a nie tropikalnej zieleni, powoduje że te kolory zaczynają lepiej pracować w słońcu, które mamy wokół siebie, i też z materiałami, które współpracują z naszym otoczeniem. A ta lokalność w architekturze i projektowaniu przestrzeni jest niezwykle ważna, bo jej głównym założeniem jest właśnie to, żeby przestrzeń nam realnie służyła.

A co powiesz o używanych w szkole materiałach?
– Brakuje naturalnych. Wszędzie mamy okleiny i laminaty, które wyglądem może i przypominają drewno, ale wystarczy ich dotknąć, żeby poczuć różnicę. Oczywiście zarządcy szkoły powiedzą, że to zaleta, bo łatwo się takie powierzchnie sprząta i dezynfekuje, ale to zupełnie inne meble od tych, które wielu z nas pamięta z dzieciństwa. Na takim materiale inaczej się siedzi, oparty na biurku nadgarstek przykleja się do powierzchni.

Płyty meblowe mają też zupełnie inne właściwości akustyczne. Po tamtych meblach można było łatwiej ryć cyrklem, faktycznie, ale to już kwestia na osobną rozmowę o świadomości, że o rzeczy wspólne powinniśmy lepiej dbać, żeby inni też mogli z nich korzystać. Dotyczy to zresztą całej przestrzeni publicznej.

Wspomniałaś o zaburzonym cyklu dobowym. Te brutalnie wczesne pobudki są dzieciakom potrzebne?
– Absolutnie nie. Z bardzo wielu badań wiemy, że licealiści powinni zaczynać szkołę później, bo dzieciaki w okresie dorastania mają przesunięty cykl dobowy. Są nawet wyniki amerykańskich badań pokazujące, że rozpoczęcie porannych zajęć godzinę później przekłada się na mniejszą liczbę wypadków samochodowych i dużo lepsze wyniki na egzaminach. Mówimy tu o różnicy rzędu kilkunastu procent.

Ze względu na hormony u młodzieży licealnej później wytwarza się melatonina. Siedzenie przed komputerem też nie pomaga. Więc dodatkowa godzina snu rano zrobiłaby w ich organizmach ogromną różnicę. I w wielu polskich szkołach faktycznie zaczyna się o tym rozmawiać.

Oczywiście będą się też zdarzać takie skrajne przypadki jak na przykład ja, gdzie osoba o chronotypie wczesno-porannym budzi się między 5 a 6 rano. Natomiast zdecydowana większość osób w wieku szkolnym potrzebuje rano pospać nieco dłużej i uświadomienie sobie tego na poziomie systemowym przełożyłoby się na mniej spóźnień i większą trzeźwość umysłu.

Jest to dość ważny postulat. Tym bardziej że wprowadzenie takich zmian nie wymagałoby żadnego remontu, ale przestawienia logistyki. Jest też nieodłącznie powiązane ze światłem, więc jeśli miałabym wskazać dwie interwencje, które względnie małym kosztem mogą zmienić jakość przestrzeni szkolnej na lepsze, to będzie to wymiana żarówek na ciepłe bądź takie, które możemy z poziomu aplikacji dostosowywać do pory dnia.

No i zmniejszenie poziomu hałasu panelami akustycznymi. A dodatkowo likwidacja dzwonków. No bo umówmy się, dziecko, idąc do szkoły, rozumie, czym jest zegarek. Dzieciaki mają na nadgarstkach smartwatche, żeby rodzice mogli je monitorować na każdym poziomie. Dlatego wszyscy jesteśmy w stanie określić, ile tej lekcji minęło, bo te umiejętności mają już dzieci nawet w pierwszej klasie podstawówki.

Grono pedagogiczne i rodzice pamiętający stare dobre czasy mogą ten pomysł przyjąć z lekkim oburzeniem. Przecież obok krzyża i godła stałym elementem każdej polskiej szkoły zawsze był dzwonek.
– Dlatego zanim zaczniemy cokolwiek zmieniać, wytłumaczmy sobie merytorycznie, dlaczego te zmiany są nam w ogóle potrzebne.

Hałas jest drugim po zanieczyszczeniu powietrza największym zanieczyszczeniem środowiskowym w Europie. Hałas w miastach zabiera nam dziesięć lat życia. Zlikwidujmy chociaż jedno źródło tego hałasu, to najmocniejsze, z którym codziennie przez osiem godzin w szkole mierzą się nasze dzieci.

Nie wychodźmy z założenia, że skoro my sobie z czymś poradziliśmy, to nasze dzieci też sobie z tym poradzą. A jeśli nie chcemy tych dzwonków wyłączać, ściszmy je, zastąpmy odgłosem śpiewu ptaków. Pójdźmy na kompromis, klaszczmy, stukajmy w biurka, cokolwiek. Tym sposobem zejdziemy przynajmniej z połowy zasobu dźwięków.

Zróbmy sobie stan pośredni. Ewolucja, nie rewolucja. Idąc za Davidem Eaglemanem i danymi podanymi w jego książce „Mózg. Opowieść o nas", informacje dźwiękowe mają szybszy transfer do mózgu niż informacje wzrokowe, dlatego na zawodach używa się na start sygnału dźwiękowego, a nie wzrokowego. Ale możemy przynajmniej zejść z tonu, bo poziom decybeli, które wytwarza dźwięk dzwonka, mieści się w skali uszkadzającej słuch.

Ktoś próbował stworzyć szkołę bez dzwonków?
– Takie szkoły istnieją w wielu krajach. Takim przykładem jest Finlandia. W wielu systemach edukacji alternatywnej w Polsce też już są takie rozwiązania. Zakładając, że homo sapiens ma za sobą 250 tysięcy lat rozwoju, jesteśmy w stanie skomunikować się z dziećmi, nie wywracając ich systemu nerwowego dźwiękiem, który kojarzy nam się z informacją o zagrożeniu życia. To nie jest ani odkrycie na miarę Kopernika, ani na miarę lotu w kosmos, tylko kwestia ustalenia pewnych zasad.

Oddajmy tym dzieciakom sprawczość i umówmy się na konkretną godzinę. Przecież na przerwach są też nauczyciele, więc wystarczy, że ktoś powie: „słuchajcie, umawiamy się, że kiedy zaklaszczę trzy razy, to jest ten moment, kiedy wracamy na lekcję". Wiadomo, wprowadzenie takiego rozwiązania może chwilę potrwać, szczególnie u pierwszoklasistów. Ale jeżeli będziemy o tym rozmawiać i będziemy się uczyć wzajemnego szacunku i zaufania, to nie widzę powodu, dlaczego miałoby to nie zadziałać.

Hałas to nie tylko dzwonki. Sama mówiłaś, że szkoła w twojej pamięci to wrzask dzieciaków pędzących przez korytarz.
– Wiele osób, które po okresie mieszkania w Skandynawii posłało dzieci do polskiej szkoły, mówi, że pierwsze, co ich uderzyło, to krzyk. U nas wszędzie wszyscy mówią bardzo głośno, przekrzykują się. Jeżeli przekrzykujemy się w domu przez telewizor, potem przekrzykujemy się w samochodzie przez radio, a na końcu wchodzimy do szkoły i nie uczymy się od podstaw kultury komunikacji, dialogu, wymiany myśli, tylko się na siebie drzemy, to powoduje, że nawet jeżeli nie ma dzwonka, to też będziemy się próbowali przekrzyczeć.

Będziemy oczekiwać, że coś nas zagłuszy, informując nas o tym, że już czas na lekcje albo na przerwę. Przecież nawet na zewnątrz, przy boisku, możemy powiesić dobrze widoczne zegary i zawrzeć umowę społeczną. Da się to zrobić nawet z małymi ludźmi. A chorobą zawodową nauczycieli po 20 latach pracy przestanie być przewlekły nieżyt gardła.

„Dzwonek jest dla nauczyciela", pamiętasz? Obawiam się, że mimo najlepszych chęci takie rozwiązania byłoby ciężko wprowadzić na szerszą skalę. W polskiej szkole dominuje jednak model wychowawczy przypominający bardziej koszary wojskowe niż opartą na partnerstwie płaską hierarchię. Odzwierciedla to sama przestrzeń, choćby układ klasy.
– Zróbmy w takim razie dwa kroki wstecz. Nasz system edukacji jest systemem pruskim, powstałym w XIX wieku w celu wykształcenia pracowników fabryk, którymi będzie łatwo zarządzać. Nie tylko my, bo też kraje ościenne, w tym Niemcy, utknęliśmy w tym systemie. Z jego adaptacją do potrzeb dzisiejszego świata jednym poszło lepiej, drugim gorzej. U nas ten model rzeczywiście jest wciąż wyjątkowo archaiczny, a zmiana takiego stanu rzeczy na poziomie krajowym jest niemałym wyzwaniem.

Zawód nauczyciela jest najbardziej niedocenionym zawodem w tym kraju, wykonywanym za koszmarnie niskie pieniądze. Wielu ludzi robi to z poczucia misji, tylko dlatego, że ma zasoby albo osobę partnerską, której wsparcie pozwala jej taki zawód wykonywać. Chwała Bogu, że mamy jeszcze ludzi o takiej budowie charakteru, bo inaczej skończylibyśmy bardzo źle. Ale są to też ludzie bardzo szybko wypaleni, ludzie, którzy nie potrafią się odnaleźć w systemie, który cały czas się zmienia, no bo każda nowa figura ministerialna wprowadza swoje widzimisię, bardzo często skrojone pod wyborców.

A wprowadzanie zmian w organizacji tak gigantycznych rozmiarów zajmuje potem lata. I to prawda, że nasza szkoła nie ma struktury płaskiej, ma strukturę bardzo hierarchiczną. Do tego odpływ osób z zawodu nauczycielskiego jest ogromny. I zgodzę się, że chociaż zmiany są konieczne, powinny być stopniowe. Patrząc też na poziom zmęczenia i przebodźcowania samych nauczycieli, to sugerowanie możliwości wprowadzenia takich zmian jak pozbycie się dzwonków można zacząć od poziomu pojedynczych szkół, bo szkoły też mają przecież swoją autonomię w tym zakresie.

Zaczęliśmy od żarówek i dzwonków, a jesteśmy w temacie umowy społecznej.

1 RP

Wszystko jest przesycone kolorem i dzieciaki są wizualnie przestymulowane, więc wprowadzanie dodatkowych bodźców kolorystycznych w szkołach nie wyjdzie im na dobre

eprasa.pl 72aacc3640

– Bo szkoła to przede wszystkim instytucja społeczna. My tworzymy budynki, które potem tworzą nas – chyba Winston Churchill to powiedział. Bardzo lubię to zdanie. Wszystko zaczyna się od wspólnoty, od umowy społecznej właśnie. Podejmujemy świadomą decyzję, że ja chcę ciebie uczyć, a ty chcesz być uczony, i tworzymy system, w którym edukacja jest ogólnie dostępna i ma nam coś zapewnić.

I ta struktura już istnieje, ale jeżeli nie będzie opierać się na dialogu, jeżeli nie będziemy rewidować tej struktury w odniesieniu do aktualnych potrzeb wspólnoty, to robienie tych budynków i przestrzeni będzie bardzo trudne. Nie chodzi przecież o wymyślanie koła na nowo, tylko o zaadaptowanie istniejących już struktur.

Wiemy, co nam szkodzi. Szkodzi nam hałas, szkodzi nam nieodpowiednie światło. Porozmawiajmy z uczniami o tym, co im doskwiera, i zastanówmy się wspólnie, co możemy zrobić. W wielu szkołach pojawia się na przykład temat tego, że dzieciaki nie mają się gdzie wyciszyć. I są szkoły, które pilotażowo w bibliotekach wprowadziły miejsca do leżakowania dla całkiem dużych dzieci.

Inicjatywa wyszła od samej młodzieży i rodziców, i udało się to zrobić. Pani bibliotekarka musiała pogodzić się z tym, że dzieciaki nie będą przychodzić tam tylko poczytać, ale też po prostu będą odpoczywać od hałasu szkolnych korytarzy. Jedna z moich studentek, która zajęła się tym tematem, w swoich badaniach pokazała, że w wielu przypadkach dzieciakom faktycznie brakuje w szkole cichego miejsca, w którym mogłyby poleżeć i odpocząć. To realna potrzeba, o której mówią nam same dzieci. Teraz bardzo wiele dzieciaków jest neuroatypowych albo ma zaburzenia z zakresu integracji sensorycznej.

To zmiany oddolne. A co wyżej?

– Warszawa już parę lat temu wprowadziła obowiązkowe standardy architektoniczne dla nowych i modernizowanych szkół, kierując się założeniem, że placówki powinny być „łatwo dostępne, przyjazne, powiązane z otoczeniem i działające na rzecz lokalnej społeczności".

Modelowym przykładem jest na pewno Szkoła Podstawowa nr 399 na Ursynowie zaprojektowana przez Macieja Siudę. Okazuje się, że szkoły publiczne można też robić, bazując na nowoczesnych standardach. Bo zbudować małą prywatną szkołę w lesie to jest fajna zabawa, ale powiedzmy sobie szczerze, nie jest to wielkie wyzwanie, kiedy w salach jest po dziesięć osób, a do dyspozycji mamy ogromny budżet. Takie instytucje są elitarne.

A jeżeli mówimy o placówkach na kilkaset czy kilka tysięcy dzieci, to tu już robi się spore wyzwanie. Jest taki bardzo fajny przykład z Hangzhou w Chinach, gdzie studio architektoniczne, zanim zabrało się do tworzenia projektu placówki, najpierw zapytało dzieci, jaką chciałyby mieć szkołę. I dzieciaki narysowały nie moloch, ale zbiór domków, co potem faktycznie przełożono na realny projekt. Można? Można.

Jest to przykład projektowania partycypacyjnego, czyli takiego, które uwzględnia w procesie planowania potrzeby osób, które mają z obiektu korzystać. Pierwsze projekty tego typu pojawiły się już w XIX wieku, ale takie podejście jest rzadko stosowane.

Szkoda. Dlaczego?

– Po pierwsze, wymaga ponadprzeciętnego zaangażowania, a po drugie, zmusza projektanta, żeby przytemperował swoje ego. Nawet jeśli teorię mamy w małym palcu i wiemy, co ma jakie właściwości akustyczne, to ten kilkulatek czy nastolatek, który spędza w szkole osiem godzin dziennie, zna swoje potrzeby i wie, co się najlepiej sprawdzi.

Dlatego mam taki postulat, żeby projektanci częściej rozmawiali z najmłodszymi, ale też brali pod uwagę potrzeby nauczycieli, którzy są w hardkorowej sytuacji, zarówno pod względem obciążenia obowiązkami, jak i pod kątem wynagrodzenia czy w ogóle gratyfikacji za pracę, którą wykonują.

Wszystkie te pomysły wywracają nasz obecny system do góry nogami.

– Ale właśnie dlatego powinniśmy usiąść do okrągłego stołu i porozmawiać o wyzwaniach polskiej edukacji w XXI wieku. Mamy w tej sprawie wielogłos, a tu jest potrzebna gruntowna rozmowa, co małymi krokami, w planie długofalowym – nie rocznym, lecz dziesięcioletnim, dwudziestoletnim – jesteśmy w stanie zrobić, żeby dzieciaki, które pójdą wtedy do szkoły, mogły pewnym krokiem wejść w dorosłość, zaopiekować się tym krajem i zapewnić nam dobrą starość, a niekoniecznie chciały nas wieszać na latarniach.

Szkoła – przede wszystkim szkoła publiczna, chociaż nie zawsze, bo jak doskonale wiemy, wiele dobrze sytuowanych rodzin też jest patologiczna – to również schron. To miejsce, gdzie jest się bezpiecznym, gdzie można dostać posiłek, gdzie nikt nie wymaga od nas pracy bądź opieki ponad siły, gdzie można być dzieckiem. Ludzie mają w domach bardzo różne sytuacje, więc szkoła, rozumiana jako przestrzeń dająca nam poczucie bezpieczeństwa, to coś, co powinniśmy podkreślać. ●

FOT. FOT. JUSTYNA JAWORSKA / ARCHIWUM PRYWATNE

Dr Joanna Jurga

• jest projektantką przestrzeni, edukatorką i badaczką związaną z Uniwersytetem SWPS w Warszawie. Specjalizuje się w projektowaniu bazującym na poczuciu bezpieczeństwa. Analogowa astronautka i dwukrotna komandorka symulacji misji kosmicznych w Mobilnej Stacji Badawczej Lunares. Finalistka konkursów MakeMe, Young Design, Innovation Ad oraz Jutronauci. Jest również autorką podcastu #BEZPIECZNIK i książki „Szałas na hałas"

Kanibale krytykują mięsożerców

PiS, PO jedno zło? Nawet jeśli, wolę zło „w trybie" niż „bez trybu"

Marcin Matczak

Obecny rząd łamie prawo tak samo albo jeszcze gorzej niż PiS" – to chyba najbardziej bulwersujące kłamstwo, jakie się u nas szerzy. Złodzieje krzyczą, że są okradani, paserzy, że odbiera im się to, czego nie mieli prawa dostać, a gwałciciele praworządności skarżą się publicznie, że to ich się molestuje.

I pada to na podatny grunt. Bo to tak, jakbyś grał z oszustem w szachy. On dostawia dodatkowe figury, zamienia miernego piona na hetmana bez dojścia do końca szachownicy. Czy masz kontynuować grę w tych warunkach, czy też masz prawo wyrzucić nielegalnie dodane figury z szachownicy? Ludzie obserwujący całość partii zrozumieją sens tych działań. Ci, którzy mają pamięć złotej rybki, będą widzieć tylko wyrzucanie figur. I będą krzyczeć: „faul"!

Ta propaganda jest w pewnym sensie zrozumiała – PiS w ten sposób broni się przed zarzutami (on nie był taki zły, skoro inni są tacy sami), ale jednocześnie kontynuuje swój zamach na praworządność. Tak, kontynuuje, bo przez tę propagandę chce przekonać ludzi, że prawa już nie ma, a więc nie może być i sprawiedliwości. W ten sposób powstaje przekonanie, że trzeba to wszystko zaorać, bo jedni są drugich warci.

●

Tymczasem różnica między PiS a obecną władzą jest kolosalna i wynika z tego, czym jest praworządność. Jak pisze najwybitniejszy chyba jej badacz na świecie Martin Krygier, praworządność to sytuacja, w której władza nie może realizować swojego widzimisię, bo jest kontrolowana. Przez co? Przez system regulacji i instytucji, nazywany „systemem równowagi i kontroli" (checks and balances).

Kluczowym elementem tej kontroli są niezależne sądownictwo, ale także wolne media, instytucje, takie jak prokuratura czy NIK. To one mają pilnować, żeby większość, która wygrała wybory, nie naruszała praw mniejszości, powołując się na demokrację. Bo już raz tak było, że większość wygrała demokratyczne wybory, a potem zaatakowała, zamknęła w obozach i spaliła mniejszość. I chodzi o to, żeby nie tylko to się nigdy nie powtórzyło, ale żeby nawet się nie zbliżyć do równi pochyłej, po której można by się w tym kierunku zacząć staczać.

Kluczowa różnica między tym, co robił PiS, a tym, co robi obecna władza, jest taka – PiS likwidował wszystkie elementy równowagi i kontroli, żeby nikt go nie kontrolował. I prawie dopiął swego. Obecna władza jest przez systemy checks and balances kontrolowana i nie tylko nie dąży do ich likwidacji, ale je wzmacnia.

●

Zacznijmy historycznie – od początku kryzysu konstytucyjnego. To prawda, że rząd PO/PSL w 2015 roku wybrał nielegalnie dwóch nadmiarowych sędziów do TK. PiS jednak zaskarżył te działania do Trybunału Konstytucyjnego, a więc poddał jej normalnej kontroli sądowej. To była normalna demokracja, normalna praworządność. Ale zaraz potem zaczęło się dziać coś nienormalnego – PiS wycofał wniosek z TK. A więc już tej kontroli nie potrzebował.

Dlaczego? Bo dostrzegł swoją szansę na rozmontowanie systemu. To był kluczowy moment całej tej historii: partia, która wygrała wybory, zrozumiała, że skoro przeciwnik sfaulował, to nie ma co odwoływać się do VAR, tylko należy ten VAR zlikwidować.

Ostatecznie TK uchylił nielegalny wybór sędziów przez PO/PSL. Ale było już za późno. PiS zaczął likwidować ograniczenia. Samodzielnie, bez sądu, unieważnił wybór pięciu sędziów do TK i wybrał dublerów – tak, aby sądy nie mogły tego skontrolować. Ustawy atakujące TK uchwalał bez okresu vacatio legis, żeby TK nie mógł ich ocenić.

A potem już poszło: reasumpcje („musimy powtórzyć, bo przegramy") i obrady w Sali Kolumnowej, których nikt nie miał ważyć się oceniać. Wybory kopertowe, za których chęć sprawdzenia prześladowano prokuratorów. Niszczenie życia sędziom chcącym kontrolować działania PiS (kazus Juszczyszyna). Wreszcie zaprzeczanie, że sądy międzynarodowe mogą oceniać to, o czym zdecydował Kaczyński i spółka. O atakach na media, próbach odbierania koncesji, a więc także likwidowaniu kontroli, nie wspominam. Wszystko to miało jeden cel – zniszczyć mechanizmy, które mogą ograniczać władzę.

Dodatkowo, PiS miał i ma swojego prezydenta, który potulnie akceptował ten demontaż praworządności. Wprawdzie zawetował ustawy Ziobry, atakujące SN, ale zastąpił je swoimi, które miały dokładnie ten sam cel – kontrolować kontrolujących.

●

A co się stało po 15 października? Jedną z pierwszych decyzji Adama Bodnara było przystąpienie Polski do Prokuratury Europejskiej – tej, której Ziobro bał się jak ognia. To nie jest gest władzy, która unika kontroli – wprost przeciwnie.

Potem, nawet gdy działania rządu Tuska budziły wątpliwości prawne, zawsze podlegały ocenie sądowej, której nikt nie unikał. Czy było to przejęcie TVP, czy wycofanie kontrasygnaty – każde z tych działań było dokonywane w procedurach, w których to sądy, a nie politycy, ostatecznie oceniają, czy są legalne. Dlatego Kaczyński wchodził na mównicę sejmową „bez trybu" i tak samo odwoływał legalnie wybranych sędziów TK, a Tusk działał „w trybie", w którym zaraz sąd powie, czy mógł cofnąć kontrasygnatę, czy nie. I tak jest w normalnych państwach. I dlatego państwo PiS, które strategicznie unikało takiej kontroli, było nienormalne.

O tej nienormalności świadczy także stosunek do sędziów – za czasów PiS każda ich decyzja, która była nie po myśli polityków, kończyła się publiczną nagonką. Czy ktoś z was pamięta, żeby politycy obecnego rządu organizowali lincz sędziego, który nie uwzględnił wniosku aresztowego wobec Marcina Romanowskiego?

Dodatkowo ten sam prezydent, który pomagał niszczyć praworządność PiS, dzisiaj kontroluje działania rządzących swoim wetem, którego oni nie mogą odrzucić. I to ma być autorytaryzm i bezprawie?

Praworządność to sytuacja, gdy władza jest kontrolowana, żeby nie mogła robić tego, co jej się żywnie podoba. PiS, niszcząc mechanizmy kontroli, dążył do tego, żeby nie być kontrolowanym. Dlatego był autokratyczny. Obecna władza jest kontrolowana i tych mechanizmów nie osłabia.

I to jest podstawowa różnica. A ci, którzy tego nie widzą, są jak kanibale, którzy krytykują mięsożerców, że nie są wegetarianami. ●

Nakładem Znaku właśnie ukazuje się wspólna książka Marcina Matczaka i Marcina Makowskiego **„Jak zatrzymać koniec świata. Rozmowy o religii, prawie i polityce".**

eprasa.pl 72aacc3640

ŚWIAT

Lepszego niż Ukraina poligonu dla AI Pentagon z Doliną Krzemową nie mogli sobie wymarzyć.

DRON NIE ZADAJE ZBĘDNYCH PYTAŃ

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

• **Cud inżynierii wojskowej - dron Roadrunner firmy Anduril, którego oprogramowanie oparte jest na sztucznej inteligencji, może szybko zmieniać metody walki**

Mateusz Mazzini

Widziałeś „Oppenheimera"?

Michał* spotyka się ze mną na warszawskim Powiślu. Do Polski przyjechał na chwilę, odwiedzić rodzinę. Mieszka w Londynie, pracuje jako analityk danych w dużej firmie IT. Studiował w Wielkiej Brytanii i USA, ma doświadczenie w organizacjach międzynarodowych.

Dane, które analizuje w pracy, to bardzo specyficzna forma informacji. To, czym się zajmuje, określa się mianem białego wywiadu albo z angielska OSINT, od Open Source Intelligence. Zaczynał kilka lat temu od przeczesywania Twittera i innych mediów społecznościowych. Dzisiaj sam projektuje modele wykorzystujące technologię uczenia maszynowego, żeby jak najszybciej wychwycić wydarzenia mogące mieć wpływ na biznesy jego klientów.

Rozmowę zaczynamy od tego, co Michał jest w stanie wyszperać w internecie własnoręcznie. Chwali się, że jego ulubioną rozrywką jest obserwacja ruchu samochodowego przez rosyjskie kamery przemysłowe – podobno dostęp do tej transmisji jest banalnie prosty do zdobycia. Opowiada mi też, jak w jego firmie wyglądał luty 2022 r. – wszyscy pracownicy, łącznie z kadrą kierowniczą, zostali ściągnięci do biura, niektórzy z niego nie wychodzili. Nie zadawali sobie pytania „czy", tylko „kiedy" Rosjanie uderzą. Moment wejścia wojsk na terytorium Ukrainy Michał oglądał na żywo, bo tamte graniczne kamery też zidentyfikował.

Jego wyraz twarzy zmienia się jednak na bardziej pochmurny, kiedy wspomina o filmie Christophera Nolana opowiadającym o „ojcu bomby atomowej", szefie projektu Manhattan, zwieńczonego Hiroszimą i Nagasaki.

– Oczywiście, że widziałem. Dlaczego pytasz?

– Bo w moim środowisku niektórzy potraktowali metaforę o byciu „niszczycielem światów" trochę zbyt dosłownie.

Sięga po telefon i wyświetla mi weekendowe wydanie „The Financial Times". Artykuł z 28 marca to sylwetka Palmera Luckeya, 32-letniego amerykańskiego przedsiębiorcy i wynalazcy, założyciela Anduril Industries – spółki produkującej autonomiczne systemy obronne i ofensywne dla wojska, głównie drony. Autor, przywołując głosy ludzi z branży technologicznej, nazywa Luckeya „Oppenheimerem Doliny Krzemowej".

Michał ledwo zaczyna opowieść, a ja już przewracam oczami, bo w Luckeyu widzę chodzący stereotyp. Chłopak na zdjęciu ma na sobie japonki, szorty i hawajską koszulę – nosi się identycznie jak Sam Bankman-Fried, upadły heros świata nowych technologii, były król kryptowalut. Założona przezeń giełda FTX wywindowała go na okładkę „Forbesa" i dała miliardy dolarów zysku, po czym okazało się, że dokonywał grubych oszustw finansowych.

Drugim ważnym elementem w rysopisie Luckeya jest nazwa jego firmy. 32-latek zaczytywał się we „Władcy Pierścieni" – o czym sam chętnie opowiada w mediach. Anduril, po elficku „Płomień Zachodu", to miecz, którym walczył Aragorn, jeden z najważniejszych bohaterów trylogii Tolkiena. Inspiracja tymi powieściami jest zresztą w sektorze technologii wojskowej dość powszechna. Najbardziej znana firma zaopatrująca Pentagon w rozwiązania oparte na uczeniu maszynowym to Palantir – od kuli z „Władcy Pierścieni", umożliwiającej bezprzewodową komunikację i anonimowe podglądanie wybranych miejsc.

•

Anduril Luckeya i Palantir, założony przez Alexa Karpa, łączy jednak coś więcej niż sympatia do świata elfów i Hobbitów. Kolejnym ich wspólnym mianownikiem jest Peter Thiel, współzałożyciel Palantira, pierwszy inwestor w Andurilu – i jedna z najbardziej kontrowersyjnych postaci w Dolinie Krzemowej.

Współtwórca – z Elonem Muskiem – systemu PayPal, który na początku wieku zrewolucjonizował płatności w internecie, w 2016 r. nie tylko dofinansował zwycięską kampanię Donalda Trumpa, ale – jako jeden z nielicznych guru Doliny Krzemowej – wsparł go publicznie, występując na konwencji Republikanów. Chętnie eksponuje konserwatywne i libertariańskie jednocześnie poglądy, krytykuje Demokratów zwłaszcza za zbyt progresywną politykę opartą na poprawności politycznej. W tegoroczną kampanię miał się już nie angażować – ale wtedy jeszcze nie wiedział, że kandydatem Republikanów na wiceprezydenta zostanie J.D. Vance, inny jego protegowany.

„The Financial Times" spekulował nawet, że wybór Vance'a jako partnera Trumpa był warunkiem zaangażowania się finansowego Thiela i Elona Muska w kampanię. Ostatecznie wsparcie przyjęło formę głównie networkingową – Thiel i Vance mobilizują bogaczy z Doliny Krzemowej, by to oni przelewali pieniądze na konto komitetu Republikanów. W czerwcu, jeszcze przed ogłoszeniem nominacji Vance'a, zorganizowali nawet wieczór zapoznawczy pomiędzy technologiczną elitą i Trumpem. Jak później doniósł dziennik „Wall Street Journal", tylko to jedno spotkanie przyniosło wpłaty w wysokości 80 mln dolarów.

•

Palmer Luckey też nie ukrywa fascynacji byłym prezydentem. Zanim założył Anduril, pracował w Facebooku. Odpowiadał m.in. za stworzenie Oculusa, zestawu oferującego technologię rzeczywistości wirtualnej. Odszedł jednak w niesławie po tym, jak ujawniono, że wspierał finansowo aktywistów atakujących Hillary Clinton w czasie kampanii prezydenckiej osiem lat temu. Według „The Financial Timesa" im głośniej opowiadał się po stronie Trumpa, tym bardziej był spychany na towarzyski margines w Dolinie Krzemowej. Aż poszedł na swoje – zajął się dronami, autonomicznymi systemami obronnymi. I czekał, aż wahadło przechyli się w drugą stronę.

Opłaciło się, bo skoncentrowanie się na wykorzystaniu sztucznej inteligencji w przemyśle obronnym okazało się strzałem w dziesiątkę. A publiczne deklaracje wsparcia ówczesnego prezydenta nie pozostały niezauważone. Anduril powstał w 2017 r., kiedy Luc-

Z oprogramowania Palantira korzysta kilkanaście ukraińskich ministerstw i instytucji publicznych. Jego technologie pomagały Ukraińcom namierzać i trafiać w cele w Rosji

1 RP

eprasa.pl 72aacc3640

key miał zaledwie 25 lat. Już niecałe dwa lata później Pentagon przyznał mu pierwszy kontrakt na dostawę sprzętu i technologii. Młoda firma została zakwalifikowana do programu „Project Maven", mającego przyspieszyć tempo wdrażania AI w siłach zbrojnych. Anduril miał też wspierać codzienne funkcjonowanie samego Departamentu Obrony – portal śledczy „The Intercept", opierając się na wycieku tajnych dokumentów z administracji Trumpa, napisał w 2019 r., że firmę Luckeya wytypowano do współtworzenia infrastruktury dla nowo powstałej w Pentagonie komórki do spraw sztucznej inteligencji i uczenia maszynowego.

„Oppenheimer Doliny Krzemowej" wykorzystał w nowej firmie doświadczenia z pracy przy Oculusie, bo pierwszym produktem, który sprzedał rządowi, była technologia tworząca wierne, trójwymiarowe modele dowolnego miejsca na ziemi, co ułatwiłoby sprawowanie kontroli nad realną geografią. Dzięki czujnikom naziemnym i w dronach system tworzył mapę 3D, którą następnie sam obserwował. Bez udziału żołnierzy był w stanie wyśledzić jakikolwiek ruch, a przede wszystkim – zidentyfikować jego źródło. A zbierane dane karmiły algorytm, który dokładnie przewidywał dalsze możliwe wydarzenia na obserwowanym wycinku terenu.

Innymi słowy, Luckey zaoferował administracji Trumpa perfekcyjną inwigilację.

●

Luckey, z typową dla technologicznych geniuszy milionerów pyszałkowatością, zaczął się publicznie przechwalać sukcesami. Na prestiżowej branżowej konferencji Web Summit w Lizbonie w listopadzie 2018 r. opowiedział, że jego sprzęt „jest już używany w terenie, w miejscach, o których nie może mówić".

Szybko okazało się, że technologia Andurila służy do monitorowania przestrzeni wokół co najmniej dwóch amerykańskich baz wojskowych. Ważniejsze jednak było to, do czego Luckey był potrzebny Trumpowi. Trójwymiarowe modelowanie i bezzałogowa obserwacja terenu to idealne narzędzia do pilnowania południowej granicy USA – a jej uszczelnienie było przecież jednym z głównych postulatów kampanii wyborczej milionera celebryty. Z obiecywanym przez „The Dona" murem granicznym poszło średnio – budowa się ślimaczyła, a te fragmenty, które powstały, przemytnicy ludzi potrafią sforsować – ale rząd federalny stworzył skuteczny mur wirtualny. Według dokumentów „The Intercept" tylko w czasie 10-tygodniowego testu system Andurila wychwycił i pomógł aresztować 55 migrantów w dolinie rzeki Rio Grande.

Trump miał wobec Luckeya wielkie plany – chciał wdrożyć jego produkt do codziennego użytku w amerykańskim wojsku, wyposażając w niego oddziały w Afganistanie. Przeszkodziły mu pandemia i przegrane w 2020 r. wybory. Ale jeśli wygra z Kamalą Harris w listopadzie, zwiększy rolę „Płomienia Zachodu" w portfolio dostawców Departamentu Obrony.

Zwłaszcza że spółka mocno się rozwinęła. Dzisiaj oferuje drony ofensywne, zdolne pokonać 450 kilometrów, samodzielnie namierzyć cel i zawisnąć nad nim nawet na cztery godziny w oczekiwaniu na idealny moment do wystrzelenia pocisku. Projektuje również drony zwalczające drony i czujniki do wykrywania tych maszyn. W ciągu kilku lat Luckey stał się człowiekiem w pojedynkę zaspokajającym z pomocą AI całą mnóstwo potrzeb amerykańskiego wojska.

Jego oferta biznesowa od początku oparta była na prostym założeniu: Stany Zjednoczone mogą zostać twierdzą nie do zdobycia, stając się „napuszonym jeżozwierzem", który odstrasza samym widokiem. Trzeba przyznać, że dzięki jego pomysłom uda się osiągnąć ten stan relatywnie tanio i bez ryzykowania życia żołnierzy. Odetchnie więc podatnik, odetchną rodziny, którym na progu domu nie będzie już wręczana zwinięta flaga narodowa.

W dodatku jego wektor polityczny zbiega się z wektorem amerykańskiej dyplomacji – nie tylko czasów Trumpa. Bo jedną kwestią polityki zagranicznej, wokół której w Waszyngtonie panuje ponadpartyjny konsensus, jest podejście do Chin jako największego zagrożenia dla roli USA na świecie. A Luckey w deklarację założycielską firmy wpisał pytanie: „Xi Jinping myśli, że jest w stanie pokonać amerykańską wynalazczość w dziedzinie bezpieczeństwa. Ma rację?".

●

Zastosowanie technologii opartej na uczeniu maszynowym w przemyśle obronnym nie jest wyłączną domeną Republikanów. Jak przypomina David Wallace-Wells, ważny autor „New York Timesa", pierwsze poważne ruchy w kierunku wcielenia AI do wojska poczyniła już pierwsza administracja Baracka Obamy. Również Joe Biden ochoczo korzysta z zasobów Doliny Krzemowej.

• **Palmer Luckey, współzałożyciel firmy Oculus VR Inc. i twórca Oculus Rift, demonstruje nowy zestaw słuchawkowy Oculus Rift**
FOT. DAVID PAUL MORRIS/BLOOMBERG ZA POŚREDNICTWEM GETTY IMAGES

Problem w tym, że Pentagon niewiele z tych rozwiązań jest w stanie przetestować w sytuacjach realnego zagrożenia. Obecny prezydent wycofał wojska z Afganistanu, wskutek czego Amerykanie wprost biorą udział w tylko jednym konflikcie zbrojnym – od grudnia 2023 r. przewodniczą międzynarodowej koalicji zwalczającej rebeliantów Huti w basenie Morza Czerwonego. Amerykańskie drony tam działają, ale to pole bitwy o ograniczonej skali. Na granicy z Meksykiem też nie wszystko można zrobić – tu na przeszkodzie stoją prawo federalne i kwestie etyczne, które zwłaszcza w roku wyborczym trzeba mocno brać pod uwagę. Amerykanie nie mogą więc swoich autonomicznych systemów testować sami.

Zamiast nich robią to Ukraińcy.

Według oficjalnych danych rządowych – stan na wrzesień 2024 – Pentagon podpisał z Andurilem osiem kontraktów na dostawę sprzętu i technologii. Przynajmniej w ramach jednego z nich systemy Luckeya zostały wysłane siłom ukraińskim jako pomoc wojskowa. Sztuczna inteligencja odgrywa kluczową rolę w odpieraniu Rosjan. I sama się przy tym doskonali, bo warunki, w których amerykańską broń wykorzystują Ukraińcy, są najlepsze z możliwych. To regularna wojna, z prawdziwymi celami i grą o najwyższą stawkę – ludzkie życie i przetrwanie całego narodu. W takich sytuacjach wszystkie chwyty są dozwolone.

W lutym zaangażowanie amerykańskich firm technologicznych w ukraińską machinę obronną stało się tak wyraźne, że magazyn „Time" poświęcił tematowi okładkę. Vera Bergengruen pisała w korespondencji z Kijowa, że firmy zza oceanu „zamieniły Ukrainę w swoje laboratorium sztucznej inteligencji".

●

Kluczową rolę odgrywa w nim Palantir. Alex Karp – któremu deklarowanie się jako „socjalista" i wspieranie Demokratów nie przeszkadza we współpracy z Thielem czy chwaleniu działań Izraela w Palestynie – był, według „Time", pierwszym prezesem zachodniej spółki, który po rozpoczęciu inwazji osobiście spotkał się w Kijowie z Wołodymyrem Zełenskim. Ponoć zaoferował mu wtedy technologię, która „pozwoli Dawidowi pokonać Goliata". Dzisiaj z oprogramowania Palantira korzysta kilkanaście ukraińskich ministerstw i instytucji publicznych. Sami Ukraińcy przyznają, że technologia od Karpa odpowiada za namierzanie zdecydowanej większości celów, w które uderza ich wojsko. Niewykluczone, że ostatnio amerykańskie systemy pomagają trafiać w budynki i inne obiekty w samej Rosji.

Sztuczna inteligencja przydaje się jednak nie tylko na polu bitwy. Ukraińcy używają jej do szacowania szkód wyrządzonych przez rosyjskie bomby i rakiety, symulowania scenariuszy rozwoju konfliktu, a nawet do zbierania dowodów rosyjskich zbrodni wojennych. Dlaczego więc eksperci od bezpieczeństwa technologicznego patrzą na to wszystko z dużym niepokojem?

Już wiadomo, że Ukraińcy używają przeciwko Rosjanom wyposażonych w systemy AI półautonomicznych dronów – i w misjach ofensywnych, i obronnych. Kreml twierdzi, że też ma taką technologię, chociaż te deklaracje budzą wątpliwości – obwarowana sankcjami rosyjska gospodarka teoretycznie nie powinna być zdolna do wyprodukowania tak zaawansowanej broni.

Niewykluczone, że z pomocą przyszedł Iran. Frank Bajak i Hanna Arhirowa, reporterzy Associated Press, już w styczniu ubiegłego roku donosili, że Teheran – dotąd traktowany z lekceważeniem, jako dostawca śmiertelnie groźnych dla cywilów, lecz z wojskowego punktu widzenia prymitywnych, spalinowych dronów Shahed – jest w stanie stworzyć półautonomiczne, a nawet całkowicie autonomiczne drony.

W wojskową sztuczną inteligencję bardzo mocno inwestują też Chińczycy, nie tylko na własny użytek. Ich współpraca z Rosją przy produkcji dronów trwa w najlepsze pomimo sankcji. Według informacji zebranych przez Robert Lansing Institute, amerykański think tank zajmujący się obronnością, powstał ogromny łańcuch dostaw podzespołów dla półautonomicznych systemów ofensywnych. Jest tak wielki i złożony, że zdaniem analityków część transakcji może nawet odbywać się bez wiedzy rządu w Pekinie.

Na tej współpracy rosną rosyjskie firmy. Jedna z nich, SITEM, produkująca kamery przemysłowe i drony, dzięki zamówieniom od wojska zanotowała wzrost przychodów na poziomie 131 proc. rok do roku. A produkować może na potęgę, bo części dostaje z Chin.

Braterstwo w zakresie sztucznej inteligencji zatwierdzono również politycznie. Na początku lutego przedstawiciele Kremla pojechali do Pekinu rozmawiać o tym, co jeszcze można razem zrobić. Efektem była „deklaracja o zwiększonej współpracy ekspertów z Rosji i Chińskiej Republiki Ludowej w zakresie autonomicznych systemów wojennych", jak można przeczytać w notce prasowej rosyjskiego MSZ.

●

Biorąc pod uwagę tempo rozwoju technologicznego, pytanie o pierwsze starcie wojenne całkowicie pozbawione czynnika ludzkiego zmienia się z „czy?" na „kiedy". A być może nawet takie już się odbyło.

Jest niemal pewne, że do samodzielnej walki – na poziomie poligonowej symulacji, najpewniej bez ofiar w ludziach – wysyła DARPA, słynna jednostka badawczo-rozwojowa amerykańskiego Departamentu Obrony. Ale niepotwierdzone doniesienia o takich zdarzeniach w realu, w warunkach bojowych, docierają co jakiś czas z frontu w Ukrainie oraz z Bliskiego Wschodu, w kontekście rywalizacji Izraela z Iranem.

Jednak żadna ze stron się do tego nie przyzna z kilku powodów. Po pierwsze, to kwestia bardzo delikatna, politycznie kontrowersyjna, która może wywołać wzburzenie opinii publicznej. Po drugie, brakuje szczegółowych międzynarodowych regulacji, więc użycie autonomicznych dronów zabójców może zostać uznane za zbrodnię wojenną. A po trzecie i zapewne najważniejsze – po co zdradzać się z posiadaniem technologii, którą można trzymać w ukryciu, również przed nieprzyjacielem?

Associated Press zadało oficjalne pytania o użycie autonomicznych systemów wojskowych Rosjanom i Ukraińcom. Żadna ze stron nie była w stanie nawet zgodzić się co do definicji „autonomicznego systemu".

Próbę udowodnienia, że maszyny już zabijają samodzielnie, podjęła ONZ. Jak podaje raport opublikowany w marcu 2021 r., autonomicznych systemów użyto w wojnie domowej w Libii. Chodziło o tureckie drony Kargu-2, znajdujące się na wyposażeniu sił Rządu Zgody Narodowej, walczących z Libijską Armią Narodową. Tę wspierają Zjednoczone Emiraty Arabskie, wysyłające rebeliantom między innymi rosyjską broń. Według ekspertów ONZ Kargu-2 „zaprogramowano do ataku na wrogie cele bez stałej łączności z operatorem". Producent dronów, firma STM, stwierdził, że śledztwo było nierzetelne i oparte na poszlakach.

Turcy do dziś utrzymują, że nie mają w arsenale dronów, które byłyby w stanie wystrzelić pocisk bez autoryzacji człowieka. Ale według wyliczeń magazynu „Foreign Affairs", najbardziej prestiżowej publikacji w świecie stosunków międzynarodowych, siły zbrojne co najmniej 30 krajów już używają systemów autonomicznych. Szeroko stosują je choćby – co nie dziwi, zważywszy na technologiczno-startupową specjalizację izraelskiej gospodarki – Siły Obronne Izraela w Gazie i na Zachodnim Brzegu.

●

– Ta technologia jest już kilkanaście razy bardziej zaawansowana, niż ludziom się wydaje – mówi mi Michał. – Wojna w Ukrainie dała impuls do gigantycznego rozwoju stricte inżynieryjnego, ale ważniejsze, że przyniosła mnóstwo danych, których inaczej byśmy nie mieli. Bo dane to największa bariera dla doskonalenia tych modeli. Im więcej masz danych dobrej jakości, tym maszyna szybciej sama się uczy.

Michał tłumaczy mi, jak ważne w sieciach neuronowych jest nagradzanie modelu za podejmowanie właściwych decyzji. W dużym skrócie – chodzi o wysyłanie maszynie sygnału, że dobrze zareagowała na wcześniej wydaną komendę. Łatwo sobie wyobrazić, na czym proces ten miałby polegać w przypadku autonomicznych systemów wojskowych.

– Nie widzę przesady w określaniu takich ludzi jak Luckey „Oppenheimerami". Oni już mają ogromne wpływy w Pentagonie.

– A co dalej? Co będzie, jeśli znowu prezydentem zostanie Trump? – pytam na koniec.

– Sam sobie odpowiedz. ●

• **Mateusz Mazzini** (rocznik 1990) – reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Pisze o krajach Ameryki Łacińskiej, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. W 2020 r. nominowany do Grand Press za reportaż prasowy. Autor książek **„Koniec tęczy. Chile po Pinochecie"** oraz „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów". Współprowadzi program „Wider View" w TVP World.

eprasa.pl 72aacc3640

Adam Krzemiński

NIEDŹWIEDZIE SIĘ NIE ZMIENIAJĄ

Także następca Putina będzie przekonany, że USA chcą zniszczyć Rosję

Codzienne depesze są elektryzujące, tyle się dzieje – Ukraińcy podeszli pod Kursk, Rosjanie kontratakują, ukraińskie drony nad Moskwą, rosyjskie postępy w Donbasie... Ale spoglądając z dystansu, na szerszy plan – na frontach wojny Putina z Ukrainą nie ma przełomu. Jak w starym powiedzeniu: złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma.

Lecz i w Rosji, i w Stanach spoglądają na jeszcze szerszy kadr. Tu i tam rozmyśla się o tym, jaka Rosja będzie po tej wojnie.

W czerwcu „Niezwisimaja Gazieta" – której margines niezależności jest chyba mniejszy niż „Polityki" w stanie wojennym, dzięki czemu staje się cennym źródłem pozwalającym czytać między wierszami – spróbowała spojrzeć poza horyzont obecnej rosyjskiej polityki zagranicznej. Autorzy, profesorowie historii Aleksander Łukin i Władimir Łukin, zaczynają wykrętnie: „Kryzys ukraiński, podobnie jak wszystkie poprzednie konflikty, prędzej czy później się zakończy, a Rosja będzie kontynuować swoją historyczną drogę".

Krętactwo polega na próbie zignorowania – przez przyjęcie dziejowo-filozoficznej perspektywy – że każdy kryzys kiedyś się kończy, dość istotne jest również, jak się kończy. Od tego, jak zakończy się najazd Moskwy na sąsiedni kraj, zależy bowiem nie tyle to, czy Rosja BĘDZIE KONTYNUOWAĆ, lecz jak ZMODYFIKUJE swoją historyczną drogę w Europie.

Stwierdzenie autorów, że w Rosji „z mrocznych głębin masowej świadomości wynurzyli się najbardziej radykalni ideolodzy, dawniej uważani za marginalnych", wygląda odważnie, ale uwaga, iż po wojnie „margines znowu okaże się marginesem, podczas gdy główny nurt zachowa i wzmocni swoją grawitację", zakrawa na oszustwo albo myślenie życzeniowe ludzi reżimu – że po meczu wystarczy zmiana koszulek...

Łukinowie – a trzeba mieć na uwadze, że obaj są z najwyższej półki rosyjskiej politologii, Władimir to były dyplomata, były poseł, obecnie profesor Wyższej Szkoły Ekonomicznej, Aleksander kieruje tam katedrą spraw międzynarodowych i jest dyrektorem w Centrum Studiów nad Azją Wschodnią i Współpracą w ramach Organizacji Szanghajskiej – przyznają, że świat się zmienia na niekorzyść Rosji, która wprawdzie „pozostanie na świecie dużym i wpływowym krajem", ale „jej rzeczywisty potencjał nie stawia jej w pierwszych szeregach". Nie ma przyspieszonego wzrostu. Nie dogania czołowych gospodarek. W 1991 r. jej PKB był o 25 proc. wyższy niż Chin i dwa razy większy niż Indii, dziś gospodarka chińska jest dziesięć razy silniejsza od rosyjskiej, a hinduska – dwa razy.

Amerykański budżet wojskowy jest dziesięć razy większy niż rosyjski, chiński – niemal cztery razy, a hinduski – niemal taki sam. W 1989 r. ludność radzieckiej Rosji liczyła nieco ponad 147 mln mieszkańców, dziś ma nieco mniej. Ludność USA wzrosła tymczasem z 250 mln do 340, Chin – z 1 mld 153 mln do 1 mld 413 mln, a Indii – z 864 mln do 1 mld 399 mln. Rosji już brakuje siły roboczej.

Nawet jej potencjał nuklearny, program kosmiczny i surowce energetyczne nie są już takim zwornikiem potęgi jak w czasach ZSRR. Nikt na Rosję nie napadnie, ale, szukając analogii, mimo że północna Korea ma broń jądrową, to ta południowa dzięki swej potężnej gospodarce i rozwojowi społecznemu cieszy się w świecie respektem.

Dlatego Rosja „po kryzysie" będzie potrzebować nowej polityki zagranicznej, choć – ubezpieczają się Łukinowie – „w kompromisie z istniejącymi ideologicznymi utopiami, mitami i kompleksami, wzywającymi do przywrócenia ZSRR, Imperium Rosyjskiego czy imperium euroazjatyckiego Chubilaja ze stolicą w Pekinie".

Tym „kompromisem" ma być kopia skoku gospodarczego Niemiec i Japonii po II wojnie światowej, powtórzonego potem przez Koreę Południową, Chiny, Indie, Brazylię, Malezję, Indonezję. Przy czym, co ciekawe, Łukinowie nie zaliczają Rosji do antyzachodniej „światowej większości". „Nawet teraz Rosjanie w Europie uchodzą za Europejczyków, choć nieco odmiennych. Natomiast w Azji praktycznie nikt Rosjan nie uważa za Azjatów". Rosja jeszcze nie może być pełnoprawnym centrum globalnej potęgi, ale jest przechodnim łącznikiem, bo przenosi „Europę do Azji i Azję do Europy". Lecz „zaniedbanie jednej strony lub przejście na drugą nie wróży nic dobrego". Stąd westchnienie o odwagę na Kremlu. O jakiegoś rosyjskiego Kissingera, a po nim Deng Xiaopinga, który na trwałe przemodelował Chiny – wtedy najsłabsze ogniwo w trójkącie z USA i Rosją.

Daleki od euroazjatyzmu Putina i jadu propagandy esej to mieszanka gorzkich półprawd, pojęciowej ekwilibrystyki i irytujących historycznych przemilczeń. Rosyjscy historycy pomijają fakt, że odbudowa Niemiec i Japonii była skutkiem planu Marshalla – polityki USA w odpowiedzi na stalinowskie zniewolenie Europy środkowo-wschodniej i ekspansję Moskwy w Azji. Przemilczają też fakt ustrojowej transformacji obu krajów po wojnie, które przyjęły demokratyczne wartości, rozwiązania ustrojowe i rozpoczęły krytyczny rozrachunek z przeszłością.

Łukinowie za to mgławicowo sugerują „przynajmniej częściową" reanimację zniweczonych przez Putina relacji z Zachodem – zwłaszcza z Niemcami, Francją i Włochami, które nie chcą się podporządkować Waszyngtonowi, bo mają „nadzieje na przywództwo w zjednoczonej Europie i aktywną rolę w świecie". Będą więc zainteresowane korzyściami płynącymi ze współpracy gospodarczej z Rosją. Tym bardziej że Europa „wyjdzie z kryzysu znacznie zubożona, z niezadowoloną ludnością. I pomocne może być dla niej przynajmniej częściowe przywrócenie tradycyjnych więzi gospodarczych z Rosją". A Ukraina, „przyzwyczajona do otrzymywania pomocy za darmo i w ogromnych ilościach będzie nadal otwarcie zawstydzać i krytykować europejskich przywódców za to, że nie zwracają wystarczającej uwagi na jej problemy. Kijów, który twierdzi, że jest nieformalnym duchowym przywódcą proamerykańskiej nowej Europy, będzie poważnym problemem dla starej Europy", która może się pokusić o „dozowanie presji na Kijów poprzez zbliżenie z Moskwą". Czyli nic nowego: Rosja „po kryzysie" ma wrócić w koleiny wygrywania byłych mocarstw kolonialnych zachodniej Europy przeciwko byłym rosyjskim koloniom z „bliskiej zagranicy".

Zaś wzorcem ma być Rapallo. Łukinowie przypominają, że w 1922 r. Lenin z jednej strony porozumiał się z Niemcami, a z drugiej przez NEP – Nową Politykę Ekonomiczną – poszedł na kompromis z „burżuazją". Toteż teraz „ostateczne i publiczne wyrzeczenie się totalitarnej spuścizny ZSRR, także w sensie prawnym, nie tylko uspokoiłoby wiele obaw we wschodniej Europie, ale także postawiłoby Rosję w znacznie korzystniejszej sytuacji w sprawie wysuwanych wobec niej roszczeń".

Czołowi przedstawiciele rosyjskiej myśli geopolitycznej uważają, że Europa koniec końców przymknie oko na notoryczne łamanie traktatów granicznych, uroczystych zobowiązań i prawa międzynarodowego, ale umyka im, jak bardzo zmieniło się myślenie Europejczyków, nawet tych sceptycznych wobec Waszyngtonu i amerykańskiego statusu globalnego żandarma, czego objawem choćby wejście do NATO Finlandii i – po 200 latach neutralności! – Szwecji.

Łukinowie liczą na nowe Rapallo, by „po kryzysie" dozować presję na Kijów. Do czego się odwołują? W 1922 r. Moskwa porozumiała się z Niemcami jawnie w kontrze wobec mocarstw zachodnich, a w tajnym układzie wojskowym przeciwko Polsce, z którą rok wcześniej w Rydze zawarła pokój, wytyczając kompromisową granicę. Rapallo było przygotowaniem do jej militarnej rewizji, potwierdzonej w sierpniu 1939 r. tajnym protokołem paktu Ribbentrop-Mołotow i wrześniową defiladą Wehrmachtu i Armii Czerwonej w powalonej Polsce.

Tyle że dziś Niemcy propozycje dogadania się uznają za kolejną próbę obejścia prawa międzynarodowego. Lekcje aneksji Krymu i pełnoskalowej inwazji w końcu pokazały im, jak kończy się wiara w dobrą wolę Kremla oraz przeskakiwanie ponad bezpośrednimi sąsiadami ze środkowo-wschodniej Europy. Ta świadomość przebija przez Zeitenwende (dziejowy zwrot) kanclerza Scholza i wyraźnie wybrzmiewa w publicznej krytyce dziesięcioleci Ostpolitik.

Tak się składa, że w tym samym czasie przyszłość Rosji rozważają amerykańskie kręgi dyplomatyczne. W „Foreign Affairs" historyk z Uniwersytetu Stanforda i biograf Stalina Stephen Kotik ocenia, że następca Putina przekre-

eprasa.pl 72aacc3640

• **Moskwa, 2 sierpnia br. Obchody Dnia Spadochroniarza, święta Wojsk Powietrznodesantowych**
FOT. PAP/ EPA/ YURI KOCHETKOV

śli jego zwidy Rosji jako euroazjatyckiego mocarstwa. Dla części Rosjan najbardziej pożądana, ale dla wielu nie do pomyślenia byłaby:

• **Droga śladem Francji,** która podobnie jak Rosja ma tradycje zarówno monarchistyczne, jak i rewolucyjne. Francja przez stulecia zagrażała sąsiadom i zbudowała rozległe imperium kolonialne, które straciła, natomiast rewolucyjne próby całkowitego zerwania z przeszłością zwykle kończyły się wzmocnieniem etatyzmu i władzy centralnej w Paryżu. Choć pozbawiona już imperium Francja nadal jest krajem przekonanym o swojej misji, a Francuzi ulegają mocarstwowym fochom i kulturowemu szowinizmowi, to cieszą się rządami prawa i nie zagrażają sąsiadom.

Przykład de Gaulle'a, który w 1958 r. drogą puczu doszedł do władzy, potem zrezygnował z Algierii i narzucił autorytarną, ale jednak demokratyczną konstytucję, byłby dla Rosji najbardziej atrakcyjnym wariantem, ale jest mało prawdopodobny.

• **Droga zamykania się w sobie.** Autorytarny, mistyczny nacjonalizm, antyzachodnie odwołanie do traum i tradycyjnych ponoć wartości – ten zlepek słowianofilstwa, eurazjatyzmu i prawosławia pojawił się długo przed Putinem i pewnie także jego następca będzie przekonany, że USA chcą zniszczyć Rosję.

Zapewne nowy przywódca uzna, że wojna z Ukrainą szkodzi Rosji, i winę za nią zwali na poprzednika. A jest za co – wojna wzmocniła przemysł zbrojeniowy, ale już teraz niemal 5 mln zatrudnionych w nim nie ma wystarczających kwalifikacji. Tysiące młodych ludzi z wykształceniem technicznym wyjechały z kraju, a robotyzacja to mikroskopijny ułamek średniej światowej. Rosja co prawda nadal może importować wiele komponentów, ale rosyjskie elity znają przygnębiające statystyki. I wiedzą, że rozwój rosyjskiego eksportu nadal zależy od transferu technologii.

Co prawda autorytarny ustrój po raz kolejny okazał się odporny na wojnę, jednak demografia, brak inwestycji krajowych i pogłębiająca się przepaść technologiczna mogą skłonić zagorzałych nacjonalistów do zastąpienia Putina kimś, kto przyzna, że Rosji brak zasobów do nieustannego przeciwstawiania się Zachodowi – i z obawy przed upokarzającą zależnością od Chin wycofa Rosję do jej granic.

• **Droga wasala Chin**. Zbliżenie Moskwy do Pekinu zaskoczyło tych, którzy pamiętają o radziecko-chińskich starciach granicznych nad Ussuri w 1969 r. Ba, Chiny nadal uważają traktaty z XIX wieku za nierówne. A w latach 80. Deng Xiaoping jeszcze bardziej niż Mao odwrócił się od Moskwy i uzyskał dostęp do amerykańskiego rynku – co przedtem umożliwiło podobną transformację jak Japonii, Korei Południowej i Tajwanu – pomagając Chinom stworzyć warstwę średnią.

Owszem, następca Denga, nie zrywając więzi amerykańskich, pomógł Moskwie wskrzesić podupadły kompleks wojskowo-przemysłowy i wyczarować boom gospodarczy wczesnego Putina. W ostatnich latach Putin i Xi spotkali się już 42 razy i antyamerykańska solidarność dwu pokrewnych dusz jest faktem. A wojna sprzyja integracji – w 2023 r. handel między Rosją a Chinami przekroczył 230 mld dol. (w połowie 2010 r. jedynie 78 mld), obroty za kolejne dziesiątki miliardów przechodzą zaś przez kraje takie jak Kirgistan, Turcja czy Zjednoczone Emiraty Arabskie.

Niemniej relacje społeczne są płytkie. Rosjanie są kulturowo Europejczykami i obawiają się potęgi Chin. Wielu Chińczyków wyśmiewa w internecie słabość Rosji, a chińscy komuniści nie mogą Moskwie wybaczyć zniszczenia komunizmu w Eurazji i wschodniej Europie. Bilans handlowy rośnie, ale nadal nie ma porozumienia w sprawie nowego gazociągu z Syberii do Chin, które mają komfort negocjacyjny, bo konsekwentnie unikały uzależnienia od Rosji i dziś są światowym liderem w energetyce wiatrowej i słonecznej i zbliżają się do wyparcia Rosji z czołowych pozycji w energii jądrowej.

Rosyjskie elity potępiają wyimaginowany amerykański zamiar rozczłonkowania Rosji, a przemilczają wasalizację Rosji przez Putina. Wrócił stalinowski kult Aleksandra Newskiego, który w 1242 r. na jeziorze Pejpus pokonał niemiecki zakon kawalerów mieczowych, a zarazem złożył hołd Złotej Ordzie. Dzisiejsza interpretacja i przekaz brzmią: Zachód odbierał Rosji duchową tożsamość, gdy Wschód chciał jedynie daniny... To bredni, ponieważ Rosjanie potrzebowali wieków, by uwolnić się od tego, co ich podręczniki nazywają mongolską niewolą, i zwrócić się na Zachód, którego częścią nigdy się nie stali, choć kopiowali, co się dało.

Lecz spaliwszy mosty na Zachód, Rosja nie ma innego wyjścia, jak tylko zdać się na łaskę Chin. Łaskę, bo Putin ma tylko słowo Xi, a nie zobowiązania traktatowe. Owszem, obaj dyktatorzy potępiają amerykańską hegemonię, ale ich wspólne zaangażowanie na rzecz lokalnych dyktatur prowadzi do wzajemnego uzależnienia, czego obaj nie lubią.

• **Droga na Phenian.** Pogłębiając zależność od Chin, następca Putina mógłby pójść drogą północnej Korei, co brzmi osobliwie, ale już trochę ku temu zmierza – represyjna wewnątrz, izolowana na zewnątrz, dysponująca arsenałem nuklearnym i zależna od Chin.

Mao w czasie wojny koreańskiej mówił, że jeśli znikną usta (północna Korea), to zęby (Chiny) będą zimne. Jednak po koreańskiej próbie atomowej w 2006 r. chińscy komentatorzy wątpili w sens wspierania Phenianu i Chiny przyłączyły się do sankcji ONZ. Mimo to Pekin w 2018 r. potwierdził poparcie dla Phenianu, trzymając tamtejszego przywódcę w uścisku chińskich dostaw żywności i paliw. Jednak Kim nie zawsze podporządkowuje się chińskiemu seniorowi, ponieważ zaś Pekin nie chce zjednoczenia Korei pod amerykańskim parasolem, bo to dodatkowo odsunęłoby szanse na wchłonięcie Tajwanu, także jest trochę zakładnikiem Phenianu. A Xi nie chciałby się znaleźć w podobnej sytuacji z Moskwą.

• **Droga do chaosu.** Reżim Putina nie chcąc modernizować kraju, sieje chaos u swych granic od wschodniej Europy po środkową Afrykę i Bliski Wschód, ale ofiarą tego bałaganu może paść sama Rosja.

Pozycja Putina wygląda na stabilną. Zachodnie sankcje jej nie podkopały, ale w XX wieku państwo dwukrotnie się rozpadało – nieoczekiwanie i całkowicie. I nadal istnieje wiele prawdopodobnych przyczyn ewentualnej zapaści w najbliższej przyszłości: wymknięcie się wewnętrznej rewolty spod kontroli, jedna lub seria katastrof naturalnych, wypadek lub sabotaż w obiektach jądrowych lub przypadkowa (albo nieprzypadkowa) śmierć przywódcy. Chaos może także po prostu być konsekwencją kumulacji niepowodzeń w okopach.

Niemniej nawet w warunkach anarchii Rosja nie rozpadłaby się tak jak ZSRR, który przypominał tabliczkę czekolady: kostki 15 republik łatwo było odłamać. Federacja Rosyjska może się rozpaść tylko po części, w niestabilnych regionach przygranicznych, jak północny Kaukaz czy Kaliningrad;

Chiny mogłyby wchłaniać dorzecze Amuru, Japonia – południowe Kuryle i Sachalin, Finowie – kawałek Karelii. To mogłoby w Rosji wywołać nie tylko ogólny chaos, ale też masową mobilizację.

W warunkach chaosu, nawet bez większych strat terytorialnych, mafijne syndykaty i cyberprzestępcy mogliby działać z jeszcze większą bezkarnością. Broń nuklearna i biologiczna, a także naukowcy, którzy ją opracowują, mogą się rozproszyć. Powróciłby koszmar, którego uniknięto w czasie rozpadu ZSRR, ponieważ wtedy wielu radzieckich naukowców wierzyło w lepszą Rosję. Wtedy armagedon udało się odłożyć, teraz znów byłby możliwy.

• **Ślepy zaułek.** To wariant tej przyszłości, jaką dla Rosji głoszą zarówno zwolennicy Putina, jak i jego skrajnie prawicowi krytycy: Moskwa jako biegun własnej wersji wielobiegunowego świata, skupionego wokół Eurazji, będąca głównym arbitrem spraw światowych. „Jesteśmy wielką potęgą eurazjatycką, północną Eurazją, wyzwolicielem narodów, gwarantem pokoju i rdzeniem wojskowo-politycznym większości światowej. Oto nasze oczywiste przeznaczenie" – rozmyśla lojalny wobec Kremla znany analityk Siergiej Karaganow.

Ale – jak zresztą zauważyli także Łukinowie w „Niezawisimej" – antyzachodnia większość światowa nie istnieje jako spójna całość, a już na pewno nie z Rosją jako centrum. Projekt Rosji jako samowystarczalnego superkontynentu obejmującego Europę i Azję poniósł porażkę już w czasach radzieckich. ZSRR siłą utrzymywał nie tylko wewnętrzne imperium między Bałtykiem i Morzem Czarnym, ale i zewnętrzne imperium w Azji. Potęgą azjatycką Rosji nie udało się stać nigdy od pojawienia się jej na Pacyfiku, nawet wtedy, gdy klęska Japonii w 1945 r. pozwoliła zemścić się za szokującą porażkę w wojnie 1905 r. Rosja nigdy nie zadomowi się kulturowo w Azji, a jej i tak niewielka populacja za Bajkałem się kurczy.

Tak jak kurczą się wpływy Rosji w jej bezpośrednim sąsiedztwie. Większość nie-Rosjan na byłych radzieckich kresach coraz mniej chce mieć wspólnego z byłym seniorem. Ormianie są rozgoryczeni, Kazachowie ostrożni, a Białorusini w pułapce i są z tego powodu niezadowoleni. Eurazjatyzm i słowianofilizm to w większości martwe litery: przeważająca większość nierosyjskich Słowian na świecie dołączyła lub chce się dołączyć do UE i NATO.

A Rosja – puentuje „Foreign Affairs" – mogłaby rozbić NATO jedynie w drodze przekształcenia się w trwałe państwo prawa, które trzyma się swoich granic. Co nie mieści się w głowie Putina. ●

Imperium na glinianych nogach

25 proc.
O tyle wyższy PKB od chińskiego miała Rosja w 1991 r. Dziś gospodarka chińska jest dziesięć razy silniejsza od rosyjskiej

147 mln
mieszkańców miała radziecka Rosja w 1989 r., dziś ma nieco mniej.
Ludność USA wzrosła z 250 mln do 340, Chin – z 1 mld 153 mln do 1 mld 413 mln , a Indii – z 864 mln do 1 mld 399 mln

230 mld dol.
obrotów przekroczył handel między Rosją a Chinami w zeszłym roku. W połowie roku 2010 wynosił jedynie 78 mld

„Nawet teraz Rosjanie w Europie uchodzą za Europejczyków, choć nieco odmiennych. Natomiast w Azji praktycznie nikt Rosjan nie uważa za Azjatów"

eprasa.pl 72aacc3640

PACYFIZM CZYLI JAK BYĆ PROLIFE

Simone de Beauvoir pytała: jak to się dzieje, że nasza kultura bardziej ceni tych, którzy zabijają, a nie te, które rodzą?

Magdalena Środa

Jako kobieta nie posiadam ojczyzny. I nie chcę jej posiadać. Moją jedyną ojczyzną, jako kobiety, jest cały świat" – pisała Virginia Woolf.

Czyż – jak śpiewał Lennon – tak trudno wyobrazić sobie świat, w którym ludzie się nie zabijają, bo nie ma za co ginąć? Świat bez państw, wojen, religii i własności?

Niedawno pacyfistyczny song Johna Lennona skojarzył się komuś z komunizmem. Skojarzenie słuszne, o ile komunizm traktować jako utopię; laicką wersję raju, gdzie wszyscy są równi i szczęśliwi, a nie jako polityczny produkt kilku despotów. Jednak nie wszyscy pacyfiści byli komunistami, a „prawdziwi" komuniści nigdy nie lubili pacyfistów.

Pacyfizm ma swoje dwie formy: radykalną oraz umiarkowaną. Ta pierwsza polega na sprzeciwie wobec wszelkiej wojny i przemocy, nawet w sytuacji, gdy wojna zagraża bytowi narodowemu.

Pacyfista radykalny nie uznaje różnicy między wojną sprawiedliwą i wojną napastliwą, nie uznaje więc ius ad bellum, czyli prawa do wojny jako środka do rozwiązywania sporów międzynarodowych, nie godzi się też z usprawiedliwieniem zabijania w imię samoobrony. Bo jeśli je uznamy, to musimy się pogodzić z tym, że zabijanie może być w ogóle usprawiedliwione, co pacyfista odrzuca.

Dla Bertranda Russella jakiekolwiek zabijanie było niemożliwe z powodu psychicznej odrazy wobec takiego czynu. Dla Tołstoja – z powodu „Kazania na górze": „Słyszeliście, że powiedziano: oko za oko, ząb za ząb. A ja wam powiadam: nie stawiajcie oporu złemu. Lecz jeśli ktoś cię uderzy w prawy policzek, nastaw mu i drugi" (Mt 5, 38-39). Samoobrona jest więc złamaniem jezusowego zakazu odwetu.

Pacyfizm umiarkowany dąży przede wszystkim do zmiany tych instytucji (politycznych, edukacyjnych, religijnych) oraz nawyków, które czynią nasze społeczeństwa wojującymi. I ta forma pacyfizmu jest obecna w większości teorii i praktyk feministycznych.

Bertrand Russell w czasie pierwszej wojny światowej krytykował „przyzwoitych ludzi", którzy w dobrej wierze godzą się na eskalację zbrojeń jako „gwarancję pokoju", i twierdził, że lepiej „dopuścić do hegemonii Niemiec, niż zniszczyć w wojnie Francję i Anglię".

Umieranie za terytorium i idee (narodu, wolności etc) jest pozbawione sensu. Za swoje radykalne poglądy stracił intratną, akademicką posadę i siedział w więzieniu, jednak nie dlatego zmienił zdanie w czasie drugiej wojny światowej. Uważał wtedy, że należy zbrojnie przeciwstawić się faszyzmowi, nie z powodu zagrożonej suwerenności narodowej, lecz europejskiej cywilizacji.

Ochrona cywilizacji to jedyny powód, dla którego można walczyć.

Po II wojnie światowej był, wraz z Albertem Einsteinem, aktywnym działaczem na rzecz rozbrojenia, a przede wszystkim wyeliminowania broni nuklearnej i innych form masowej zagłady. Miał też wpływ na zorganizowanie dwóch konferencji pokojowych w Hadze i na ustanowienie Pokojowej Nagrody Nobla. W swojej twórczości zgromadził wiele argumentów przeciwko ideologiom promowanym przez państwa wysyłające ludzi na śmierć w imię „pokoju".

Wojna jest zła nie tylko z powodu przyzwolenia na mordowanie i powszechną niekontrolowaną przemoc, ale również dlatego, że wprowadza nienawiść jako zasadę życia, czyni z ludzi wraki, zaprowadza niesprawiedliwość jako normę, a przede wszystkim obniża poziom cywilizacji.

Większość jednak jego pacyfistycznej filozofii, podobnie jak u Tołstoja, była nastawiona przede wszystkim na eliminację przyczyn wojen. Obydwaj widzieli je w panowaniu zinstytucjonalizowanej religii, w patriotycznej, a de facto nacjonalistycznej, edukacji, w przywiązaniu do idei państwa narodowego i w naszym pogardliwym stosunku do życia w ogóle.

Myślenie pacyfistyczne wydaje się naiwne, sentymentalne, utopijne, ale bez takiego myślenia nie byłoby zmiany społecznej, a bywa ona potężna: Gandhi zmobilizował 250 milionów ludzi do stawiania oporu brytyjskim kolonizatorom, twierdząc, że bez stosowania przemocy można odrzucić wszelką niesprawiedliwość.

W ciągu ostatnich stu lat mieliśmy do czynienia z setkami masowych działań, które miały pacyfistyczny charakter (petycje, wiece, blokady, strajki, manifestacje bojkoty, odmowa uiszczenia opłat) i okazały się bardziej skuteczne w walce o sprawiedliwość, tożsamość czy wolność niż przemoc, gwałt i rewolucje.

Jak pisał La Boeti w swojej „Rozprawie o dobrowolnej niewoli": „Tyrana nie musimy zwalczać ani zabić. Unicestwi się sam, byleby tylko kraj nie chciał mu dłużej służyć. Nie chodzi o to, by czegoś go pozbawić, ale o to, by niczego mu nie dawać".

Wyobraź sobie świat bez wojen

Mimo strachu i rozpaczy, które wzbudza każda wojna, mimo cierpień, nędzy, śmierci, które przynosi, stale obecne jest w naszej kulturze traktowanie jej jako niezbywalnego elementu polityki i stosunków międzynarodowych.

Widać to już w pismach Tukidydesa i Herodota. Pokój to tylko intermedium między wojnami, chwilowe „zawieszenie broni" – jak twierdził generał Clausewitz.

„Każde państwo opiera się na przemocy" – głosił Leon Trocki i zgadzał się z nim Max Weber, pisząc, że polityka to nic innego jak wywieranie prawomocnej przemocy w celu panowania nad poddanymi i terytorium.

Machiavelli nauczał z kolei, że polityk musi „nie być dobrym", bo tylko przemocą, zbrodnią i podstępem zdobyć można władzę i sławę.

Z kolei Schmitt, ulubiony teoretyk dzisiejszej prawicy, dowodził, że istotą polityki jest relacja przyjaciel – wróg, gdzie celem jest fizyczna eliminacja tego drugiego.

Popularny współczesny filozof niemiecki Peter Sloterdijk w swojej niedawno napisanej książce „Gniew i czas" broni tezy, że nie tylko polityka, ale i cała nasza kultura wyrasta z gniewu, z walki, z „radosnego bellicyzmu" świata homeryckiego (nie zauważył, że był to wyłącznie męski świat).

Pisał: „Pieśń o heroicznej energii wojownika wynosi gniew do rangi materii, z jakiej uformowany jest nasz świat", i z ubolewaniem relacjonował osłabienie tego gniewu w toku dalszej historii Europy.

Henryk Elzenberg, polski filozof, był z kolei przekonany, że wojna jest doskonałą okazją do zamanifestowania wielkich wartości, takich jak: bohaterstwo, heroizm, poświęcenie, wierność, odwaga, których ujawnienie w czasach pokoju jest prawie niemożliwe.

Wojnom od zawsze towarzyszy nie tylko przerażenie, ale też fascynacja, bo zarówno na wygranej, jak i przegranej walce można zbudować narodową i osobistą dumę.

Simone de Beauvoir wyrażała więc ironiczny żal, że kobiety są jedynie ofiarami wojen, a nie ich sprawczymi podmiotami, i dlatego nie znajdują się w podręcznikach historii, których karty wypełnione są przez bohaterskie czyny walczących mężczyzn.

Zadawała też pytanie: jak to się dzieje, że nasza kultura bardziej ceni tych, którzy zabijają, a nie te, które rodzą?

Z pośród filozofów tylko Hannah Arendt definiowała politykę w kategoriach wolności, a nie przemocy, gdy bowiem władza po nią sięga lub ją legitymizuje, zaczyna się terror, który jest pozapolityczny. Pisała: „Od władzy zależy wszystko prócz przemocy". Wojna jest klęską polityki, a nie jej wyrazem.

Za wszystko co złe – pisał z kolei Russell – za wojny, niewolnictwo, masakry, za „straszliwy wczesny okres industrializacji, okrucieństwo w stosunku do dzieci, dozwolone przez prawo tortury, za obozy pracy, prześladowania religijne" za wszystko to odpowiada „naga" władza.

Dla pacyfistów takich jak on wojna stanowiła wyłącznie wyraz barbarzyństwa, ludzkiej dzikości, niskich instynktów, a przede wszystkim – źle ukształtowanych pragnień i impulsów. Dlatego tak wiele zależy od edukacji.

Wyobraź sobie, że wszyscy ludzie dzielą ze sobą świat

Pacyfiści tacy jak Tołstoj, Gandhi czy Russell zajmowali się edukacją, i to nie tylko jako teoretycy, ale także jako praktycy: zakładali szkoły (Tołstoj założył ich 13), nauczali, pisali programy i elementarze, bowiem – jak twierdził Russell – „wychowanie jest kluczem do wrót nowego świata".

Powszechna edukacja powinna prowadzić do wolnego społeczeństwa i empatycznego współżycia. Twórczego korzystania z wolności i empatii można nauczyć od pierwszych lat życia. Russell w wychowaniu stawiał na spontaniczność i unikanie wszelkiego przymusu, bo prowadzi on do konfliktów, wzajemnych nienawiści, zabija oryginalność i zainteresowania intelektualne, powoduje niechęć do wiedzy.

Dziecko tłumi nienawiść do „autorytetów", które wychowują je przez przymus, a stłumiona nienawiść deformuje osobowość i przeradza się w postawy przemocowe.

Do dobrego wychowania potrzeba nauczycieli, którzy powinni kochać dzieci bardziej niż swoje państwo i swój Kościół.

Szkoła powinna być wolna od wychowania patriotycznego i propaństwowego, które uczy młodych separatyzmu i gloryfikowania zbrodni i grabieży własnego narodu w imię jego wielkości i narodowej dumy. Uważał, że przymusowe okazywanie szacunku dla godła, flagi czy innych symboli patriotycznego oddania uczy młodych, że ważniejsze w naszych społeczeństwach są narodowe zbrodnie lub klęski, zdobywcy, grabieżcy i ofiary niż wielcy twórcy kultury.

Młodzież (brytyjska) czci więc Nelsona i Churchilla, a nie Szekspira, Darwina czy Newtona. W szkołach nie powinno być „żadnej propagandy patriotycznej, żadnego Dnia Imperium, Czwartego czy Czternastego lipca (....) należy rozwijać odporność wobec politycznej retoryki".

Russell wyraźnie widział rozdźwięk między wychowaniem dobrego obywatela i wartościowego człowieka. Ten pierwszy to człowiek lojalny, uległy władzy i interesom zbiorowym, łatwy do sterowania za pomocą różnych technik propagandowych.

1 RP

eprasa.pl 72aacc3640

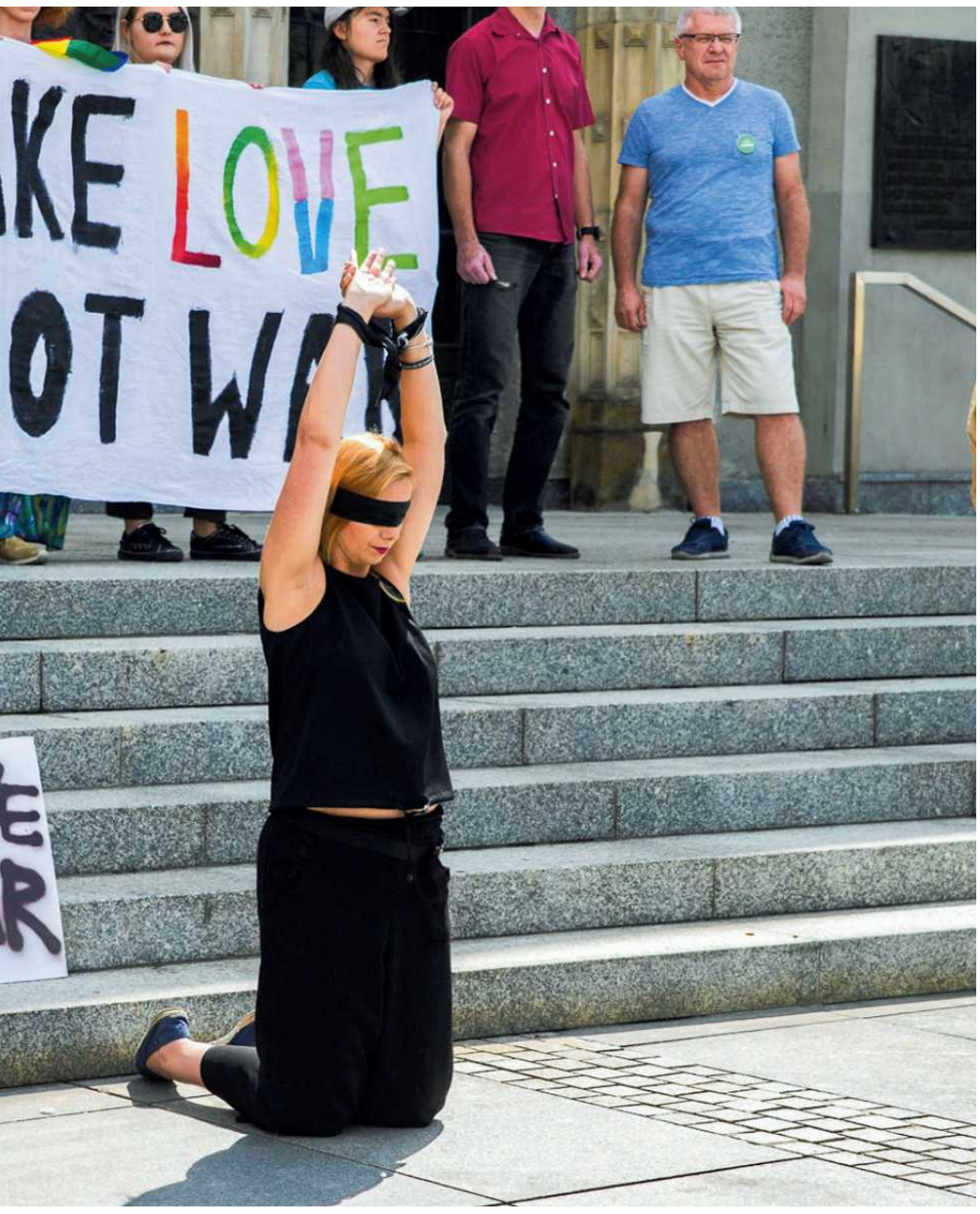

• **Pacyfistyczny happening „ Make love not war „ w Katowicach. Tuż przed wojskową defiladą. 15 sierpnia 2019 r.**

FOT . KAMILA KOTUSZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ten drugi to istota twórcza, myśląca samodzielnie, krytyczna, odważna, nastawiona na życie, a nie kultywację śmierci.

Jeszcze bardziej krytycznie o patriotyzmie pisał Tołstoj: „Zdaje się być czymś oczywistym, że patriotyzm jako uczucie jest zły i szkodliwy, a jako doktryna bezsensowny". Każdy patriotyzm jest nacjonalizmem, każdy nacjonalizm prowadzi do wojny. Wojna jest chorobą, pokój – zdrowiem.

Wyobraź sobie, że nie ma za co zabijać ani umierać

W dzisiejszym świecie nie ma chyba opinii, która budziłaby większą krytykę, i to po różnych stronach politycznej sceny, niż kwestionowanie konieczności istnienia i ochrony państw narodowych.

Wspomniany Sloterdijk rozpaczający nad upadkiem radosnego bellicyzmu widział całą nadzieję na jego rewitalizację w tekstach nowoczesnych piewców państwa narodowego, takich jak: Hegel, Fichte, Renan czy Schmitt.

Autorzy ci – jak zauważa Sloterdijk – odważyli się wyeksponować „produktywne aspekty tych namiętności", których zwieńczeniem jest wojna. Tymczasem według pacyfistów: państwo, suwerenność, terytorium, patriotyzm, naród – to główne fundamenty okaleczonego świata, w którym ludzkie życie, w przeciwieństwie do abstrakcyjnych idei, jest bez wartości.

Dlaczego trwanie jakiegoś narodu i jego suwerenność mają być ważniejsze niż życie pojedynczych ludzi? – pytał Russell. A Tołstoj pisał: „Państwo to spisek, który ma na celu przede wszystkim deprawować swoich obywateli" i czynić z nich mięso armatnie dla zaspokojenia ambicji jakiejś władzy. Z perspektywy ludzkiego szczęścia złem jest nie tyle kapitulacja czy niepomyślny pokój, ile kontynuacja wojny. Dlaczego ludzie tego nie widzą i opowiadają się po wojnie, uznając ją jako moralnie konieczną?

Dlatego – twierdził Russell – że zaślepia ich duma, pracowicie tkana przez państwową edukację i propagandę. „W opinii przeciętnego Anglika – jak pisze Russell – świat byłby naprawdę zły (...), gdyby nie mógł on powiedzieć, że Brytania panuje nad morzami, a w opinii przeciętnego Niemca, że Deutschland Uber Alles".

Społeczeństwa powinny być przygotowane na niekorzystne dla nich zmiany map, na płynność granic i nie odczuwać przy tym upokorzenia, aby nie ponosić straszliwych ofiar, zanim, przegrane, ustąpią. Tak zwaną żarliwość narodową Russell uznawał za najbardziej rozpowszechnioną i najbardziej szkodliwą religię naszych czasów.

Ideologia państw narodowych jest głęboko osadzona na patriarchalnym rozumieniu i konstruowaniu świata. Każda z jej koncepcji jest stworzona przez mężczyzn i dla mężczyzn.

Od czasu powstania państwa narodowego, a stało się to zaledwie dwieście lat temu, w okresie oświecenia, kobiety są zamknięte w sferze prywatnej. Opuszczają ją od niedawna, ciągle ograniczane przez „patriotów" i księży, którzy redukują je do niemal wyłącznie do funkcji prokreacyjno-opiekuńczych.

Najsroższe kary za aborcję były w czasach, gdy państwa narodowe przybierały swą nacjonalistyczno-dyktatorską postać, jak również wtedy – jak w Polsce – gdy rządzący żyli przeszłością i tradycją, zapominając, jak bardzo była opresyjna dla kobiet.

Wyobraź sobie, że nie ma państw

Dziś, w Europie, dość łatwo sobie wyobrazić wspólnotę, której nie zamykają granice i interesy państw narodowych. Trudniej ją zrealizować. Jednak „to, co wyobrażone, jest pierwszą formą istnienia", jak twierdziła Olga Tokarczuk w czasie swojej mowy noblowskiej.

Kapitalizm, który jest materialną i konceptualną bazą Europy, jest jak najbardziej globalny. Globalny jest kapitał, globalna jest dziś komunikacja, w tym internet. Globalna jest kultura, przede wszystkim sztuka, i można ją traktować jako narzędzie nowych form socjalizacji, bo w sztuce możemy wyrażać własne doświadczenia i lepiej rozumieć doświadczenia i światopoglądy innych.

Religia jest z założenia czymś uniwersalnym. Piersi chrześcijanie, w szczególności Ojcowie Pustyni, ćwiczyli się w „byciu obcym", pamiętając, że zgodnie z Pismem Świętym na ziemi nie mamy stałego miejsca zamieszkania (2, Kor, 5,1), a ojczyzna nasza jest w niebie (Flp, 3,20).

Husserl święcie wierzył, że Europa to przede wszystkim wspólnota ducha, a nie poszatkowana granicami rozbieżność politycznych interesów.

Niedawno zmarły Vattimo nawoływał, byśmy przestali wreszcie być „unią gospodarczą o jednostronnym technokratycznym charakterze" i stali się wspólnotą w każdym zakresie życia. Nie chodzi o kosmopolityzm iluzoryczny, obejmujący całą ludzkość, chodzi na razie o Europę, ale ta rozciąga się wszak od Los Angeles po Odessę.

Urlich Beck, niemiecki socjolog, opracował koncepcję europejskiego kosmopolityzmu, nie wykluczając, że może być ich wiele w zależności od kultur, tak jak istnieje wiele kart praw człowieka (muzułmańska, azjatycka, afrykańska).

Kosmopolityzm taki potrzebuje zarówno pewnych uniwersalnych „normy bazowych", jak i politycznego mechanizmu niezbędnego do ustabilizowania zbiorowej odmienności, bo różnorodność jest wartością. Beck nazywa to „stabilizatorami różnicy".

Swój projekt Beck określa jako „realizm kosmopolityczny", bo opiera go na europejskich interesach, które go zainicjowały, a które – według Becka – będą motywem do dalszej europeizacji i kosmopolityzacji.Trzeba tylko odrzucić iluzje, że „bez narodu nie ma demokracji" lub „jak uniwersalizm, to bez zróżnicowania".

Słowo „kosmopolityzm" rozpowszechnione niegdyś przez stoików wraca więc dziś do łask. Można też zapytać – co robi kanadyjski filozof Will Kymlicka - dlaczego do wspólnoty kulturowo-politycznej nie włączyć zwierząt, dlaczego nie uznać ich niezbywalnego prawa do życia i przyznać pewne prawa obywatelskie?

Wszak i one mają swoje interesy, które powinny mieć polityczną reprezentację. Na świecie jest już kilka rzek, które mają polityczne prawa. Szkoda, że nie Odra.

Najwyższa pora zasypać ową wielką przepaść między człowiekiem a zwierzęciem, o którym św. Tomasz mówił, że istnieje po to, byśmy wiedzieli, że nim nie jesteśmy. Tymczasem łączy nas z nimi więcej niż myśleliśmy dotąd. I zmiana stosunku do nich może zainicjować zmiany w stosunku do innych ludzi.

Wyobraź sobie, że nie ma raju. Jest tylko niebo

Pacyfizm może być zakorzeniony w światopoglądzie ateistycznym lub religijnym. Russell łączył pacyfizm z odrzuceniem wszelkiej religii, wierzył w rozum. Według niego religia oparta jest na strachu, na infantylnym poszukiwaniu „starszego brata", prowadzi do fanatyzmu i kultywowania uprzedzeń, nie ceni walorów intelektualnych, dziwacznie klasyfikuje cnoty i grzechy, „kierując się przy tym względami, które nie mają nic wspólnego ze społecznymi konsekwencjami tych czynów".

Ponadto jako siła konserwatywna „utrzymuje przy życiu wiele zła pochodzącego z czasów minionych", gdy zawsze aprobowała prześladowania, popierała okrucieństwa i niesprawiedliwości, zawsze też stała po stronie interesów bogatych.

Russell sprzeciwiał się popularnym i dziś przekonaniom, że nawet jeśli nie wierzy się w Boga, to dzieciom trzeba wpajać jego istnienie, ponieważ „wiara taka pobudza do cnotliwych uczynków". Jak można – zapytywał Russell – kłamać w tak doniosłej sprawie?

Szkodliwość edukacji religijnej widział również w tym, że „prawdy", które głosi, nie dość, że nie poddają się żadnej weryfikacji, to jeszcze zabrania się zadawania pytań dotyczących wiarygodności. To demoralizuje i ogłupia.

Tołstoj – przeciwnie – wierzył w moralną rechrystianizację świata, w religijną rewolucję, która polegałaby na odrzuceniu instytucjonalnego chrześcijaństwa i oparciu wzajemnych relacji na Jezusowej koncepcji miłości. W jednym z listów do Gandhiego pisał, że jedynym i najwyższym prawem życia jest właśnie „miłość, czyli dążenie dusz ludzkich do zjednoczenia i wynikające z niej pokojowe zachowanie wobec bliźnich".

Tołstoj – jak wiadomo – został ekskomunikowany przez prawosławny Kościół i zapewne nie ostałby się również w katolickim, bo pisał: „Zinstytucjonalizowane chrześcijaństwo stało się religią zdegradowaną, co objawia się poprzez rezygnację z wymogów etycznych i zastąpieniu ich zewnętrznymi oznakami kultu".

Być prolife!

Pacyfizm zarówno w wersji radykalnej, jak i umiarkowanej, laickiej i religijnej jest ruchem głęboko etycznym. Jego fundamentem jest poważnie traktowana wartości życia. W dzisiejszym świecie nie dość się ją ceni, niemal wyłącznie deklaratywnie i jako wartość tak zwaną bazową: bez życia nie można bowiem zrealizować innych wartości, ważniejszych.

Jesteśmy – czy raczej mamy być – dumni, że potrafimy poświęcić własne lub cudze życie za wzniosłe idee, takie jak naród, niepodległość, pokój czy wolność. Pacyfista odwraca tę hierarchię; naród, pokój, wolność powinny być podporządkowane życiu.

I nie chodzi tu tylko o „nasze" życie, czyli bliskich, rodaków, innych ludzi. Chodzi o życie każdej istoty, osób ludzkich i nieludzkich. Stąd pacyfizm często promuje nie tylko kosmopolityzm, ale też wegetarianizm czy weganizm, potępia zabijanie dla przyjemności (polowania), zwłaszcza zaś – przemysłową eksterminację zwierząt.

Jak pisał Tołstoj: „Nie możemy oczekiwać idealnych warunków na ziemi, gdy nasze ciała są grobami zamordowanych zwierząt. Dopóki są rzeźnie, dopóty będą pola bitew".

Pacyfista/pacyfistka jest więc całą gębą prolife.

„Możesz powiedzieć, że jestem marzycielem, mam jednak nadzieję, że pewnego dnia dołączysz do nas i świat będzie jednością".

Albo nie będzie go w ogóle. ●

• O problemach wojny, pacyfizmu i bycia prolife będziemy rozmawiały na XVI Kongresie Kobiet. **Ergo Arena Sopot, 28-29 wrzesień 2024. Wstęp bezpłatny.** Rejestrujcie się! https://kongreskobiet.pl/xvi-kongres-kobiet/

Z perspektywy ludzkiego szczęścia złem jest nie tyle kapitulacja czy niepomyślny pokój, ile kontynuacja wojny

eprasa.pl 72aacc3640

WYBIERZMY NASZĄ EUROPĘ

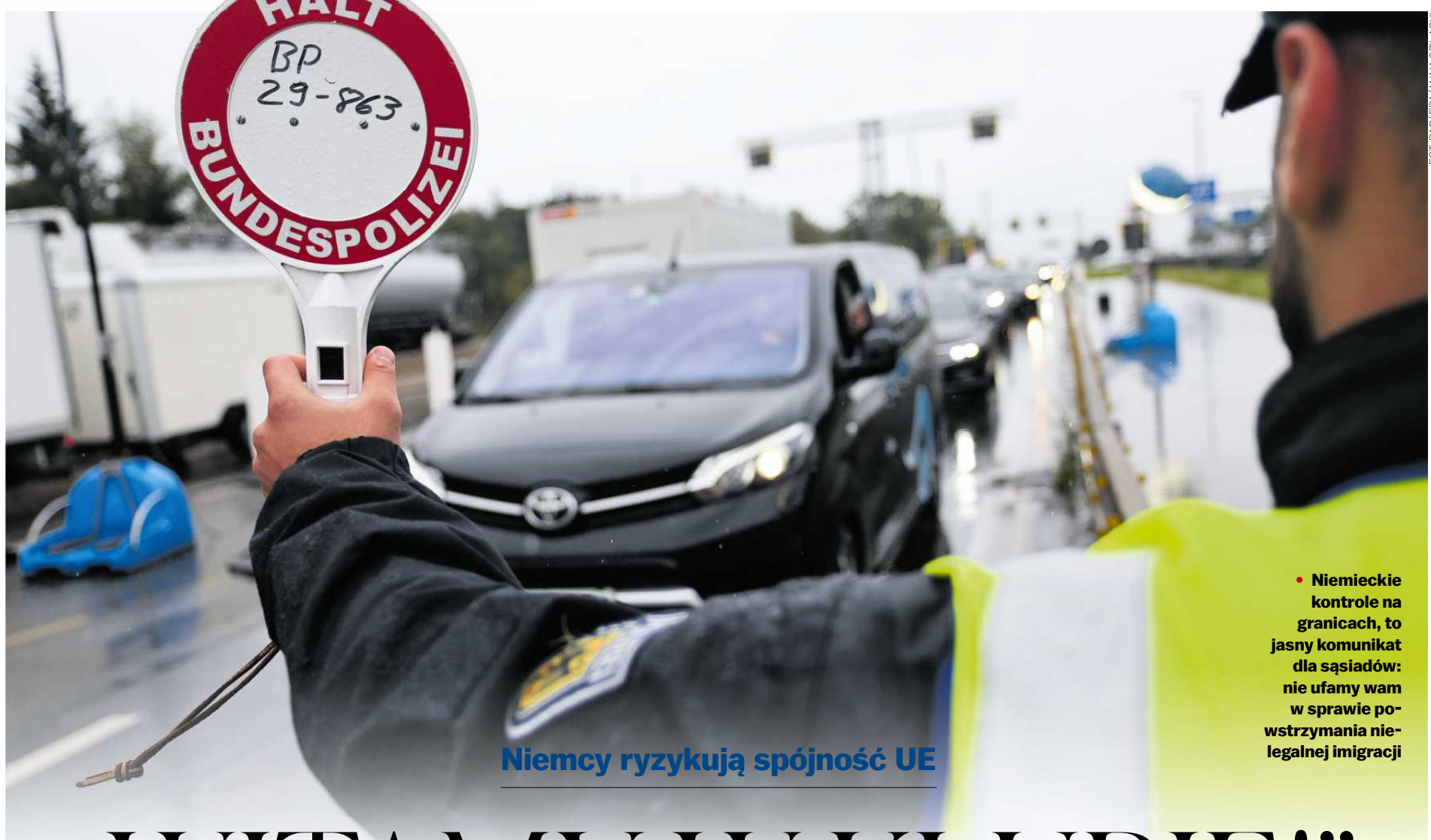

FOT. PAP/EPA/ANNA SZILAGYI

• Niemieckie kontrole na granicach, to jasny komunikat dla sąsiadów: nie ufamy wam w sprawie powstrzymania nielegalnej imigracji

Niemcy ryzykują spójność UE

„WITAMY W KLUBIE!”

Takimi słowami decyzję Berlina o wprowadzeniu kontroli granicznych powitali węgierski eurosceptyk Viktor Orban i szefowa skrajnej prawicy we Francji Marine Le Pen.

Silvia Ayuso

KORESPONDENCJA Z BRUKSELI

EL PAÍS

Tymczasowe (na pół roku) przywrócenie kontroli granicznych przez Niemcy dodaje skrzydeł siłom ultraprawicowym i wystawia jedność Unii na ciężką próbę, i to dokładnie w czasie, gdy coraz mocniej nęka ją prawicowy ekstremizm.

„Witamy w klubie” – w taki sposób premier Węgier, ultranacjonalista Viktor Orban, z nieukrywaną satysfakcją przyjął kontrowersyjną decyzję rządu kanclerza Olafa Scholza o wprowadzeniu od poniedziałku tymczasowych kontroli na wszystkich niemieckich granicach, która jest tłumaczona rosnącą presją migracyjną i potrzebą ochrony przed islamskim terroryzmem.

Decyzja Berlina wywołała alarm w krajach sąsiadujących z Niemcami, w tym w Polsce i Austrii, które uważają, że to godzi w jeden z fundamentów integracji europejskiej, czyli swobodny przepływ w strefie Schengen. Są też inni członkowie UE, tacy jak Grecja, którzy obawiają się, że zwiększy to presję migracyjną w tzw. krajach pierwszego wjazdu.

Rosnąca w siłę europejska skrajna prawica traktuje wszelkie jednostronne zaostrzenia polityki migracyjnej jako własny triumf i potwierdzenie słuszności postulowanych przez nią od dawna rozwiązań i poglądów.

Skrajnie prawicowi politycy w rodzaju Orbana uważają, że decyzja borykającego się ze spadkiem poparcia koalicyjnego rządu Scholza (socjaldemokratyczna SPD, Zieloni i liberałowie z FDP), podjęta pod presją populistycznej Alternatywy dla Niemiec (AfD), która właśnie wygrała wybory regionalne w Turyngii i zajęła drugie miejsce w Saksonii, jest kolejnym dowodem na to, że niedawno zatwierdzony europejski pakt w sprawie migracji i polityki azylowej, który został już zaostrzony w celu ograniczenia politycznej siły rażenia najbardziej ekstremalnych partii, rzekomo się zdezaktualizował i należy go wyrzucić do kosza.

Le Pen: Tłumaczyli arogancko, że się nie da, a teraz proszę...

Liderka francuskiego Zjednoczenia Narodowego Marine Le Pen szybko przypomniała, że to jej partia podczas czerwcowych wyborów europejskich wezwała do wprowadzenia zasady „podwójnej granicy” (unijnej i krajowej) w celu radykalnego ograniczenia nieuregulowanego przepływu migracyjnego. „Tłumaczyli nam, z pewną arogancją, że to niemożliwe. Ale dziś Niemcy proszę: Niemcy same ją ustanawiają i pokazują, że przy odrobinie woli politycznej i odwagi można kontrolować nasze granice”, napisała na platformie X, wtórując Orbánowi, z którym (oraz z hiszpańskim Vox) właśnie sformowała nową frakcję europarlamentarną Patrioci dla Europy.

Orbán, który weźmie udział w sesji plenarnej Parlamentu Europejskiego w Strasburgu w tym tygodniu, aby „ustabilizować” burzliwą prezydencję Węgier w Radzie UE, już od pewnego czasu grozi, że – wzorem działań republikańskich gubernatorów z południa USA wobec Waszyngtonu – będzie wysyłać do Brukseli autobusy z nielegalnymi migrantami zatrzymanymi na węgierskiej granicy. „Jeśli w Brukseli chcą migrantów, damy im ich. Wyślemy ich z biletem w jedną stronę” – obiecuje Budapeszt.

Węgry odrzuciły niedawno grzywnę w wysokości 200 milionów euro nałożoną przez Trybunał Sprawiedliwości UE za naruszenie prawa do azylu podczas kryzysu uchodźczego w latach 2015 i 2016, i zażądały od Brukseli rekompensaty za 2 mld euro, które – jak twierdzą – wydały na „dodatkową ochronę zewnętrznej granicy strefy Schengen”.

Komisja Europejska potępiła węgierską groźbę jako „niedopuszczalną” i ostrzegła przed surowymi konsekwencjami, jeśli zostanie zrealizowana. A jednak w przeciwieństwie do twardego stanowiska wobec Budapesztu, Komisja, która musi nadzorować każdy wniosek o tymczasowe zamknięcie granic w strefie Schengen, jest jak dotąd bardzo powściągliwa w kwestii decyzji Niemiec i unika wszelkich komentarzy, które mogłyby brzmieć jak ostra krytyka Berlina, jednej z tych europejskich stolic, które mają najwięcej do powiedzenia w UE. Szefowa KE, Niemka Ursula von der Leyen, nie chciała też „spekulować” na temat potencjalnego efektu domina w innych krajach. Wydaje się jednak, że ten już się rozpoczął.

Prawicowy rząd Holandii chce iść śladem Berlina

Chociaż Holandia była jednym z krajów, które oficjalnie zaprotestowały przeciwko niemieckiej decyzji, już kilka dni później rząd, w którym ultraprawicowa partia PVV Geerta Wildersa gra pierwsze skrzypce, rozpoczął kolejny etap realizacji ogłoszonego wcześniej planu wprowadzenia „najsurowszej polityki azylowej w historii”. Zamierza ogłosić obowiązujący na razie przez dwa lata kryzys azylowy, który pozwoli rządowi podejmować „nadzwyczajne decyzje” dotyczące polityki migracyjnej bez uprzedniej zgody parlamentu.

Nowy rząd formalnie zażąda od Brukseli zgody na odstąpienie od wspólnej unijnej polityki migracyjnej, co zapowiada kolejne starcie: Komisja już wielokrotnie przypominała członkom UE, że traktaty europejskie nie przewidują klauzuli opt-out w sprawach migracyjnych. Podobnie jak Berlin, Haga będzie również opowiadać się za permanentnym wzmocnieniem kontroli granicznych.

Nowy premier Francji, stary zwolennik zaostrzenia polityki migracyjnej

Tymczasem Le Pen, od której zależy powodzenie kruchego rządu nowego premiera Francji, konserwatysty Michela Barniera, dała już jasno do zrozumienia, że oczekuje od niego zdecydowanych gestów w sprawie migracji. Sam Barnier, pomimo długiego doświadczenia w Brukseli (był komisarzem i europejskim negocjatorem Brexitu), już podczas swojej nieudanej kampanii prezydenckiej w 2022 r. zaproponował kontrowersyjne moratorium na przyjmowanie imigrantów, a nawet postulował ogólnokrajowe referendum w celu odzyskania „swobody manewru” w tej kwestii – co teraz przypomina francuska prasa. Obecnie jako premier rozważa przywrócenie kwot migracyjnych.

Tymczasowe kontrole graniczne w strefie Schengen nie są niczym niezwykłym, obecnie stosuje je w różnym zakresie osiem krajów (Austria, Dania, Francja, Niemcy, Włochy, Norwegia, Słowenia, Francja, Norwegia i Szwecja). A od 2006 r. Komisja Europejska zarejestrowała łącznie 442 wnioski o zastosowanie tego środka, który, jak podkreśla Bruksela, powinien być „ostatecznością” i dotyczyć „wyjątkowych sytuacji”.

1 RP

eprasa.pl 72aacc3640

Ekspert: decyzja Niemiec to straszne ryzyko dla spójności UE

Jednak Alberto Alemanno, profesor prawa i polityki europejskiej w Ecole des Hautes Etudes Supérieures de Commerce w Paryżu, uważa, że niemiecki wniosek jest „jakościowo i ilościowo" odstający od dotychczasowej normy, ponieważ „rozciąga się na wszystkie granice państwa i nie jest związany z konkretnym zagrożeniem, takim jak terroryzm czy pandemia".

Co prowadzi do nieuchronnego wniosku, że – jak podkreśla Alemanno – to „de facto zawieszenie Schengen" nie zostało w tym przypadku zastosowane zgodnie z zasadami jako ostateczność, ale „jako kolejna opcja polityczna do dyspozycji, tak jakby kodeks Schengen już do niczego nie zobowiązywał kraju członkowskiego". Co więcej, zostało to przeprowadzone przez kraj taki jak Niemcy, położony w centrum UE, a nie na jej granicach i kierowany przez rząd złożony z sił politycznych „historycznie bardziej otwartych na prawo do swobodnego przemieszczania się ludzi".

Paradoks polega na tym, że to liderka bardziej ostrożnej wobec migracji chadecji, ówczesna kanclerz Angela Merkel, otworzyła granice w 2015 r. z powodu exodusu z ogarniętej wojną Syrii, co doprowadziło do przyjęcia przez Niemcy ponad miliona migrantów, a teraz to socjaldemokrata Scholz przymyka granice, pod wpływem rosnącej popularności skrajnej prawicy.

Wszystko to w czasie, gdy napływ nielegalnych migrantów jest bardziej wyobrażony niż rzeczywisty: według Frontexu, unijnej agencji ochrony granic zewnętrznych Wspólnoty, liczba nielegalnych wjazdów do UE spadła o 39 proc. w ciągu pierwszych ośmiu miesięcy 2024, przy rekordowo niskim poziomie na szlaku zachodniobałkańskim (spadek o 77 proc.) i środkowym śródziemnomorskim (o 64 proc.).

Alemanno dodaje, że ryzykowny manewr Berlina ma jeszcze bardziej niepokojący, długofalowy aspekt: naraża na szwank jedność europejską, ponieważ może bardzo łatwo zakłócić wewnętrzną równowagę sił w UE i bilateralne stosunki między państwami członkowskimi. Pomijając bieżące motywacje polityczne (osłabienie wpływów skrajnej prawicy), za zamknięciem granic – zdaniem Alemanno – „kryje się coś głębszego: brak wzajemnego zaufania między państwami UE". Decyzja ta oznacza, że „Berlin nie ufa już zdolności dziewięciu sąsiednich krajów do efektywnego nadzorowania własnych granic". Sam Scholz powiedział w sobotę w szykującej się na wybory lokalne Brandenburgii, że „niestety" Niemcy nie mogą ufać wszystkim swoim sąsiadom, że „będą oni postępować tak, jak powinni".

Reakcja sąsiadów, takich jak Polska – której premier Donald Tusk określił decyzję Berlina jako „nie do przyjęcia" – czy Austria, która już dała jasno do zrozumienia, że nie będzie przyjmować migrantów zawróconych przez Niemcy na swoich granicach, pokazuje, że kraje te nie chcą płacić ceny za decyzję Niemiec i są gotowe do decyzji odwetowych. „A przecież logika wzajemności, podkreśla Alemanno, jest całkowicie obca funkcjonowaniu UE, zresztą nie bez powodu, gdyż może realnie zagrozić jej spójności". I to jest zasadnicze ryzyko, jakie zawieszanie Schengen niesie w czasach wzrostu kolejnych partii eurosceptycznych w całej Unii. ●

tłum. Łukasz Grzymisławski

Parlament Europejski

• Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPĘ współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.

• Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

LENA LEADING — EUROPEAN NEWSPAPER – ALLIANCE

Francja wstrząśnięta sprawą Gisele Pelicot

„Jeśli mąż jest obecny, nie ma mowy o gwałcie"

• **Gisèle Pélicot 2 września przed sądem departamentu Vaucluse w Awinionie, gdzie zaczął się proces jej męża i pozostałych 50 oskarżonych** FOT. CHRISTOPHE SIMON / AFP / EAST NEWS

Ojciec trójki dzieci, pielęgniarz, dziennikarz, strażak – kim są dziesiątki mężczyzn, których Dominique Pelicot miał namówić do gwałcenia swojej żony?

Margaux d'Adhémar

LE FIGARO

Było ich co najmniej 83. Tylu mężczyzn liczy lista oskarżonych o gwałty na Gisèle Pelicot, którą mąż, obecnie 71-letni elektryk Dominique, odurzał podawanymi do kolacji narkotykami i proponował wyszukanym w internecie mężczyznom, by odbywali z nią stosunki seksualne. Dominique Pelicot nagrywał gwałty, co pomogło zidentyfikować 50 mężczyzn.

2 września przed sądem departamentu Vaucluse w Awinionie stanął Pelicota i owi mężczyźni. Grozi im 20 lat pozbawienia wolności, a proces potrwa do połowy grudnia. Większość z nich nie przyznaje się do winy.

Najmłodszy z oskarżonych ma 26 lat, najstarszy – 74. Większość mieszka kilka kilometrów od miejsca zamieszkania małżeństwa Pelicot. To głównie pracownicy średniego szczebla lub fizyczni – budowlańcy, kierowcy. Ale jest też strażak, urzędnik merostwa w Awinionie, pielęgniarz, żołnierz, strażnik więzienny, który wcześniej pracował w policji, a nawet emerytowany żołnierz Strzelców Alpejskich. Połowa ma własne rodziny. Jeden miał partnerkę w ciąży. Inny był w trakcie procedury adopcyjnej. Ponad dwie trzecie oskarżonych to urodziło się we Francji metropolitarnej. Niektórzy w departamentach zamorskich lub w Maroku, Tunezji, Algierii, Wietnamie, Turcji czy Gwinei.

Podczas przesłuchań wielu oskarżonych stwierdziło, że nie uważa swych czynów za naganne, zaprzeczają nawet, że się ich dopuścili.

Jeden z oskarżonych, Adrien L. twierdzi, że „jeśli mąż jest obecny, nie ma mowy o gwałcie". Inny, Simon M. mówi: „to przecież jego żona, mąż może z nią zrobić, co mu się podoba". Trzeci przyznał, że „miał wrażenie, iż współżyje ze zmarłą".

Tylko 14 oskarżonych przyznaje się do zarzucanych im czynów i wyraziło skruchę.

Oprawcy czują się ofiarami „pary libertynów"

Didier S. zeznał, że „nie chciał tego gwałtu", deklaruje się jako biseksualista i twierdzi, że udał się na miejsce schadzki, ponieważ liczył, że dojdzie do zbliżenia z Dominique'iem Pelicot, a nie z jego żoną. Podczas przesłuchania stwierdził, że nie czuje się winny zarzucanych mu czynów, ponieważ – w jego mniemaniu – „nie kierowały nim złe pobudki".

Biegły psycholog przygotowujący opinię dotyczącą Karima S. zauważył, że oskarżony „nie dostrzega przestępczego charakteru swych działań". Redouane A. uważa, że nie było gwałtu, skoro „mąż wyraził na wszystko zgodę". Pielęgniarz, Redouane E., nie rozumie, dlaczego traktuje się go jak przestępcę, przecież Dominique Pelicot po prostu „zaproponował" mu swoją żonę. Twierdzi, że został „uwikłany w tę historię".

Romain V. zaprzecza, że jest winny. Z przekazanych nam dokumentów wynika jednak, że wcześniej Dominique Pelicot umówił się z nim na spotkanie w centrum handlowym E. Leclerc w Carpentras. Po to, żeby późniejszy oprawca przyjrzał się Gisèle Pelicot na zakupach i zdecydować, czy „się mu podoba". Choć wiedział, że jest seropozytywny, nie zawahał się, odbywając z ofiarą kilkukrotnie stosunek bez zabezpieczenia.

Jean-Pierre M. w ogóle nie poczuwa się do odpowiedzialności. Thierry P. przerzuca odpowiedzialność na małżeństwo Pelicot, nie uważa samego zajścia za „gwałt". Z jego wypowiedzi wynika, że „nie ma tu żadnej ofiary", twierdzi biegły psycholog, który go przesłuchiwał. Jean-Marc L. twierdzi, że padł ofiarą „spisku", że dla niego było oczywiste, iż para to swingersi. Zastanawia się również nad ewentualnym współudziałem samej Gisèle Pelicot. Cyril B. oświadczył, że gwałty nie sprawiały mu przyjemności. Uważa, że – podobnie jak Gisèle – jest ofiarą. Strażak z Vaucluse, Christian L., zeznał, że odczuwał jedynie „mechaniczną" przyjemność i uważa, że cały proces to „polowanie na czarownice".

Oskarżony Jean-Luc L. prosi ofiarę o wybaczenie, a następnie wyjaśnia śledczym, że „nie miał świado-

eprasa.pl 72aacc3640

mości, iż taki czyn jest zakazany lub zagrożony karą”.

Ludovik B. przyznaje, że ponosi częściową odpowiedzialność, jednak stwierdza, że „wszystko zostało zaaranżowane i wyreżyserowane przez Dominique’a Pelicot”. On również uważa, że jest ofiarą w tej sprawie.

Gregory S. natomiast ze łzami w oczach oświadczył podczas przesłuchania, że „nigdy nie zamierzał nikogo zgwałcić” oraz że myślał, iż małżeństwo Pelicot to para libertynów.

Dyrygent marionetek

Czy 50 współoskarżonych mogło poprostu „ulec urokowi” męża Gisèle Pelicot? Mało prawdopodobne. Poszkodowana podkreśliła podczas zeszłotygodniowego przesłuchania, że obejrzała wszystkie nagrania i nie dostrzegła nic, co wskazywałoby na to, że jej mąż zmanipulował sprawców. – Stwierdzenie, że byli pod jego urokiem, obraża inteligencję. Napastnicy wiedzieli doskonale, że byłam w głębokim letargu – mówiła na sali sądowej 5 września.

Mimo to podczas przesłuchań wielu oskarżonych zarzekało się, że „znaleźli się w potrzasku” zastawionym przez „parę libertynów”. Utrzymują, że Dominique Pelicot ich zmanipulował, prezentując im gwałty jako „inscenizację”, „grę”, „deliryczną orgię”, „trójkąt” „fantazję” czy „scenariusz wyreżyserowany przez parę”. Niektórzy twierdzili, że Dominique Pelicot zrobił z nich swoje „marionetki”. Jeden wyjaśniał nawet, że czuł się wtedy „jak robot”.

Lokalny radny, Nicolas F., bronił się mówiąc, że Pelicot „cały czas wydawał mu polecenia”. Dodaje, że nie mógł przestać, bo był „w pewnym sensie przez niego zniewolony”. Cyrille D. natomiast stwierdził, że zdawał sobie sprawę, iż „nie wszystko jest w porządku”, ale nic nie zrobił, by to przerwać. „Tak, widziałem, że była nieprzytomna, jednak nie mogłem przestać (...) zrobiłem, co mi kazał, sam nie wiem, dlaczego”, dodał, wyjaśniając, że „wyłączył” myślenie i słuchał tylko Dominique’a Pelicot, który – jego zdaniem – „rządził” i „narzucał swoją wolę”. Oskarżony porównał męża ofiary do „dyrygenta”.

Mąż: wszyscy wiedzieli, co jest grane

Jean-Luc L. oświadczył, że „nie wiedział, iż dopuszcza się gwałtu, skoro mąż [mówił mu], co robić”. Thierry P. powiedział śledczym, że sytuacja wydała mu się „dziwna”, jednak myślał, że to taka „gra”. Zdaniem biegłego, który przesłuchiwał Karima S., oskarżony uważa, że „nie ponosi odpowiedzialności, ponieważ Dominique Pelicot wprowadził go w błąd”. Joan K. stwierdził, że Dominique Pelicot zasugerował mu, iż jego żona „lubi trójkąty, osoby czarne i młodszych partnerów”. Redouane A. potwierdził, że Dominique Pelicot „wydawał mu rozkazy”. Jean-Marc L. oświadczył, że był pod ogromnym wpływem Dominique’a Pelicot. Sam Pelicot zeznał, że Jean-Marc L. powiedział mu, iż planuje później zrobić to samo z własną żoną.

Mohammed R., oskarżony o zgwałcenie Gisèle Pelicot, gdy ta przebywała w mieszkaniu swojej córki, Caroline, w île de Ré, potwierdził podczas przesłuchania, że podczas zajścia „czuł się, jakby kochał się ze zmarłą” i uznał, że jest „ofiarą” Dominique’a Pelicot, który „wykorzystał” jego „słabą psychikę”. Natomiast Jean T. wysunął hipotezę, że Dominique Pelicot również i jemu podał narkotyki w szklance z colą, którą zaserwował mu tuż przed zajściem.

Skonfrontowany z tymi oskarżeniami, Dominique Pelicot zapewnił, że wszyscy mężczyźni wiedzieli, iż jego żona nie wyraziła zgody na współżycie i została odurzona bez jej wiedzy oraz że współoskarżeni odwiedzali go, mając pełną świadomość sytuacji.

Długie kartoteki

11 spośród współoskarżonych to osoby znane już wcześniej policji i wymiarowi sprawiedliwości. Florian R. popełnił dziewięć przestępstw w latach 2011-18, w tym napad z bronią w ręku i paserstwo. W kartotece Nizara H. figuruje osiem przestępstw, w tym groźby śmierci, które kierował do żony, uprowadzenie dziecka, zakłócenie miru domowego, grożenie osobie publicznej. Vincent C. został skazany za przemoc wobec partnerki. Fabien S. dopuścił się 17 przestępstw i wykroczeń, w tym napaści na tle seksualnym na osobę nieletnią poniżej 15. roku życia, przemocy wobec żony, kradzieży z rozbojem. Natomiast urodzony w 1984 r. w Maroku Redouane A. odbył już karę pozbawienia wolności za przemoc wobec partnerki.

Wielu oskarżonych utrzymuje, że Dominique Pelicot ich zmanipulował, prezentując im gwałty jako „inscenizację”, „grę”, „deliryczną orgię”, „trójkąt” „fantazję” czy „scenariusz wyreżyserowany przez parę libertynów”

Wobec pięciu z 50 współoskarżonych prowadzone jest obecnie postępowanie w związku z „posiadaniem pornografii dziecięcej”. W komputerze Nicolasa F. śledczy zabezpieczyli 4284 zdjęcia i 262 filmy pedofilskie. Oskarżony wyjaśnia, że mogły tam się znaleźć z powodu jego działalności zawodowej lub stowarzyszeniowej. Thierry P., monter urządzeń chłodniczych, zapisał na dysku 656 zdjęć i 419 filmów wideo z treściami pedofilskimi, jak również z treściami o znamionach zoofilii.

Śledczy zabezpieczyli również 728 zdjęć z treściami o charakterze seksualnym w komputerze strażaka, Christiana L., w tym szereg zdjęć pornograficznych małych dziewczynek. Na jego koncie Skype’a odkryto szereg rozmów, z których wynikało, że dążył do kontaktów seksualnych z dziewczętami. Na jednym z czatów pyta rozmówcę, „czy już to robił ze swoją córką”, rozmówca odpowiada, że podaje jej środki nasenne. Odkryto również kontakty z niejakim Julienem Pegpegiem, który proponuje Christianowi L. seks oralny ze swoją córką. Razem zastanawiają się również, w jaki sposób ją zgwałcić. Strażak, pyta Juliena Pegpega o wymiary córki, aby mógł jej kupić na tę okazję „szpilki, pończochy, stringi i mini-spódniczkę”. Jego rozmówca odpowiada, że „córka ma 104 cm wzrostu”.

Pytany o zdjęcia, Christian L. oświadczył, że zostały przypadkowo pobrane z internetu. Jednak po zatrzymaniu napisał do swojej partnerki i zażądał, by odebrała komputer, który zostawił w jednostce, gdyż jeśli tego nie zrobi, „on długo posiedzi”.

Tysiące Francuzów na ulicach

Niektórzy oskarżeni gwałcili Gisèle Pelicot wielokrotnie. W latach 2016-20 Charly A. odwiedzał parę sześciokrotnie, tak jak Romain V. Dominique D. twierdzi, że odwiedził parę pięć razy, w latach 2016-20. Urodzony w 1978 r. ojciec trójki dzieci, Jérôme V., był u pary siedem razy.

Gisèle Pelicot nie była jedyną kobietą potraktowaną jak obiekt seksualny przez męża. Na dwóch filmach słyszymy rozmowy Charly’ego A. i Dominique’a Pelicot, w których planują zgwałcenie matki Charly’ego A. Aby to zrobić, Dominique Pelicot dał Charly’emu A. odpowiednie leki, jednak Charly A. twierdzi, że nigdy ich nie podał.

Inny oskarżony, Cédric C., potwierdził podczas przesłuchania, że Pelicot namawiał go do odurzenia żony, miał mu dać fiolkę zawierającą tę samą substancję, którą podawał Gisèle Pelicot.

Jeden z oskarżonych – Jean-Pierre M. – jest również podejrzewany o to, że zgotował swojej żonie los podobny do tego, który spotkał Gisèle Pelicot. Żona Jean-Pierre’a M. była ofiarą dwunastu gwałtów, które miały miejsce w jej domu w Montségur-sur-Lauzon. W przynajmniej trzech brał udział Dominique Pelicot. Aby nie zaszkodzić swojemu mężowi żona Jean-Pierre’a M. nie chciała wytoczyć powództwa cywilnego. Twierdzi, że będzie wspierać męża, który „jest ojcem jej dzieci”. Podczas przesłuchania oświadczyła, że nic jej nie wiadomo, jakoby jej mąż kiedykolwiek ją odurzał.

W pierwszym przesłuchaniu procesowym w tym tygodniu Dominique Pelicot oznajmił: „Jestem gwałcicielem, tak jak inni oskarżeni”. Opisał sądowi dzieciństwo, w tym to, że został zgwałcony w wieku dziewięciu lat przez pielęgniarkę, gdy przebywał w szpitalu z powodu urazu głowy. Opisał brutalnego ojca i matkę, która była jego ofiarą. Stwierdził, że w wieku 14 lat, jako praktykant na budowie, został zmuszony do bycia świadkiem i wzięcia udziału w zbiorowym gwałcie na kobiecie.

Dodał: „Nie rodzisz się zboczeńcem, stajesz się nim”.

Sprawa wywołała oburzenie w całej Francji, a tysiące osób demonstrowało w weekend przeciwko gwałtom i wszelkiej przemocy seksualnej. Sama Gisèle Pélicot zażądała, aby proces był otwarty dla publiczności w celu podniesienia świadomości na temat wykorzystywania narkotyków do popełniania nadużyć seksualnych. „Dzięki wam mam siłę, by doprowadzić tę walkę do końca” – powiedziała demonstrantom w poniedziałek. ●

tłum. Małgorzata Suwińska

wyborcza | magazyn **wyborczej** WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYNY-KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Igor Rakowski-Kłos
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Rafał Wojciechowski, Dominik Gajda (Ale Historia)
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
NAKŁAD KONTROLOWANY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34336089

WE WTOREK I W ŚRODĘ W „WYBORCZEJ”

CHOROBY TARCZYCY

- Jakie są skutki nadczynności i niedoczynności tarczycy?
- Jakie badania wykonać, by zbadać tarczycę?
- Dieta dobra dla tarczycy. Co jeść, czego unikać?

DODATKI SPECJALNE

2 RP

eprasa.pl 72aacc3640

OBYCZAJE KULTURA NAUKA

I Demi ciałem się stała

Producenci chcieli ją rozbierać, widzowie uwielbiali albo potępiali. A Demi Moore w końcu zawarła rozejm z własnym ciałem, które przez lata było dla niej polem bitwy

Piotr Guszkowski

FOT. CHRISTINE TAMALET/UNIVERSAL STUDIOS

• **„SUBSTANCJA" (2024).** Przebój tegorocznego festiwalu w Cannes nagrodzony Złotą Palmą za scenariusz. Krwawy body horror i jednocześnie satyra na przemysł rozrywkowy. Demi Moore gra gwiazdę, która traci swój program fitness w telewizji śniadaniowej, bo jest za stara. Jest uzależniona od pracy i uwielbienia widzów, więc poddaje się eksperymentalnej kuracji, która ma ją odmłodzić i uczynic lepszą wersją siebie...
Scenariusz i reżyseria Francuzka Coralie Fargeat, a w obsadzie także Margaret Qualley i Dennis Quaid. Film wchodzi do naszych kin w piątek 20 września.

eprasa.pl 72aacc3640

Budzi się rano cała w okruszkach. To wstydliwe dowody obżarstwa. Znów wstała w środku nocy i buszowała w lodówce. Wie, że musi z tym skończyć. Tylko jak? W końcu, z braku lepszego pomysłu, zakłada kłódkę na lodówkę. Ale to nie jest rozwiązanie. Nie na długo.

Jest 1985 r. Demi Moore ma 24 lata. „Ognie św. Elma" dobrze poradziły sobie w box office i przyspieszyły jej karierę. Niedługo wystąpi w „Uwierz ducha" i stanie się jedną z najpopularniejszych gwiazd w Hollywood. Mało kto wie, że jest świeżo po odwyku, który uratował jej życie. Wpadła w inny nałóg.

Miną lata, zanim nauczy się, jak radzić sobie z lękiem, rozczarowaniem czy odrzuceniem inaczej niż poprzez cierpienie zadawane swojemu ciału. Ciału, którego nie potrafiła zaakceptować.

„Trafił mi się zawód, w którym liczyło się wyłącznie to, jak wyglądam i jaki noszę rozmiar, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że jestem tyle warta, ile moja atrakcyjność" – stwierdziła w książce „Intymnie. Moje wspomnienia" z 2019 r.

Na jej samoocenie zaważyły także, a może przede wszystkim, doświadczenia z dzieciństwa. Zezowate oko i choroba nerek, przez którą puchła, sprawiły, że czuła się uszkodzona. „Własną seksualność połączyłam na najgłębszych poziomach jaźni ze wstydem".

Od dziecka w trybie ucieczkowym

Urodziła się w 1962 r. w Roswell w Nowym Meksyku – mieście, w którym rzekomo wylądowali kosmici. Rodziców, Dana i Ginny Guynesów, przedstawia jako parę nieodpowiedzialnych dzieciaków. Za każdym razem, kiedy pakowali ją i młodszego brata, Morgana, do samochodu, tłumaczyli, że tata dostał lepszą pracę.

W rzeczywistości ciągle uciekali przed problemami. Najczęściej chodziło o pukających do drzwi wierzycieli. Ale bywało też, że ucieczki miały zakończyć romanse Dana, czarującego oszusta, uzależnionego od alkoholu, hazardu i kobiet. Ginny za pomocą przeprowadzki chciała odciąć męża od kochanek i utrzymać małżeństwo. Kiedy to nie skutkowało, groziła, że się zabije.

Demi nie zapomni, jak wyciągała z jej ust tabletki. Dziś uznaje, że tego dnia zakończyło się jej dzieciństwo.

Już po tym, jak Dan rozstał się z Ginny, Demi odkryła, że nie jest jej biologicznym ojcem. Morgan zamieszkał wtedy z Danem, Demi z matką i jej kolejnymi facetami.

Pewnego dnia zastała w domu nowego przyjaciela matki. Zgwałcił ją, a po wszystkim rzucił: „Jak to jest, kiedy matka robi z ciebie kurwę za pięćset dolarów?". Dzień po 16. urodzinach Demi zatrzasnęła za sobą drzwi i wyprowadziła się do chłopaka. To on zabrał ją na koncert The Kats. Tak pozna pierwszego męża, gitarzystę Freddy'ego Moore'a. Zostawi sobie jego nazwisko.

Boska interwencja

„W każdej kolejnej szkole i każdym kolejnym mieście musiałam się wcielić w postać, jaka moim zdaniem będzie najbardziej lubiana – wspomina Moore. – Niewykluczone, że konieczność adaptowania się do nowych warunków pomogła mi w późniejszej karierze".

Zaczęła jako modelka. Zanim dołączyła do agencji Elite, zrobiła m.in. sesję do japońskiego czasopisma erotycznego. To jej plecy widać na plakacie kultowego horroru „Napluję na twój grób". Marzyła jednak o aktorstwie. Zapisała się nawet na kurs, ale porzuciła zajęcia z obawy przed blamażem na oczach grupy. Co nie znaczy, że zrezygnowała z castingów. Zapadała w pamięci dzięki długim, czarnym włosom i charakterystycznej chrypce. Przełomem okazała się rola w operze mydlanej „Szpital miejski". Sukces nie sprawił, że wyzbyła się wątpliwości. Bała się, że nie jest wystarczająco dobra i inni to widzą.

Potencjał dostrzegł w niej Joel Schumacher, zaproponował rolę w „Ogniach św. Elma" (1985) o paczce przyjaciół z college'u wkraczających w dorosłość. Reżyser szybko zrozumiał, że młodziutką aktorkę łączy z postacią Jules więcej, niż mógł przypuszczać: Demi też uzależniła się od kokainy. Zamiast stawiać na niej krzyżyk, zorganizował odwyk. Moore do dziś traktuje to w kategoriach boskiej interwencji.

Niestety, nie wszyscy reżyserzy byli jak Joel Schumacher.

Obsesja kontroli

Co czuje 24-letnia aktorka, kiedy siada naprzeciwko reżysera i słyszy: „Naprawdę chciałbym cię widzieć w tym filmie, ale musisz obiecać, że schudniesz"? Właśnie to spotkało Demi Moore w trakcie castingów do komedii romantycznej „Ta ostatnia noc" (1986). Miała świadomość, że przybrała na wadze. Niedawno rzuciła palenie. Nie podobało jej się to, co widziała w lustrze. Bała się, że nikt nie będzie chciał jej zatrudnić. A teraz, na spotkaniu z Edem Zwickiem, największy koszmar właśnie się spełniał. „Poczułam mdłości, żołądek ścisnął mi się z przerażenia, ogarnęła mnie panika".

W biografii wspomina: „Tak rozpoczęła się moja walka o kontrolę nad własnym ciałem, podczas której uzależniła własną wartość od swojej wagi, rozmiaru ubrania i wyglądu". Po wejściu filmu do kin z obawą przeglądała recenzje. „Żaden krytyk nie zająknął się nawet na temat mojego okropnego ciała, co powinno było mi uświadomić, że jego straszny obraz istnieje tylko w mojej głowie".

„Zaledwie dwanaście tygodni temu urodziłam dziecko i tylko na mnie spójrzcie!" – mówiła w komediowym monologu otwierającym „Saturday Night Live" w grudniu 1988 r. Malutką Rumer w garderobie zajmował się tata, Bruce Willis. Początek ich związ-

1 RP

eprasa.pl 72aacc3640

FOT. STEVE GRANITZ/WIREIMAGE/GETTY IMAGES, ETHAN MILLER/GETTY IMAGES

FOT. BE&W. PICTORIAL PRESS LTD / ALAMY/BE&W. . ARCHIVES DU 7E ART/COLUMBIA PICTURES/BE&W, VANITY FAIR / ZUMA PRESS / FORUM, ARCHIVES DU 7E ART/TRAP-TWO-ZERO PRODUCTIONS/HOLLYWOOD PICTURES

1 • „Ognie św. Elma" (1985) jako Julies, uzależniona od narkotyków imprezowiczka i pozerka

2 • „Uwierz w ducha" (1990) jako Molly, artystka w żałobie po stracie ukochanego Sama (Patrick Swayze)

3 • „G.I. Jane" (1997) jako porucznik Jordan O.Neil, która przechodzi mordercze szkolenie, żeby udowodnić, że kobiety radzą sobie w armii

4 • „Aniołki Charliego. Zawrotna szybkość" (2003) jako Madison Lee, „upadły" Aniołek. Skupiano się na tym, jak wygląda w bikini

5 • Z drugim mężem Brucem Willisem i ich córkami: Rumer, Scout i Tallulah. Pobrali się 1987 r., a rozwiedli w 2000 r.

6 • Trzecie małżeństwo z Ashtonem Kutcherem skończyło się rozwodem w 2013 r.

7 • Pierwsza z dwóch kontrowersyjnych okładek dla „Vanity Fair". Na tej jest w siódmym miesiącu ciąży. W 1992 r. pozowała „ubrana" tylko w namalowany na ciele garnitur.

ku przypominał bajkę. Moore czuła się przy Willisie jak księżniczka. Wytwórnia TriStar urządziła swoim wschodzącym gwiazdom wesele, ceremonię prowadził Little Richard. Szybko jednak okazało się, że inaczej widzą wspólną przyszłość. Bruce oczekiwał, że Demi zajmie się rodziną. Ona nie chciała rezygnować z kariery, która nabierała tempa.

„To będzie albo kompletna katastrofa, albo arcydzieło" – pomyślała po przeczytaniu scenariusza „Uwierz w ducha" (1990). Pełna namiętności scena przy kole garncarskim z Patrickiem Swayzem przeszła do historii kina. Moore zdobyła nominację do Złotego Globu. A dzięki lekcjom ze słynnym coachem aktorskim Haroldem Guskinem poprzez kontrolowanie oddechu nauczyła się uwalniać tłumione dotąd emocje.

„Po co ją zatrudniliśmy?"

Okładka sierpniowego numeru „Vanity Fair" w 1991 r. przełamywała tabu. Demi Moore, zamiast chować się pod obszernymi ubraniami, dumnie odsłaniała ciało w ciąży. To ikoniczne zdjęcie zrobiła Annie Leibovitz. Jedną ręką Demi zakrywa piersi, drugą podtrzymuje brzuch. To szokowało, ale gwiazda dostała od kobiet wiele listów z podziękowaniami.

Budziła też zgorszenie. Niektóre kioski odmówiły sprzedaży magazynu. Moore zarzucano ekshibicjonizm. Wspomina, że wtedy bardziej przejęła się niepochlebną wymową artykułu, który promowała okładka. Odtąd ciągnął się za nią obraz rozpieszczonej i trudnej we współpracy diwy. „Wszystko na pokaz" – taki tytuł nosił poświęcony Demi materiał w polskim „Filmie" z marca 1995 r., otwierały go słowa: „Uwielbia być w centrum zainteresowania. I doskonale wie, jak to osiągnąć".

Cieszyła się, że w dramacie sądowym „Ludzie honoru" (1992) siłą jej postaci wreszcie miały być kompetencje, a nie seksapil. Jednak radość przesłaniała obawa, jak po ciąży wciśnie się w obcisły mundur wojskowej prawniczki. Znowu wpadła w wir ćwiczeń. Nie zrezygnowała nawet wtedy, kiedy lekarz zasugerował, że to przez intensywny trening karmiona piersią Scout nie przybiera na wadze.

Scenarzyście Aaronowi Sorkinowi udało się powstrzymać zapędy wytwórni, żeby bohaterowie Moore i Toma Cruise'a wylądowali w łóżku. „W takim razie, po co ją zatrudniliśmy?" – oburzał się jeden z producentów. Ale już w „Niemoralnej propozycji" (1993) aktorka znów miała wystąpić rozebrana. Więc głodziła się i ćwiczyła jeszcze więcej.

Po spotkaniu z Adrianem Lynnem odebrała telefon od agentki: „Zwolni cię, jeśli nie przytyjesz co najmniej pięć kilo". Moore z trudem przekonała reżysera, że wtedy nie będzie się czuła swobodnie przed kamerą. Zagrała Dianę, która razem z mężem (Woody Harrelson) musi podjąć decyzję, czy spędzi noc z bogaczem (Robert Redford) za okrągły milion. Moore wspomina, że podczas zdjęć w jej głowie majaczyło pytanie: „Jak to jest, kiedy matka robi z ciebie kurwę za pięćset dolarów?".

Film odniósł kasowy sukces, ale twórcom zarzucano, że przedstawiają kobietę jako towar. I znów, tak jak w przypadku ciążowej sesji, którą rozsierdziła purytańską Amerykę, aktorka znalazła się w środku publicznego sporu.

Równość, która denerwuje

Role wybierała odważnie, choć nie zawsze fortunnie, przez co lądowała w takich projektach jak „Striptiz" (1996). Polski dystrybutor dopisał na plakacie pod jej nazwiskiem: „Najlepiej rozebrana kobieta roku". Wcieliła się w samotną matkę, która po stracie pracy zatrudnia się w nocnym klubie, żeby zdobyć pieniądze i odzyskać prawo do opieki nad córką.

Recenzenci mieli używanie. Wytykali aktorce, że nie wyczuła komediowej tonacji i potraktowała historię zbyt serio. Kpili, że to najdroższy taniec na rurze w historii. Demi Moore wynegocjowała za rolę rekordową gażę 12 mln dolarów, przez co stała się najlepiej opłacaną aktorką w Hollywood. Willis za „Szklaną pułapkę 3" dostał 20 mln, ale to jej zarzucano pazerność. Stąd przezwisko „Dajmi" Moore (oparte na grze słów od ang. „gimmie more"). Miną dwie dekady, zanim w Hollywood na poważnie rozpocznie się debata dotycząca wyrównania płac.

W „G.I. Jane" (1997) Moore poszła o krok dalej, jakby, świadomie lub nie, igrała z tym świętym oburzeniem. Pokazała, że kobieta może być równie twarda jak mężczyźni. Ścięła włosy na jeża i w ramach przygotowań do zdjęć poddała się podobnej próbie, co jej bohaterka, por. Jordan O'Neil, na szkoleniu Navy Seals.

„Intrygujące jest obserwować, jak pracuje z obrazem własnego ciała – oceniał uznany krytyk Roger Ebert. – Słynne zdjęcia w ciąży na okładce »Vanity Fair« można zestawić z ujęciami tancerki erotycznej w »Striptizie«, dyrektorki z filmu »W sieci« [kiedy zostanie odrzucona przez podwładnego, oskarża go o molestowanie], i kobiety, która w »Niemoralnej propozycji« musi zdecydować, co można kupić za milion dolarów. Wszystkie one, a teraz także O'Neil, badają napięcie pomiędzy ciałem kobiety a jej ambicją i wolą. »G.I. Jane« robi to w sposób najbardziej oczywisty i skuteczny".

Zostawić Hollywood

Ale pozytywna opinia Eberta była wyjątkiem. Wśród zarzutów powracało zdanie, że przesłanie o równouprawnieniu w armii zostaje kompletnie zniweczone przez to, w jaki sposób Ridley Scott seksualizuje Moore na ekranie. Film okazał się wielką klapą.

Zjadliwa krytyka, rozstanie z Willisem i śmierć matki. Moore czuła się wyczerpana. Porzuciła Hollywood, by poświęcić czas sobie i córkom (w międzyczasie urodziła trzecią, Tallulah). Zamieszkały na ranczo w Idaho. Nie mogła patrzeć na siłownię, przerobiła ją na biuro. „W końcu zawarłam rozejm z własnym ciałem".

Kiedy po paru latach wróciła na ekran na zaproszenie Drew Barrymore w kontynuacji „Aniołków Charliego" (2003), znów skupiano się na tym, jak wygląda. Tym razem w bikini. – Nie byłam już 30-latką, ale nie wyglądałam na 40-latkę, którą widzowie mogliby wygodnie identyfikować jako matkę. Nie było dla mnie miejsca – oceniła w „Variety".

Lepiej układały się sprawy osobiste. Wiosną 2003 r. Moore poznała Ashtona Kutchera. Odkąd po raz pierwszy pokazali się razem, media rozpisywały się o 15-letniej różnicy wieku. Pojawiły się nawet teorie, że ich związek to ustawka, sprytny sposób na ożywienie kariery aktorki. Ale dziewczynki były podekscytowane. Kutcher prowadził wtedy w MTV popularny program „Punk'd".

Zaszła w ciążę, Ashton się oświadczył. Miała poczucie, że los wreszcie jej sprzyja. Była już w szóstym miesiącu ciąży, kiedy na kontrolnym USG zamiast bicia serca usłyszała ciszę. Straciła dziecko, córkę, dla której wybrali już imię Chaplin. Próbowała uśmierzać ból alkoholem, uzależniła się od vicodinu.

Kiedy brali ślub w 2005 r., Demi Moore miała poczucie, że to miłość, która zdołała przetrwać próbę ognia. W 2012 r. będzie siedziała sama w wielkim, pustym domu i zastanawiała się: „Jak się znalazłam w tej sytuacji?".

Jej kariera skończyła się na dobre. Jeśli Hollywood już wcześniej nie miało na nią pomysłu, to teraz tym bardziej. Tabloidy wyliczały, ile wydała na operacje i zabiegi odmładzające, żeby udowodnić, że nie radzi sobie ze starością. A przecież nie miała jeszcze 50 lat.

Po kolejnej zdradzie męża stało się jasne, że małżeństwa nie da się uratować. Wcześniej próbowała, ale w efekcie tylko zaniedbała relacje z córkami. Przestały się do niej odzywać. Najpierw Tallulah, potem Scout. W końcu w ślady młodszych sióstr poszła Rumer. Była świadkiem zapaści mamy na imprezie. Zobaczyła, jak leży półprzytomna na podłodze łazienki.

„Telefon milczał w Boże Narodzenie, w moje pięćdziesiąte urodziny i na Dzień Matki. Nie dostawałam żadnych e-maili. Żadnego kontaktu".To był cios. Ale też impuls do zmiany. Decyzja o terapii pozwoliła Demi Moore zmierzyć się z traumą, zaburzonym obrazem siebie, i mozolnie, krok po kroku, poskładać życie. Musiała zaopiekować się samą sobą. Parę lat zajęło, zanim odbudowała więź z córkami. Odbudowała również przyjaźń z ich ojcem. To właśnie Moore była jedną z pierwszych osób, które potwierdziły publicznie, że u Bruce'a Willisa zdiagnozowano otępienie czołowo-skroniowe. Zaangażowała się w pomoc byłemu mężowi.

Kiedyś nieznajoma powiedziała jej na ulicy: „Nigdy nie będziesz wystarczająca. Ale zaczniesz poznawać swoją wartość, gdy odłożysz miarkę"

Miarka się przebrała.

Teraz znów zrobiło się o niej głośno. Wszystko za sprawą kreacji w „Substancji" (w polskich kinach od 20 września), przeboju festiwalu w Cannes stanowiącym przewrotne połączenie krwawego body horroru i satyry na przemysł rozrywkowy.

Demi Moore wciela się w przebrzmiałą gwiazdę. Według szefa stacji jej termin ważności właśnie upłynął. W prezencie na 50. urodziny Elizabeth Sparkle zostaje więc zwolniona. Traci program fitness w porannym paśmie telewizyjnym – ostatnie, co pozostało jej z okupionej samotnością kariery, która obiecująco rozpoczęła się zdobyciem Oscara. W lustrze widzi same niedoskonałości. Dlatego skusi się na ofertę eksperymentalnej kuracji, która pozwoli być jej „młodszą i lepszą wersją siebie". Już węszycie komplikacje, prawda? Słusznie.

„Substancja" to rodzaj kina, które prowokuje widza do opuszczenia strefy komfortu. Moore nie ukrywa, że ze swojej została wręcz wyrwana.

Według niej film Coralie Fargeat stanowi refleksję nad przemijaniem, ale opowiada również o tym, jak kobiety szukają akceptacji, mierzą się z wyidealizowanym obrazem szczupłego ciała bez zmarszczek i skaz, będącym wytworem męskiego spojrzenia (ang. male gaze).

– Nie chodzi o to, co się nam robi; chodzi o to, co same sobie robimy – mówiła „Variety". Zresztą w losach bohaterki filmu odbijają się jej własne doświadczenia. Tym lepiej zrozumiała jej ból.

Kiedy Demi Moore czytała scenariusz „Substancji", zobaczyła w bohaterce osobę uzależnioną. – W przypadku Elisabeth narkotykiem jest doświadczanie bycia kochaną, uwielbianą, akceptowaną, pożądaną. Zatrzymanie tego byłoby dla niej równoznaczne ze śmiercią (...). Na tym polega pułapka, gdy uzależniamy własną wartość od czegoś zewnętrznego – przyznała w rozmowie, którą dla „Interview Magazine" przeprowadziła z nią Michelle Yeoh.

Dwie dojrzałe aktorki rozmawiają o tym, jak okrutne jest Hollywood dla kobiet, kiedy osiągną pewien wiek. Moore zainteresowało to, że kiedy Elizabeth dostaje drugą szansę, powtarza schemat, który dyktował jej szukanie akceptacji i podziwu. – Wyzwolenie przychodzi dopiero wtedy, gdy odpuścisz swoje Ja fizyczne. Przypomina to buddyjską perspektywę: musimy umrzeć, by żyć – dodaje.

Demi Moore w „Substancji" odważnie odsłania ciało. Być może teraz, po sześćdziesiątce, po raz pierwszy robi to w pełni na własnych warunkach.

– Jestem w punkcie, w którym piszę własną historię, w przeciwieństwie do historii, którą dyktowano mi na podstawie mojego wieku – mówi „Variety". I przytacza zdanie usłyszane przed laty od nieznajomej na ulicy: „Nigdy nie będziesz wystarczająca. Ale zaczniesz poznawać swoją wartość, gdy odłożysz miarkę". W jej przypadku te słowa się sprawdziły. ●

Demi Moore/Intymnie. Moje wspomnienia/ tłum. Dariusz Żukowski/ Agora 2020

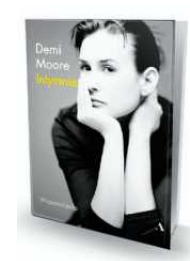

eprasa.pl 72aacc3640

PIES *w* BUTACH

Ostatecznie wszyscy kupimy je swoim, tylko z różnych powodów

Katarzyna Staszak

W Palm Springs nawet we wrześniu temperatura potrafi przekroczyć 40 st. C. W lipcu tego roku padł rekord – 51 st. C. Dlatego bohater książki „Gujcio", której akcja toczy się w tym pustynnym mieście, przed każdym wyjściem z domu zakłada psu buty. Mają chronić jego łapy przed rozpalonym asfaltem. W Palm Springs psy w butach nikogo nie dziwią. Ich zakładanie zaleca choćby miejskie schronisko dla zwierząt.

Miasta w Polsce też latem topią się w coraz większym upale. Czy to znaczy, że powinniśmy kupić swoim psom buty?

Zapytałam o to dr n. wet. Magdalenę Kalwas, autorkę podręczników dla lekarzy weterynarii. Najpierw odpowiedziała, że psy zazwyczaj nie potrzebują butów, bo przecież pochodzą od wilków. – Ich łapy świetnie sobie radzą w terenie. Jeśli są zdrowe, poduszki działają jak podeszwy – zaznaczyła lekarka. A potem podała listę sytuacji, w których buty jednak się psom przydają.

FOT. SHUTTERSTOCK

Gustaw zamiast Azora

Psie buty można odebrać jako próbę upodobnienia zwierząt do ludzi. Na różne sposoby humanizujemy swoje psy. Kiedyś na liście popularnych imion był Azor czy Psotka, dziś na osiedlu spotykam Gustawa i Celinkę.

Rynek produktów dietetycznych dla psów puchnie od wynalazków wzorowanych na ludzkich modach i suplementach. Karmy są bezglutenowe, za to można je posypać probiotykami czy polać olejkiem z konopi. Starsze i schorowane psy jeżdżą w wózkach przypominających te dla dzieci. Widziałam psy w przeciwsłonecznych czapkach i okularach.

Część tych produktów kupujemy, bo kochamy swoje psy jak dzieci. Jednocześnie naukowcy dostarczają nam coraz więcej informacji o zdrowiu zwierząt, a lekarze weterynarii uczą nas reagować na wszystkie objawy. Stąd rosnąca popularność butów dla psów – mogą mieć związek z zaleceniami medycznymi. Są ciekawym wątkiem dyskusji o tym, co powinniśmy naszym psom zapewniać.

Psie buty mogą przypominać gumowe crocsy, skarpetki albo skórzane rękawiczki bez palców. Czy są zamachem na psią naturę? W tysiącach filmów na TikToku widać, że psy nie akceptują butów od razu. Nie wiedzą, jak mają w nich chodzić. Sporo jest też jednak filmów pokazujących psy przyzwyczajone do butów. Towarzyszą ludziom na treningu biegowym albo przeskakują w butach przez śnieżne zaspy.

Alergia wychodzi w łapach

– Niektóre psy rzeczywiście mogą wymagać przejściowej ochrony łap, np. te ze zmianami skórnymi na tle alergii – mówi dr Kalwas. Choroby skóry należą do częstszych problemów, z jakimi opiekunowie psów zgłaszają się do weterynarzy. Jeśli podrażnienia, zaczerwienienia, ranki, pęknięcia, przesuszenia dotyczą łap, pies może odczuwać dyskomfort czy ból przy każdym kroku.

– Stosujemy wówczas maści natłuszczające i przeciwzapalne, ale musimy ustalić, skąd problem się bierze. Podrażniona skóra może łatwiej ulegać uszkodzeniom podczas chodzenia. To oznacza ryzyko zakażenia chorego miejsca.

Niektóre rasy, np. maltańczyki czy buldożki francuskie, mają większą skłonność do alergii pokarmowych. A to wiąże się z większym ryzykiem problemów z poduszkami łap, np. obustronnym rumieniowym zapaleniem przestrzeni międzypalcowych kończyn piersiowych – wyjaśnia dr Kalwas.

Alergia pokarmowa może się objawiać także świądem, zaczerwienieniem uszu, zmianami w okolicy wewnętrznych zagięć łapek, przy pachwinach. Pies może mieć też alergię na domowy dywan albo na nowy proszek, w którym wypraliśmy koc. Są psy, które uczula trawa. Jeśli skóra na łapach psa swędzi, może je o coś pocierać albo lizać łapy, a to tylko pogłębia problemy.

– Czasem choroby skóry u psów łatwo rozwiązać, pomaga m.in. suplementowanie cynku. Tak bywa z psami ras północnych jak husky czy malamut, które potrzebują więcej tego minerału. Jeśli widzimy, że coś się dzieje z łapami psa, to idziemy do weterynarza. Problem może się objawiać na łapach, ale zaczynać gdzie indziej – podkreśla dr Kalwas.

Dla zdrowia łap znaczenie ma miejsce naszych spacerów. Żwir może wywołać mikrootarcia na poduszkach łap.

Na łapach są gruczoły zapachowe, pies zostawia informacje o sobie dla innych psów. Buty w tym przeszkadzają

– Zimą psu zaszkodzić może zlodowaciały śnieg. Może zacząć kuleć, gdy fragment zbitego śniegu albo lodu dostanie się między poduszki. Warto na spacerze łapy psa przeglądać i wyciągać to, co go uciska.

W takich warunkach założenie psu butów oszczędza nam pracy, a pies jest zabezpieczony. Buty chronią też przed solą wysypywaną na chodniki, która może łapy podrażnić i wysuszyć. Poza tym są choroby, które łączą się u psów z nietolerancją zimna, np. niedoczynność tarczycy. Widzimy, że pies marznie, więc dostaje od nas ubranie, a buty też by pomogły.

Można by pomyśleć, że to przesada, bo przecież pies poradzi siebie w każdej temperaturze, ale chory mocniej odczuwa zimno. W przypadku niedoczynności tarczycy przede wszystkim trzeba się zająć leczeniem, które polega na suplementacji hormonów tarczycy – tłumaczy dr Kalwas.

Rowerzyści i biegacze

Teraz jesienią psy noszą swetry, a w największe mrozy puchowe kurtki lub kombinezony zakrywające całe ciało. Do widoku butów prawdopodobnie też się przyzwyczaimy, szczególnie jeśli to lekarz nam je podpowie.

Buty zakładają np. psi ratownicy. – Miałam kiedyś pacjenta, który szukał ofiar w budynkach zburzonych przez trzęsienie ziemi. Do pracy chodził w butach, ale w czasie poszukiwań jednego buta zgubił i skaleczył się w łapę. Rana na łapie ma kontakt z ziemią, a to oznacza ryzyko zakażenia tężcem. Przy głębokich ranach na poduszkach łap łatwo o rozwój bakterii.

Zdarza się, że na leczenie trafiają psy z objawami tężca i szukamy rany, bo wiemy, że jakoś ta bakteria musiała się do organizmu dostać. Mieliśmy pod opieką psa, u którego nie mogliśmy znaleźć żadnej rany. Okazało się, że była schowana u podstawy pazura – opowiada dr Kalwas.

Powód, żeby kupić psu buty, mają też rowerzyści i biegacze, którzy zabierają zwierzęta na swój trening. – Jeśli chcemy, żeby pies biegł obok nas, to powinniśmy wybrać miękką nawierzchnię, np. leśne ścieżki. Po kilku kilometrach biegu po asfalcie poduszki łap mogą być podrażnione. Na asfalcie buty zapewnią psu ochronę – mówi lekarka.

A co z upałem? Być może wraz z coraz wyższymi temperaturami uznamy za właściwe zakładanie psom butów.

– Na 15-minutowe wyjście koło bloku nie trzeba zakładać psu butów. Jeśli planujemy z psem długą wyprawę w trudnych dla niego warunkach, po śniegu czy w upale, to buty zaczynają mieć sens. Jednocześnie wiemy, że psie łapy są niezwykle. Odporne, pracujące, dostosowują się do różnych nawierzchni, bo są podzielone na poduszeczki.

To jedyne miejsce, przez które pies może się pocić, a w ten sposób się schładza. Na łapach są też gruczoły zapachowe, pies zostawia informacje o sobie dla innych psów. Zakładając psu buty, właściwie odbieramy łapom część ich naturalnych funkcji – podkreśla dr Kalwas.

Kapcie dobre na psie biodra

A czy pies powinien myć łapy po każdym spacerze? Niektórzy opiekunowie psów mają obok drzwi ręczniki papierowe albo niosą psa prosto pod prysznic.

– Można łapy przetrzeć czy spłukać wodą, ale nadużywanie środków czyszczących nie jest dla psa przyjemne. Pies lubi swój własny zapach, to komunikat, który wysyła innym psom.

Ciągłe zajmowanie się higieną psa to potrzeba właściciela, a nie psa. Psia skóra, jak ludzka, ma na sobie naturalną warstwę ochronną. Dermatolodzy przestrzegają nas przed nadmierną higieną, nie powinniśmy przesądzać też z czyszczeniem psów. Psa kąpiemy, gdy jest brudny. Chyba że ma chorobę skóry i lekarz zaleci kąpiele z leczniczymi szamponami – mówi lekarka.

W internecie widać, że niektóre psy dostają w domu kapcie – skarpetki antypoślizgowe.

– To ma sens, np. u psów z dysplazją bioder. One rzeczywiście muszą unikać gwałtownych zmian ustawienia kończyn. Jeśli więc pies ślizga się na domowej podłodze, „nie wyrabia na zakręcie", to skarpetki ochronią go przed urazem. Są rasy psów, które mają predyspozycje do dysplazji bioder, np. owczarki niemieckie – wyjaśnia dr Kalwas.

Niedawno lekarze z Meksyku zbadali, jak niektóre zachowania opiekunów wpływają na zdrowie psów i kotów. – Okazało się, że zakładanie zwierzętom swetrów w domu, gdzie ich na pewno nie potrzebują, podnosi temperaturę ciała zwierzęcia o 2 st. C. To może prowadzić do niebezpiecznej hipertermii, czyli przegrzania.

Psom i kotom szkodzi też noszenie ich w torbie. Może to być przyczyną zwyrodnień nieużywanych stawów.

Nasze dbanie o psa powinno się mieścić w granicach tego, co dla niego komfortowe. Czasem czuję się niezręcznie, gdy widzę, jak bardzo opiekunowie upupili zwierzę. Pies nie potrzebuje kokardy na głowie i załatwiania się w domu na podkładach dla niemowląt – podsumowuje lekarka.

W Polsce żyje ok. 8 mln psów – podaje Euromonitor International. Mamy więc 32 mln łap do zaopiekowania. I do potencjalnego obucia. ●

1 RP

eprasa.pl 72aacc3640

Odpowiedzialność za Polskę, nie za ortografię

Błąd gramatyczny w haśle „Nie bać Tuska" sugeruje, że jest coś ważniejszego od gramatyki.

Michał Rusinek

Zanim wsłuchamy się w przemówienie Jarosława Kaczyńskiego z 14 września, przyjrzyjmy się scenografii tego wydarzenia. Za prawym uchem prezesa łopotał wielki banner z napisem „Wolni Polacy", za lewym – podskakiwało kilka transparentów z wydrukowanym cytatem z artykułu 2. Konstytucji oraz z ręcznie napisanym hasłem: „Polacy! Donald Tusk to zły człowiek. Jego działania skierowane są przeciwko państwu polskiemu", a także: „Uwolnić ks. Michała!" i „Stop bezprawiu".

Grupa stojąca za prezesem składała się ze znanych działaczy i działaczek PiS, ubranych w miarę elegancko, oraz młodych ludzi w koszulkach z napisami: „Ruda wrona orła nie pokona" (z wizerunkiem orła białego atakującego pomarańczową wronę) oraz „Nie bać Tuska" (z socrealistyczno-komiksowymi pięściami wzniesionymi ku górze). Tę pierwszą koszulkę można nabyć w sklepie internetowym Ruda Wrona. Jak czytamy na stronie: „Ruda Wrona to niezwykły sklep, który narodził się z głębokiego przekonania o sile wolności słowa i pluralizmu mediów. Jego historia zaczęła się 1 stycznia 2024 roku jako odpowiedź na niesprawiedliwe działania rządzących wobec Wolnych Mediów. Nazwa sklepu nawiązuje do ukutego w Poznaniu hasła – »RUDA WRONA ORŁA NIE POKONA«, które stało się symbolem sprzeciwu wobec nieuzasadnionej ingerencji w niezależność mediów publicznych. Ruda Wrona nie jest tylko sklepem – to symbol solidarności, determinacji i walki o wolne media, które stanowią fundament rzetelnej informacji i otwartości społecznej".

Na stronie wybór koszulek jest spory. Można ogłaszać światu, że jest się „wolnym Polakiem", „dumną Polką", „problemem Tuska", popiera się protest rolników i ma się „w sercu Polską". Prawdziwym „hitem i bestsellerem" jest t-shirt z rudą wroną, która nie pokona orła: „T-shirt jest dostępny w różnych rozmiarach i kolorach. Możesz go nosić na co dzień lub w trakcie protestów, manifestacji czy innych akcji społecznych. Pokaż światu, że jesteś częścią ruchu, który sprzeciwia się niesprawiedliwym działaniom rządzących i walczy o wolne media i sprawiedliwość w Polsce!".

Koszulkę z hasłem „Nie bać Tuska" kupić można natomiast na stronie internetowej „Gazety Polskiej". W opisie czytamy: „Odkryj moc słów i wyraź swoje przekonania z naszą nową koszulką »Nie Bać Tuska«. Ta koszulka to nie tylko wyrazisty element garderoby, ale także potężne przesłanie społeczne. Nosząc tę koszulkę manifestują Państwo swój wkład w dążenie do niezawisłości i sprzeciw wobec działań elit ekipy rządzącej Państwem Polskim. Dołącz do ruchu świadomych konsumentów i pokaż światu, że moda może być zarówno stylowa, jak i odpowiedzialna. Dołącz do grona osób, które odważnie wyrażają swoje poglądy przez modę i zamów już dziś!".

Odpowiedzialność za Polskę nie łączy się tu wprawdzie z odpowiedzialnością za ortografię, ale mniejsza o to. O ile „ruda wrona" odwołuje się do hasła z czasów stanu wojennego i skrótu Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, o tyle „Nie bać Tuska" to, z jednej strony, odwołanie do szkolnego powiedzenia „nie bój żaby", czyli nie martw się czymś, co w rzeczywistości nie stanowi dla ciebie zagrożenia. Z drugiej strony, jest to błąd gramatyczny (pominięcie „się"), który przyciąga uwagę i sugeruje, że w tym haśle ważniejsza od gramatyki jest fonetyka. A brzmi łudząco podobnie do zdania „Jebać Tuska". Swoją drogą to zabawne, że „Gazecie Polskiej", która jeszcze niedawno oburzała się na wulgarne osiem gwiazdek, nie przeszkadza podobnie zakamuflowany wulgaryzm „Nie bać Tuska". Szczególnie gdy można na nim zarobić 59 złotych (bez kosztów wysyłki).

•

Ani jedna, ani druga koszulka nie oburza również dość enigmatycznych „Wolnych Polaków", choć na stronie internetowej piszą oni: „Jesteśmy ludźmi, którzy mają przeróżne pasje i profesje, ale którzy przede wszystkim czują się świadomymi Polakami, obywatelami żywo zainteresowanymi sprawami naszej ojczyzny, Rzeczpospolitej Polskiej [...]. Lubimy dyskusje oraz polemiki, ale tylko w atmosferze wzajemnego szacunku, gdzie nie ma miejsca na wulgarne hasła, nienawiść czy dehumanizacja drugiego człowieka o innym poglądzie".

Z tym „innym poglądem" to jednak przeszarżowano. Zanim prezes Kaczyński zaczął przemawiać, zgromadzeni dowiedzieli się bowiem, że to tylko oni są Polską (a nawet „całą Polską") i „biało-czerwoną drużyną". Prezes ochoczo odwołał się do „rudej wrony", ekipę rządzącą nazwał „formacją zewnętrzną", która nie jest polska, dąży natomiast do „pacyfikacji Polski", przez co wpisuje się w tradycje rozbiorowe. A wiemy przecież, że pacyfikacja Polski zawsze zaczyna się od ataku na historię, na lektury szkolne, a przede wszystkim – na Kościół.

Nie dziwota zatem, że punktem wyjścia tego dość przewidywalnego przemówienia był ks. Michał Olszewski (aresztowany w ramach śledztwa o nieprawidłowości w Funduszu Sprawiedliwości). Mówiąc o nim, Jarosław Kaczyński wzniósł się na poziom symboliczny, a przy okazji hagiograficzny i martyrologiczny, potykając się wszak nieco o logikę i składnię, jako o sprawy w tym przypadku drugorzędne: „On w swoim losie symbolizuje, upostaciowuje to wszystko, co się dzieje z nim". Podlega on bowiem „udręce", „niebywałym prześladowaniom i – chcę to mocno powiedzieć – torturom". Symboliczne jest także to, że ks. Olszewski został „zatrzymany w Wielki Czwartek, dzień kapłański [...]. To było specjalnie! To był symbol!". Ale symbolem jest przede wszystkim on sam: „To jest tak, że ksiądz Michał Olszewski stał się – jako człowiek, jako postać – symbolem tego wszystkiego, co jest tym wielkim złem, które dzieje się dzisiaj w naszym kraju". Tu chyba czegoś zabrakło, bo przecież Kaczyński nie chciał powiedzieć, że ksiądz jest symbolem zła, ale że symboliczny – a ściślej: metonimiczny – dla ataku na Kościół jest atak na księdza. Chyba że – jako prawnik – podświadomie uważa za zło udział w zorganizowanej grupie przestępczej mającej na celu popełnianie przestępstw przeciwko mieniu, bo taki zarzut – kwalifikowany z art. 258 par. 1 kk. – postawiono rzeczonemu księdzu. Wówczas symbolika poniekąd się zgadza.

Półgodzinne przemówienie zakończył prezes PiS jakże chrześcijańskim wezwaniem, by nie przyjmować w Polsce imigrantów, okrzykami: „Niech żyje Polska! i „Niech żyją wolni Polacy!" oraz apelem: „Nie schodźmy na ich poziom. Oni – sięgnęli dna [...]. To nie jest nasz poziom. My reprezentujemy tą prawdziwą Polskę!". A wokół łopotały banery oraz flagi i unosiły się miarowo młode torsy obleczone w koszulki z „rudą wroną" i Tuskiem, którego – jak powszechnie uważa się na poziomie PiS – należy nie bać. ●

> Jarosław Kaczyński wzniósł się na poziom symboliczny, a przy okazji hagiograficzny i martyrologiczny, potykając się wszak nieco o logikę i składnię jako o sprawy w tym przypadku drugorzędne

REKLAMA

Kraj/34334059

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo Agora

1 RP

eprasa.pl 72aacc3640

• Atlantyckie wybrzeże Hiszpanii. Okolice Gijón w prowincji Asturia.

FOT. ORBON ALIJA/GETTY IMAGES

Naukowcy kłócą się o klimat

DWA DO ZERA DLA CZARODZIEJÓW

Mieliśmy umierać milionami. Miało nam zabraknąć surowców. Zawsze znajdowało się rozwiązanie.

Kamil Fejfer

Wisła w Warszawie jeszcze nigdy nie była tak płytka. Urządzenia IMGW wskazały rekordowe 25 cm". „Pożary w Kanadzie – z racji ogromnej skali – będą miały wpływ na klimat. Od maja do października 2023 r. średnia temperatura w Kanadzie była o 2,2 st. C wyższa od normy z lat 1991-2020". „Susza od dwóch lat nęka Sycylię. W ciągu ostatnich dwóch tygodni temperatury sięgały 40 st. C". Dopiero co załamywaliśmy ręce, że wody jest za mało, teraz jest jej o wiele za dużo - ale powodziowa tragedia rozgrywająca się w Nysie, Lądku Zdroju, Jeleniej Górze, choć wywołana przez zjawisko znane od dekad, też ma związek z ociepleniem klimatu: „Niż genueński w połowie września - to powinno nam dać do myślenia", „Wydłuża się sezon powodzi".

To nagłówki tylko z ostatnich dwóch tygodni i tylko z jednego medium. Nie negując ich alarmistycznego wydźwięku i nieszczęścia, jakie wraz z wielką wodą spotyka ludzi od Austrii przez Czechy, Słowację, Polskę po Rumunię i Mołdawię– może pora na dobre wiadomości?

•

Z jednej strony są prorocy, którzy ostrzegają ludzkość przed zagładą, konsekwencją obranej przez nas ścieżki rozwojowej. Z drugiej – czarodzieje skupiający się na pragmatycznych rozwiązaniach problemów. Naukowcy i, szerzej, ludzie zajmujący się klimatem prezentują dwa ścierające się podejścia – zauważa Charles C. Mann w książce „Czarodziej i prorok: dwóch niezwykłych naukowców i ich konkurencyjne wizje przyszłego świata".

Protoplastą współczesnych proroków był William Vogt, autor wydanej w 1948 r. książki „Road to Survival" („Droga do przetrwania"). Jako pierwszy w nowoczesny sposób wyraził pogląd o ograniczeniach planetarnych.

Był ekologiem i ornitologiem. W latach 30. władze Peru zatrudniły go do monitorowania i zwiększenia liczby ptaków, które zapewniały... kupy niezbędne dla rozwijającego się wówczas w tym kraju przemysłu nawozowego. W trakcie badań Vogt doszedł do wniosku, że liczbę ptaków (a więc i ilość guano) ograniczają prądy morskie. Jak? Wpływają na dostępność ryb, którymi się żywią. Nie można więc zwiększyć produkcji ptasich kup, bo nie można zwiększyć liczby ptaków. A tego nie da się zrobić, bo nie da się zwiększyć dostępności ryb, gdyż ta jest uzależniona od prądów, nad którymi ludzie nie mają władzy.
Kilka dekad później dzięki upowszechnieniu się metody Habera i Boscha umożliwiającej wytwarzanie na przemysłową skalę związków azotu w oparciu o zawartość tego pierwiastka w powietrzu ludzkość wdrożyła masową produkcję nawozów azotowych. I okazało się, że ograniczenia związane z prądami oceanicznymi przestały mieć jakiekolwiek znaczenie.

I tu wkraczają czarodzieje. Ich uosobieniem był Norman Borlaug – twórca zielonej rewolucji, który wyhodował zboża wyjątkowo odporne na warunki zewnętrzne. W wyniku prowadzonych przez niego w latach 60. prac zwielokrotniono wydajność produkcji rolnej, co pozwoliło na skokowe zwiększenie dostępności żywności na świecie, głównie w krajach niezamożnych. Szacuje się, że Borlaug mógł się przyczynić do uratowania przed śmiercią głodową nawet 600 mln osób.

To m.in. Borlaug zapobiegł np. pewnej apokalipsie przepowiadanej przez proroków. W 1968 r., kilka lat po rozpoczęciu przez agronoma prac nad stworzeniem wydajniejszych odmian zbóż, zostaje wydana niezwykle poczytna książka – „The Population Bomb". Paul i Anne Ehrlichowie wieścili, że w latach 70. ludzkość czeka klęska głodu wynikająca z niekontrolowanego wzrostu populacji. Ludzie mieli umierać milionami. Nie tylko w najbiedniejszych krajach Afryki i Azji, również w USA i Wielkiej Brytanii. Matematyka wydawała się nieubłagana – przy ograniczonej podaży żywności i stałym bardzo szybkim wzroście populacji (dzietność w latach 60. była naprawdę rekordowo wysoka) wkrótce miało zabraknąć zasobów.

Jedynym sposobem, aby uniknąć zapaści – twierdzili Ehrlichowie – było celowe ograniczenie populacji. Autorzy nie wiedzieli jednak, że prace Borlauga zrewolucjonizują dostęp do żywności do tego stopnia, że dzisiaj na świecie żyje więcej osób z otyłością niż niedożywionych. Nie wiedzieli też, że wraz z rozwojem społeczeństw następuje spadek dzietności i w wielu krajach to nie nadmierny przyrost ludności stanowi wyzwanie, lecz jej brak.

Dwa do zera dla czarodziejów.

•

Te dwa podejścia – czarodziejów i proroków – ujmują w ramy dzisiejsze dyskursy odnoszące się do katastrofy klimatycznej. Z jednej strony stoją ci, którzy uważają, że czeka nas niemal niechybna katastrofa – jesteśmy na „Titanicu" i duża część pasażerów wciąż beztrosko tańczy, lecz niektórzy dostrzegli już górę lodową i biją na alarm. Z drugiej strony ci, którzy twierdzą, że przyszłość nie została jeszcze napisana; metafora „Titanica" sama w sobie przecież nie jest prognozą – jest jedynie (lub „aż") opowieścią.

Co tu kryć. Bardziej pociąga mnie wizja czarodziejów. W historii było więcej proroków zagłady niż katastrof, a prognozy sięgające dekady w przyszłość są obciążone bardzo dużą niepewnością. Mamy więc do czynienia nie tyle z konkurencją prawdopodobnych przyszłości, ile z konkurencją opowieści o niej.

W obecnym dyskursie nadreprezentowana jest opowieść proroków – i dobrze, lepiej przestrzegać, niż potem żałować. Niemniej możliwe jest inne wyobrażenie o tym, co nadejdzie. I ta opowieść przebija się rzadziej. Pomóżmy jej.

1 RP

eprasa.pl 72aacc3640

Na początku trochę liczb, które uzmysłowią nam skalę klimatycznego wyzwania. W 2023 roku wyemitowaliśmy do atmosfery 36,8 mld ton dwutlenku węgla. To o nieco ponad 1 proc. więcej niż w roku poprzednim. Według Global Carbon Project zawartość CO2 w atmosferze w 2023 r. wyniosła średnio 420 cząsteczek na milion (PPM – parts per milion), co jest ponad 50-proc. wzrostem w porównaniu z erą przedprzemysłową.

Podpisując porozumienie paryskie w 2015 r., niemal 195 krajów zaakceptowało długoterminowy cel, jakim jest powstrzymania globalnego ocieplenia na poziomie „dużo poniżej 2 st. C" w porównaniu z erą przedprzemysłową. Optymalnie wartość ocieplenia nie powinna przekroczyć 1,5 st. C. Badacze określili ilość CO2, którą możemy wyemitować, żeby zmieścić się w zadeklarowanych celach. Owe progi nazywane są budżetem węglowym.

Według artykułu w prestiżowym „Nature", aby zmieścić się z prawdopodobieństwem 50 proc. w celu 1,5 st., możemy – jako ludzkość – wyemitować jeszcze 250 mld ton dwutlenku węgla. To oszacowania dla stycznia 2023 r., a – jak już wiemy – w ub.r. wyemitowaliśmy około 37 mld ton tego gazu cieplarnianego. Oznacza to, że przy dzisiejszej skali emisji budżet węglowy na 1,5 st. wykorzystamy w ciągu mniej więcej pięciu-sześciu lat. Nie mamy się co łudzić – nie uda nam się osiągnąć najbardziej ambitnych założeń porozumienia paryskiego.

Nie jest jednak wykluczone, że uda nam się zmieścić w celu 2 st. To samo źródło podaje, że budżet węglowy dla osiągnięcia tego zamierzenia z prawdopodobieństwem 50 proc. wynosi 1,2 tys. mld ton CO2. Przy dzisiejszym tempie emisji limit zużylibyśmy za mniej więcej 30 lat. Mamy więc trochę czasu na przekierowanie gospodarki na nowe tory. Proces ten – o czym się za chwilę przekonamy – już się na dobre zaczął.

Teraz trochę liczb, które wymieniliby czarodzieje. Rewolucja energetyczna nie tylko się dzieje, ale również przyspiesza. Według raportu Renewables 2023 opracowanego przez Międzynarodową Agencję Energetyczną (International Energy Agency – IEA) w 2023 r. globalny roczny przyrost mocy z odnawialnych źródeł energii (OZE, energia wiatru, Słońca, pływów, geotermalna czy hydroenergetyka) wzrósł prawie o połowę (do 510 gigawatów) w porównaniu z rokiem poprzednim. Eksperci z organizacji podkreślają, że to 22. rok z rzędu, kiedy mamy do czynienia z rekordem przyrostu zielonej energii.

O tym, z jak gwałtownym procesem mamy do czynienia, mówią choćby dane z Chin. W 2023 r. Państwo Środka dodało do swoich mocy (w uproszczeniu w ten sposób mówi się o wybudowanych nowych źródłach generowania elektryczności) tyle źródeł odnawialnych, co cały świat w 2022 r.

IEA informuje również, że ilość energii elektrycznej generowanej jedynie przez fotowoltaikę wyprzedziła w zeszłym roku tę wytworzoną przez elektrownie wodne. To pokazuje, jak istotnym źródłem energii stają się odnawialne źródła. Organizacja szacuje, że w 2025 r. OZE wytworzą więcej prądu niż węgiel. W 2028 r. odnawialne źródła będą odpowiadać za 42 proc. wytwarzanej na świecie energii elektrycznej.

Może jeszcze jedno zdanie z opracowania IEA: „Świat jest na dobrej drodze, żeby w najbliższych pięciu latach zainstalować więcej mocy z OZE, niż oddano ich do dzisiaj od momentu zbudowania pierwszej komercyjnej elektrowni wykorzystującej energię odnawialną, co miało miejsce 100 lat temu".

Gwałtowność zachodzącego procesu w zeszłym roku opisał „The New York Times". Artykuł pod wiele mówiącym tytułem „The Clean Energy Future Is Arriving Faster Than You Think" („Przyszłość czystej energii nadchodzi szybciej, niż sądzisz") przytacza dane, z których wynika, że w 2023 r. w technologie związane z czystą energią – wiatrakami, panelami fotowoltaicznymi, pojazdami elektrycznymi i akumulatorami – na świecie zainwestowano 1,7 bln (tak, biliona!) dolarów. To 70-proc. wzrost względem roku poprzedzającego tekst. Dla porównania, w inwestycje w paliwa kopalne zainwestowano mniej niż bilion dolarów; 2023 był ósmym z rzędu rokiem, w którym w czystą energię inwestowano więcej niż w węglowodory.

• **Wyspy Ballestas w Peru. Guano kormoranów jest wykorzystywane w tamtejszym przemyśle nawozowym** FOT. FRANCIS BERGERON / ALAMY STOCK PHOTO

Dziennikarze zauważają, że od 2009 r. dzięki rozwojowi technologii koszt generowania elektryczności z fotowoltaiki spadł o ponad 80 proc. Jeśli chodzi o energetykę wiatrową, spadek wynosił ponad połowę. W ciągu trzech dekad koszt akumulatorów litowo-jonowych zmalał o... 97 proc.

Międzynarodowa Agencja Energetyczna w zeszłym roku prognozowała, że zużycie paliw kopalnych osiągnie szczyt w 2025 r. Dwa lata wcześniej, niż wskazywały prognozy z roku poprzedniego. Mało tego, IEA w 2023 r. skorygowała również prognozy z 2022 r. odnoszące się do liczby samochodów elektrycznych w 2030 r. Ma być ich... 20 proc. więcej, niż przewidywała zaledwie rok wcześniej. A wraz ze spadkiem emisji oddala się nam również horyzont, w którym przekroczymy ilość CO2 powodującą ocieplenie o 2 st. Im więc szybciej tniemy emisje, tym mamy więcej czasu na transformację i zmieszczenie się w celu porozumienia paryskiego.

•

Nie da się w tym momencie z dużym prawdopodobieństwem stwierdzić, czy uda nam się zmieścić w zadeklarowanych 2 st. do końca stulecia. Wszystkie prognozy są obciążone wysoką niepewnością. Dziś wydaje się, że cel jest poza naszym zasięgiem. Ale pamiętajmy, że z prostej ekstrapolacji trendów lat 60. małżeństwu Ehrlichów wychodziło, że świat zmierza do klęski głodu.

Platforma Climate Action Tracker przedstawia kilka scenariuszy ocieplenia w zależności od przyjętych założeń. Obecnie wdrożony model gospodarowania prowadzi nas do ocieplenia na poziomie 2,5-2,9 st. C w 2100 r. w porównaniu z erą przedprzemysłową. Ale optymistyczny scenariusz mówi nawet o 1,8 st. Pamiętajmy jednak, że zazwyczaj realizują się scenariusze „środkowe". Wiele zależy od tego, jak szybka będzie dekarbonizacja gospodarek. Kluczowe pytanie: czy w ogóle wystarczy nam zasobów na kontynuowanie transformacji energetycznej? Oddajmy głos prorokom.

W artykule „Modernity is incompatible with planetary limits: Developing a PLAN for the future" („Nowoczesność jest niekompatybilna z ograniczeniami planetarnymi: tworzenie PLAN-u na przyszłość"; PLAN jest akronimem organizacji Planetary Limits Academic Network) opublikowanym w 2021 r. w czasopiśmie „Energy Research & Social Science" badacze Thomas Murphy, David Murphy, Thomas Love, Melody Adkins i Benjamin McCall stawiają tezę, że model rozwoju, który nasza cywilizacja obrała wraz z nastaniem ery przemysłowej, nie jest do utrzymania.

Jest lepiej, niż myślicie

22 rok z rzędu
mamy do czynienia z rekordem przyrostu zielonej energii

97 proc
zmalał w ciągu 3 dekad koszt akumulatorów litowo-jonowych

Na wyprodukowanie
2,3 mld
aut elektrycznych wystarczą obecnie znane złoża litu

120 mln ton
mogą liczyć nowe złoża litu, odkryte na granicy Nevady i Oregonu

1,7 bln dol.
zainwestowano na świecie w 2023 r. w technologie związane z czystą energią. To 70-proc. wzrost względem roku 2022

„Nowoczesność charakteryzuje się wzrostem zużycia energii, wzrostem gospodarczym, wzrostem zużycia zasobów oraz rosnącym standardem życia – choć nierówno rozłożonym" – piszą, podkreślając, że dzisiejszy system społeczny przedkłada krótkoterminowy zysk nad „skarb, jakim są ekosystemy Ziemi". A gwałtowny wzrost poziomu życia zawdzięczamy eksploatacji paliw kopalnych, których dostępność maleje. Więc „przyszłość nie będzie wyglądać tak jak ubiegłe stulecie, ponieważ niedrogie paliwa kopalne napędzające obecną epokę nieuchronnie się wyczerpią".

Naukowcy doceniają postęp: „Dotychczasowe podejście przyniosło wiele godnych pochwały osiągnięć". Wśród nich jest to, że „miliony, jeśli nie miliardy" ludzi cieszą się lepszym życiem, niż można by było wyobrazić to sobie w odległej przeszłości. Problem w tym, że „każdy chce mieć udział w podziale tego tortu", lecz natura jest obojętna na ludzkie marzenia.

To, że czegoś chcemy, nie oznacza, że jest to możliwe do zrealizowania; przed nami ściana, której nie sforsujemy – są nią fizyczne ograniczenia naszej planety. I na poparcie swojej tezy przytaczają niezwykle sugestywny argument z historii ostatnich dwustu lat Stanów Zjednoczonych. Zużycie energii w tym okresie cechował średni roczny wzrost 2,4 proc. Odpowiadało to 10-krotnemu przyrostowi w każdym stuleciu. Jeśli przełożylibyśmy to na całą cywilizację, za 1,3 tys. lat ludzkość konsumowałaby więcej energii, niż generuje Słońce. A za 2,4 tys. lat potrzebowalibyśmy energii wszystkich gwiazd całej Drogi Mlecznej. Absurd? Absurd. I ta perspektywa stanowi siłę argumentu naukowców. Konkluzja – musimy zahamować wzrost, który winniśmy zacząć postrzegać jako „umiłowanego wroga". „Kontynuowanie promocji wzrostu gospodarczego jako celu – nawet jeśli stoją za tą ideą słuszne przesłanki poprawy jakości życia w krajach rozwijających się – grozi przekroczeniem ograniczeń planetarnych, a to poskutkuje światem gorszym dla wszystkich". To esencja koncepcji „degrowth".

Ale czy na pewno na końcu drogi „growth" zawsze jest przepaść?

•

Jak wiemy, tworzenie prognoz na kilka dekad do przodu jest raczej rodzajem intelektualnej zabawy, bo trendy zawsze nas zaskoczą – pojawią się zjawiska, których dzisiaj przewidzieć się nie da. Vogt nie mógł przewidzieć upowszechnienia się metody Habera i Boscha, Ehrlichowie nie mogli przewidzieć zielonej rewolucji ani spontanicznego ograniczania dzietności. Badacze z „Energy Research & Social Science" zakładają, że przyszłość będzie radykalnie inna, bo „dobiegnie końca era tanich paliw kopalnych". Z pewnością będzie inna – ale kończąca się era tanich paliw kopalnych nie musi mieć z tym większego związku. Zaczyna się bowiem era taniej niskoemisyjnej energii. A ekstrapolacja odnosząca się do konsumpcji energii może być, cóż, pozbawiona sensu – według danych U.S. Energy Information Administration zużycie energii w Stanach Zjednoczonych rosło, ale już nie rośnie – osiągnęło plateau około roku 2007. Kolejny punkt dla czarodziejów.

Zobaczmy więc, jak przy dzisiejszej trajektorii transformacji energetycznej wyglądają zasoby niezbędne do jej przeprowadzenia. Inaczej mówiąc: czy fizycznie wystarczy nam surowców? Transformacja energetyczna opiera się na trzech filarach: będziemy musieli przez dekady dodawać gigantyczne moce pochodzące z OZE, będziemy potrzebowali ogromnej liczby akumulatorów, żeby dekarbonizować m.in. środki transportu, będziemy potrzebować jakichś źródeł energii stabilizujących system wtedy, kiedy nie wieje wiatr ani nie świeci Słońce. Dzisiaj najlepszym pretendentem do tej roli jest energetyka atomowa.

Każdy z tych filarów wymaga surowców: metali ziem rzadkich w przypadku OZE, ogromnych ilości litu, kobaltu i niklu w przypadku akumulatorów/baterii, miedzi do produkcji aut elektrycznych oraz modernizacji sieci elektroenergetycznych, a także uranu będącego paliwem w elektrowniach atomowych. Raport Polskiego Instytutu Ekonomicznego „Afrykańskie surowce krytyczne i bezpieczeństwo ekonomiczne Unii Europejskiej" mówi, że do 2040 r. zapotrzebowanie na lit wzrośnie 42-krotnie, na grafit 25-krotnie, roczne wydobycie kobaltu będzie musiało wzrosnąć ponad 20 razy, niklu niemal 20 razy, metali ziem rzadkich 7 razy, miedzi – 3 razy.

Żeby zrozumieć skalę wyzwań, przyjrzyjmy się produkcji samochodów. Samochód jest czymś, co wszyscy znamy, więc pomoże nam przełożyć abstrakcyjne wielkości złóż surowców na konkret możliwy do zwizualizowania. Zbudowanie „uśrednionego" konwencjonalnego, spalinowego auta wymaga około 22 kg miedzi i 11 kg magnezu. W przypadku samochodu elektrycznego to ponad 50 kg miedzi, 9 kg litu, 40 kg niklu, 13 kg kobaltu i około pół kilograma metali ziem rzadkich.

Na świecie jest około 1,4-1,5 mld samochodów. Tylko w 2022 r. sprzedano około 74 mln nowych aut. Wśród nich ponad 10 mln elektrycznych. Według IEA rok później, czyli w 2023, sprzedano już niemal 14 mln elektryków. W tym 8 mln tylko w Chinach. Wniosek wydaje się jak na dłoni – przy takiej ekspansji tak surowcożer-

eprasa.pl 72aacc3640

nych elektryków zasoby zaczną się wyczerpywać, nim planeta odniesie korzyści ze zmniejszonej emisji zanieczyszczeń wynikającej z redukcji spalania paliw kopalnych.

Dlaczego więc w dziesiątkach artykułów, raportów międzynarodowych organizacji i prac naukowych nie poświęca się zbyt wiele miejsca możliwości wyczerpania się zasobów? Badacze i ekspertki raczej zwracają uwagę na wąskie gardła, takie jak nienadążanie podaży materiałów krytycznych za popytem, uzależnienie gospodarek od monopolistów czy fluktuacje cen surowców.

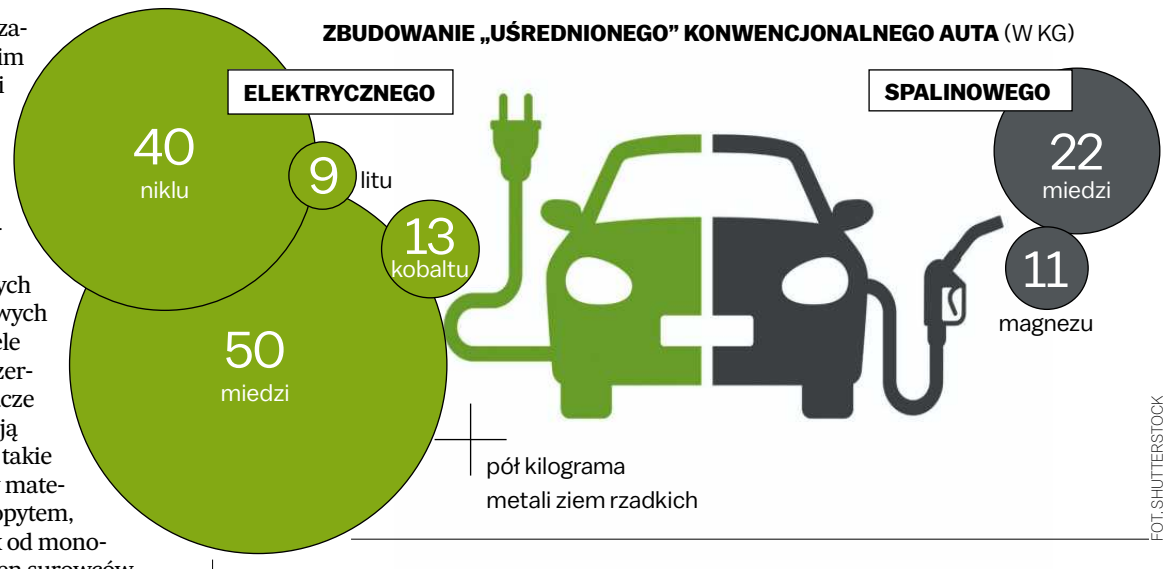

FOT. SHUTTERSTOCK

•

Nim skupimy się na kilku kluczowych materiałach, na które zapotrzebowanie wzrośnie skokowo w najbliższych dekadach – na licie, kobalcie, niklu, miedzi oraz uranie niezbędnym do produkcji energii w elektrowniach jądrowych – wyjaśnijmy kilka kwestii związanych ze złożami surowców.

Eksploatacja wielu jest nieopłacalna z uwagi na technologię, którą obecnie dysponujemy. Niektóre surowce mogą leżeć za głęboko lub ich obecność w rudach może być zbyt niska. Poza tym nie o wszystkich złożach wiemy. Im jednak będzie rosło znaczenie poszczególnych materiałów, tym więcej firmy i państwa będą inwestowały w poszukiwania. Przykład – we wrześniu ubiegłego roku ogromne złoża litu odkryto na granicy Nevady i Oregonu. Może się tam znajdować nawet około 120 mln ton tego surowca. Skoro budowa przeciętnego elektryka wymaga około 10 kg litu, nietrudno policzyć, że złoże mogłoby zaopatrzyć w akumulatory... 12 mld aut!

Trzecia sprawa związana ze złożami to wydobycie: nie wszystkie odkryte i opłacalne złoża są eksploatowane. Wiemy, że istnieją, ale wciąż nie rozpoczęto wydobycia (z przyczyn inwestycyjnych czy logistycznych).

Zostańmy przy licie. Według danych portalu Statista.com najwięcej na świecie ma go Chile – ponad 9 mln ton. Później są Australia – 6,2 mln ton – i Argentyna z 2,7 mln ton. Światowe „opłacalne" złoża szacuje się na około 23-25 mln ton, co wystarczyłoby do wyprodukowania akumulatorów do około 2,3-2,5 mld aut. A jak wygląda wydobycie? Według danych United States Geological Survey w 2022 r. było zdominowane przez trzy kraje: Australię (61 tys. ton), Chile (39 tys. ton) i Chiny (19 tys. ton). A więc roczne wydobycie, o ile surowiec byłby użyty tylko na potrzeby budowy elektryków, wystarczyłoby na kilkanaście milionów aut.

Jeśli chodzi o kobalt, to szacuje się, że jego aktualne światowe złoża wynoszą około 8,3 mln ton, z czego połowa występuje w Kongu. Jeden elektryk pochłania około 13 kg tego pierwiastka. Oznacza to, że obecnie znane zasoby wystarczą na około 650 mln aut elektrycznych.

Przejdźmy do niklu. Według Statista.com światowe odkryte rezerwy wynoszą około 100 mln ton. Jeśli do wyprodukowania auta elektrycznego potrzebujemy 40 kg tego pierwiastka, to złoża wystarczą na 250 mln pojazdów. Wydaje się więc, że w chwili obecnej to materiał najbardziej „deficytowy" ze wszystkich, o których wspomnieliśmy.

Została nam miedź. Jej globalne zasoby szacuje się na około 890 mln ton, co wystarczy do wyprodukowania 1,7-1,8 mld pojazdów. Największe pokłady miedzi mają Chile, Peru, Australia i Chiny. Jednocześnie na portalu Statista możemy znaleźć informacje, jak rosły globalne rezerwy (czy, mówiąc precyzyjniej, nasza świadomość ich istnienia) tego pierwiastka od 2010 r., kiedy szacowano je na nieco ponad 600 mln ton. Przez dekadę wzrosły więc o 30-40 proc.

Co ważne, w przypadku samych odnawialnych źródeł energii, czyli fotowoltaiki oraz wiatraków, potrzebne są głównie powszechnie występujące surowce i materiały takie jak: krzem, aluminium, szkło, stal; domieszka metali ziem rzadkich jest niewielka. Z tego gąszczu danych można wyłowić kilka wniosków.

Po pierwsze, surowców jest naprawdę dużo, bardzo dużo. Oczywiście „samochodowy benchmark" jest sporym uproszczeniem – wiele innych sektorów potrzebuje wskazanych materiałów. Wydaje się jednak, że przez kilka dekad nie będziemy mieć problemu z tym, że na przykład wykopiemy całą miedź. To oczywiście nie oznacza, że wszystko pójdzie gładko. I tu dochodzimy do kolejnego zagadnienia: surowce są nierówno rozłożone na Ziemi, co rodzi wiele problemów. Chiny, Chile, Rosja, Kongo – wiele złóż znajduje się w krajach o niskich standardach, jeśli chodzi o poszanowanie praw człowieka, praw pracowniczych i ochrony środowiska. To oznacza, że wewnętrzne i zewnętrzne podmioty mogą rywalizować o złoża w sposób – delikatnie mówiąc – niezbyt uczciwy. Najbardziej jaskrawym przykładem naruszania fundamentalnych praw człowieka są kopalnie kobaltu w Kongu, jednym z najbiedniejszych krajów świata. Portal SmogLab.pl podaje, że przy wydobyciu tego pierwiastka zatrudnionych jest 35-40 tys. dzieci kopiących biedaszyby.

Przyszłość będzie też stała pod znakiem nowych rozgrywek geopolitycznych – różne kraje będą chciały zachować kontrolę nad jak największą częścią łańcucha dostaw. O tym, jak kończy się zbyt duża koncentracja w rękach jednego gracza, mogliśmy się przekonać po ataku Rosji na Ukrainę, gdy okazało się, że szybkie odcięcie się od rosyjskiej ropy nie tylko podnosi ceny, ale jest trudne z powodów logistycznych. Podobnie może wyglądać choćby monopolizacja wydobycia litu przez Chiny, które mogą grać tą kartą przy realizacji swoich politycznych interesów. Jasne jest, że przyszłość transformacji energetycznej nie będzie tylko i wyłącznie świetlista. Choćby z przyczyn politycznych i geopolitycznych będzie trafiać na zakręty. Ale prawdopodobnie wystarczy nam zasobów, aby jej dokonać.

Ale są jeszcze dwie kwestie, które działają na rzecz czarodziejskiej narracji. Po pierwsze, coraz więcej zasobów będziemy recyklingować. Już za dekadę pojawią się miliony akumulatorów z wycofanych z eksploatacji aut elektrycznych. Część surowców użytych do ich produkcji będzie można wykorzystać ponownie. A więc ta część nie będzie musiała być wydobyta. O jakich wielkościach mówimy? To zależy nie tylko od technologii, ale również od regulacji sprzyjających takim praktykom.

Druga kwestia to zużycie samych materiałów w poszczególnych podzespołach – logika kosztów i zysków sprawia, że firmy od lat starają się minimalizować ilość surowców wykorzystywanych w produkcji.

•

Nie wspomnieliśmy jeszcze o atomie – a zapewne to on będzie trzecim filarem wspierającym cięcie emisji. Polski Instytut Ekonomiczny pisał, że moc zainstalowana w elektrowniach atomowych wzrośnie z 370 gigawatów w 2030 r. do 870 gigawatów w 2050 r. Przypomnijmy – kiedy nie wieje ani nie świeci Słońce, potrzebne jest stabilne źródło energii działające „w podstawie". Tę funkcję spełniają elektrownie jądrowe.

Zacznijmy od stanowiska proroka. W 2011 r. Derek Abbott, ówczesny profesor inżynierii na Uniwersytecie w Adelajdzie, zwracał uwagę na ograniczenia energetyki atomowej. Jak stwierdził w czasopiśmie naukowym „Proceedings of the IEEE", aby odpowiedzieć na zapotrzebowanie energetyczne całej cywilizacji, trzeba zbudować około 15 tys. reaktorów jądrowych; dzisiaj jest ich około 450. Jeden reaktor wymaga około 20 km kwadratowych terenu i musi być wybudowany w miejscu o określonych parametrach: w okolicy spokojnej sejsmicznie, z dostępem do dużego zbiornika wodnego, w oddaleniu od gęsto zaludnionych terenów. Badacz twierdzi, że na Ziemi nie znajdzie się po prostu tyle lokalizacji.

W 2025 r. odnawialne źródła energii wytworzą więcej prądu niż węgiel

Podnosił też kwestię odpadów radioaktywnych oraz to, że w historii energetyki atomowej do 2011 r. mieliśmy do czynienia z 11 poważnymi wypadkami. Przy 15 tys. reaktorów „poważny wypadek będzie miał miejsce gdzieś na świecie co miesiąc". Abbott pisał też o problemie samego paliwa jądrowego. Przy dzisiejszym zużyciu uranu zasobów wystarczy nam na 80 lat. Jeśli cały świat przeszedłby na energetykę jądrową, starczyłoby go na pięć lat.

Co na to narracja czarodziejska? Po pierwsze, Abbott odnosił się do „zatomizowania" całej energetyki na planecie. Tymczasem ludzkość potrzebuje jedynie niskoemisyjnego źródła energii stabilizującego system uzależniony od pogody.

Po drugie, badacz mówił o tym, że nie ma aż 15 tys. lokalizacji, w których reaktory mogłoby zostać zbudowane. Jednak wiele elektrowni ma co najmniej dwa reaktory. W USA działa 61 elektrowni atomowych, pracuje w nich 98 reaktorów. Planowana w Polsce elektrownia w Choczewie ma mieć ich trzy. Nawet więc jeśli chcielibyśmy całą energię elektryczną na świecie generować z atomu, lokalizacji potrzebowalibyśmy o wiele mniej. Dodatkowo obecnie wiele krajów i firm inwestuje w obiecujące projekty SMR, czyli „small modular reactor", małe reaktory modułowe – o mniejszej mocy, ale też mniej wymagające, jeśli chodzi o parametry lokalizacyjne. Kiedy Abbott pisał swój tekst, SMR-y były wizją odległej przyszłości. Znów więc ujawnia się problem z prognozowaniem – pewnych trendów po prostu nie da się przewidzieć.

A co z odpadami? Cóż, rzeczywiście stanowią pewien problem, choć głównie polityczny. Same w sobie wydają się bezpieczne; od lat 50., kiedy rozpoczęła się era energetyki jądrowej, nie stworzyły większego zagrożenia, duża część jest przechowywana na terenie samych elektrowni, a obok zbiorników z nimi można się przechadzać bez odzieży ochronnej.

To jeszcze kwestia paliwa jądrowego. Według raportu Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej z 2020 r. obecnie zidentyfikowane i opłacalne w wydobyciu złoża uranu wynoszą ponad 8 mln ton. Przy scenariuszu wysokiego popytu do 2040 r. roczne zapotrzebowanie na uran wynosiłoby około 100 tys. ton. Czyli rezerwy mamy co najmniej do końca stulecia. A na horyzoncie widać kolejne czarodziejskie sztuczki: możliwość recyklingu części paliwa, zwiększenie efektywności kolejnych generacji reaktorów, odnalezienie kolejnych złóż i przejście na inny pierwiastek jako paliwo.

Nawet jeśli jedynie część tych scenariuszy się spełni, to mówimy o przedłużeniu perspektywy bezpieczeństwa zasobów na kolejne dziesięciolecia. Podobnie jak w przypadku surowców krytycznych, problemem w dającej się przewidzieć przyszłości nie są same zasoby uranu, lecz polityczne implikacje tego, gdzie paliwo będzie pozyskiwane.

•

W kontekście zapotrzebowania na surowce w bardziej odległej przyszłości warto wspomnieć o niezwykle czarodziejskiej koncepcji. W artykule pod intrygującym tytułem „Mining in space could spur sustainable growth" („Górnictwo kosmiczne mogłoby wspierać zrównoważony wzrost") zamieszczonym w prestiżowym czasopiśmie „Proceedings of the National Academy of Sciences" badacze wskazują, że ludzkość obejdzie ograniczenia planetarne, po żelazo, kobalt czy nikiel wybierając się na asteroidy. To ograniczyłoby dewastację środowiska na Ziemi

oraz uchroniło od wyzysku setki tysięcy ludzi. Tylko czy jest możliwe?

Prawdopodobieństwo takiego scenariusza rośnie wraz ze spadkiem ceny wystrzeliwania ładunków w kosmos. A ta w ostatniej dekadzie spadła dwudziestokrotnie. Jednocześnie wiemy, że surowców wystarczy nam na wiele dekad. Mamy więc czas na rozwinięcie przemysłu kosmicznego. Czy tak będzie? Sami naukowcy podkreślają, że ich przewidywania są wysoce spekulatywne i cechują się dużą dozą niepewności. Ich propozycja wydaje się skrajnie czarodziejska.

Ale być może współczesność potrzebuje więcej takich wizji. Społeczeństwom Zachodu, od lat pogrążonym w strachu, przyda się nieco wiary w to, że lepsze jutro jest możliwe. I świadomość – zdaniem wielu proroków demobilizująca (bo skoro apokalipsa nie nastąpi, to po co się wysilać), zdaniem czarodziejów mobilizująca (bo skoro apokalipsa jest nieunikniona, po co się wysilać) – że scenariuszem równie, a może nawet bardziej (wszak od 70 lat więcej racji mają czarodzieje) prawdopodobnym, co zapaść, jest transformacja ku lepszemu życiu. Naszemu i miliardów ludzi, którzy czekają na dobrobyt będący naszym udziałem.

Poza miliardami ton surowców potrzebnych do zbudowania bezpieczniejszego i lepszego świata potrzebujemy jeszcze jednej ważnej rzeczy – przekonania, że taki świat da się zbudować. ●

1 RP

eprasa.pl 72aacc3640

PRZYCHODZI FACET DO LEKARZA

Mam w gabinecie płaczące żony przesadzających ze sportem facetów, którzy są szczęśliwi, ale nie mają seksu.

Z **EWĄ KEPISTY-JEZNACH,** POSIADAJĄCĄ MIĘDZYNARODOWY CERTYFIKAT LEKARZA OD ZDROWIA MĘŻCZYZN* ROZMAWIA **AGA KOZAK**

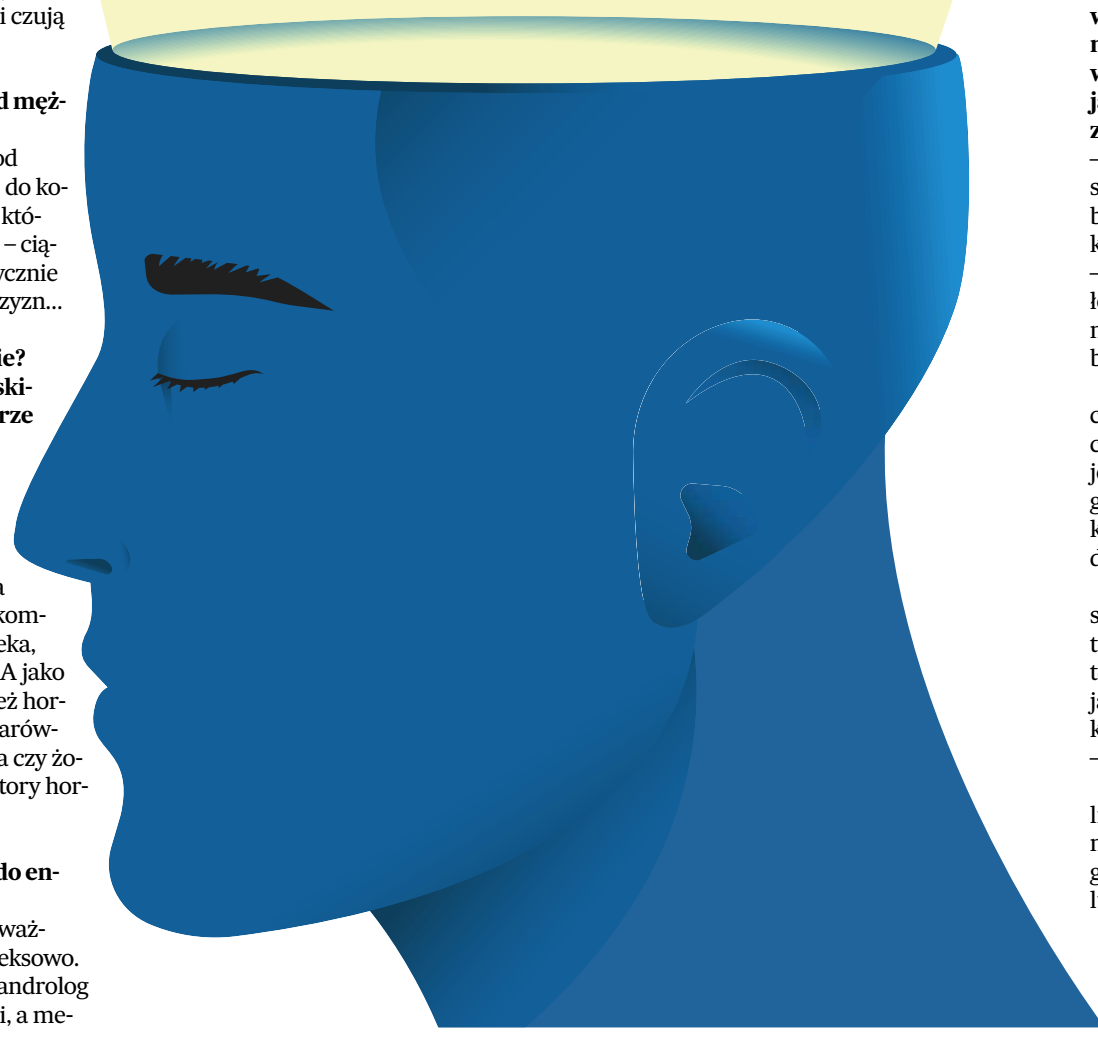

AGA KOZAK: Pani doktor, czy ta męska grypa naprawdę istnieje? Czy mężczyźni naprawdę przeżywają katar mocniej?
EWA KEPISTY-JEZNACH*: O, tak. Mężczyźni są genetycznie inaczej przysposobieni niż kobiety, jeśli chodzi o odporność – mianowicie mają jeden chromosom X, a my mamy dwa. A na chromosomie X znajdują się geny odpowiedzialne za odporność. W związku z tym my nie tylko jesteśmy bardziej odporne, ale inaczej odbieramy choroby, co się łączy też między innymi z łagodniejszym sposobem przechodzenia przeziębień.

Ale my, kobiety, też za to płacimy wyższą cenę, chorując częściej na choroby autoagresywne jak hashimoto czy reumatoidalne zapalenie stawów. Drobne choroby wirusowe, bakteryjne znosimy lepiej. Dlatego na COVID chorowało więcej mężczyzn – twierdzi się, że nawet do 70 proc. mężczyzn, a 30 proc. kobiet, i tak samo było z umieralnością. Ta męska grypa więc istnieje i nie mamy się co śmiać, gdy nasi panowie z katarem leżą w łóżku i czują się umierający.

Musiałam o to zapytać lekarkę od mężczyzn...
– A ja, jak pani widzi, choć jestem od mężczyzn, to od razu porównałam do kobiet. My, specjaliści od mężczyzn – których jest tylko około 180 w Europie – ciągle porównujemy, więc chyba faktycznie nie powinniśmy być tylko od mężczyzn...

Czym wy się właściwie zajmujecie? Nie jesteście przecież takimi męskimi ginekologami, – a to niby lekarze od kobiet...
– Ginekologów głównie obchodzą piersi, układ genitalny, ewentualnie hormony. Nie jesteśmy też andrologami i urologami. Jesteśmy – użyję tego wyświechtanego słowa – holistyczni. Medycyna męska to kompleksowa medycyna całego człowieka, a więc mózg i serce, i inne organy. A jako lekarze mężczyzn bardzo lubimy też hormony, bo na hormonach działają zarówno serce, mózg, jak i wątroba, płuca czy żołądek – wszystko ma w sobie receptory hormonów.

No ale przecież z hormonami to do endokrynologa...
– My powinniśmy być badani – nieważne: kobiety czy mężczyźni – kompleksowo. Tymczasem ginekolog, urolog czy androlog nie zajmują się sercem czy płucami, a medycyna męska się tym też zajmuje. To znaczy: widzi człowieka naprawdę całościowo. Czyli przychodzi pani do mnie z wynikami: z USG, z rezonansem magnetycznym, a ja panią – choć w moim wypadku raczej panów – interpretuję z góry na dół... W XXI wieku doszliśmy do tej wiedzy, że oczywiście ogromną rolę odgrywa genetyka, ale nasze funkcje są uzależnione od hormonów w ciele, a od neuroprzekaźników w mózgu.

Neuroprzekaźniki dyktują nasz humor, dyktują nasze zachowania: dopamina uzależnienie, serotonina szczęście. A hormony... Jak mężczyzna ma niższy testosteron, niż powinien, zaczyna mu wszystko wysiadać. Wszystko: od psychiki po fizykę, bo testosteron reguluje życie męskie, a istnieje w każdym organie.

Zanim przejdziemy do testosteronu, muszę panią zapytać, jak w ogóle przekonać mężczyznę do pani gabinetu. Badania mówią, że Polak do lekarza to opornie, na badania niechętnie, chyba że partnerka lub partner ich zaciągnie. Z badania Gedeon Richter „Zrozumieć męskość. Rzeczywistość polskiego mężczyzny" wynika, że istotnie wyższy odsetek mężczyzn posiadających partnerkę(-a) wykonuje badania profilaktyczne. Ale jak to jest – pytam o pani doświadczenia z Niemiec czy Skandynawii?
– To nie zależy od kraju. Może od rozwoju systemu medycznego, bo w Polsce jest problem z tym, żeby się po prostu dostać do lekarza. Ale przyciągnąć do nas mężczyznę – niezależnie od kraju, kultury – zawsze było trudno, bo oni się jednak uważają za silną płeć, bez „słabości" takich jak chociażby choroba.

Pójście do lekarza jest dla mężczyzny czymś niepotrzebnym. Z mojego doświadczenia wynika, że dla nich najważniejsza jest praca, potem rodzina, potem długo, długo nic. Czasem jak pomyślą o sobie, to albo kupią sobie auto lub inne gadżety, ale – rzadziej – pójdą do lekarza.

Na szczęście to się zmienia, ludzie młodsi coraz częściej chodzą do lekarza. Może łatwiej im, bo są aplikacje umawiające ich na termin? Ale facetów 40+ albo doprowadzają kobiety – matki, konkubiny i przyjaciółki, koleżanki z pracy – albo – i to jest zmiana! – niekiedy wysyłają ich koledzy!

Panowie przy piwie kiedyś rozmawiali o dziewczynach i autach, dzisiaj zaczynają rozmawiać o zdrowiu. Chwalą się wyglądem, postępami w odchudzaniu. Wielu panów mówi do mnie w gabinecie, że przeczytali jakiś artykuł i dlatego przyszli. Wielka więc w tym rola popularnonaukowych publikacji i was, dziennikarzy.

FOT. GETTY IMAGES

1 RP

eprasa.pl 72aacc3640

Rozumiem, że skoro pani tak mężczyznę od stóp do głów interpretuje, to jest pani też specjalistką od psychosomatyki...
– O tak, to mój wielki konik. Napisałam na ten temat dwie książki. Otóż w XXI wieku stres przerzucamy na ciało – z greki – somę. Choroby psychosomatyczne mają przede wszystkim ludzie ambitni. Ci, którzy wytrzymują dużo, którzy chcą coś osiągnąć. Ten proces zaczyna się już w szkole, potem podczas robienia kariery w korporacjach, prowadzenia własnych biznesów.

Wszelka konkurencja związana jest ze stresem. W związku z tym ludzie ci, działając na przewlekłym hormonie stresu – kortyzolu – spinają się i jak mózg daje sobie radę z tymi wszystkimi wysokimi poprzeczkami, które sobie stawiają, to ciało stawia im granice, krzycząc: „Stop, tego jest za dużo!". Czyni to różnymi objawami w ciele, które nie znajdują potwierdzenia w badaniach organicznych.

Czyli, żebym zrozumiała: boli mnie brzuch, a w badaniach nic nie wychodzi?
– Tak. Badania nie wykazują żadnych zmian chorobowych. Możemy nawet człowieka „pokroić" magnetycznym rezonansem na drobne kawałki i niczego nie znajdziemy. A ciało krzyczy „nie" i boli.

Czy to naprawdę muszą być ludzie ambitni? A codzienne stresy, smutek?
– Negatywne bodźce w naszym życiu raczej wpływają na choroby psychiczne, na depresję, na wypalenia, na stany lękowe i paniki. Oczywiście można też cierpieć na stany depresyjne z somatyzacją: czyli stan psychiczny będzie się w tym przypadku objawiać chorobą ciała. Słyszy to pani, prawda? Teraz pani rozumie, jak bardzo jest nam potrzebne kompleksowe podejście do pacjenta.

No to wyobraźmy sobie taką sytuację: przychodzi mężczyzna do pani gabinetu i się na coś skarży.
– Taki mężczyzna najpierw przynosi ogromną teczkę badań. I już jak wchodzi i widzę tę teczkę, to ja wiem, z kim mam do czynienia. To nie są hipochondrycy, bo hipochondria to ucieczka w choroby.

Ci pacjenci nie chcą być chorzy, mają jednak dolegliwości, których sobie logicznie nie potrafią wytłumaczyć. Myślą, że może się lekarz pomylił, może nie doczytał, a tymczasem lekarz wszystko widzi, ale powodu takiej choroby nie ma innej niż stres.

Jakie mężczyźni zgłaszają dolegliwości?
– Związane z szumami czy przytykaniami w uszach, zawrotami głowy – jest to związane z napięciem mięśni przykręgosłupowych. Drętwienia rąk, zaburzenia równowagi.

Niektórzy w sytuacjach stresowych kaszlą albo mają chrypkę, bo z nerwów zwężają krtań – nazywamy to fachowo gałką nerwową. Oddychają szybciej i powierzchownie, czyli mają hiperwentylację.

Niektórzy skarżą się na ustawiczne bóle żołądka. Często jest to związane ze złą pracą narządów związanych z woreczkiem żółciowym, dyskinezą dróg żółciowych: drogi żółciowe nie pracują prawidłowo na skutek stresu.

Pojawia się nadkwasota, mimo że nie diagnozujemy chociażby heliobaktera. A tak częste chodzenie do toalety podczas stresu, czyli zespół nadpobudliwego pęcherza, który ja nazywam „płaczem przez pęcherz"? Tych objawów jest cała barwna paleta.

Znałam ten problem z pęcherzem jako przypadłość kobiet...
– ...teraz coraz częściej widzę to u mężczyzn. Mają problemy z jelitami, np. zespół drażliwego jelita. Różne swędzenia skóry i pokrzywki, które same przychodzą i same znikają. Faceci myślą najpierw, że to alergiczne, a tu się okazuje, że to się pojawia w sytuacjach stresowych.

Mają bardzo dużo symptomów, które mają swoje odpowiedniki w chorobach organicznych – bo żołądek może boleć, jak się ma chorobę, ale u nich boli ze stresu. Musimy jednak zbadać tego człowieka organicznie, choć powiem pani, że jak ktoś mi opowiada o tak dużej ilości objawów... to ja wiem, że takiej choroby nie ma i już podejrzewam stres, ale zbadać muszę, ażeby wykluczyć choroby organiczne.

Oczywiście mogą to być też rzeczy związane ze środowiskiem, otaczającą nas chemią, zmianami klimatycznymi, które są często przyczyną nietolerancji czy alergii pokarmowych i nie tylko. A jak np. zaangażowane jest jelito, to może nam być smutniej, bo w jelicie, nie tylko w mózgu, według ostatnich badań mamy ogromną produkcję serotoniny, hormonu szczęścia.

No to już mamy dwa „s" – środowisko i stres.

Pani lubi te „s".
– Pierwsze „s" to negatywny stres, któremu można się postawić czterema pozytywnymi „s". To sen, sport, seks i sposób odżywiania.

A przychodzą do pani też pacjenci z owym „s" – seksem?
– Przychodzą, bo to jest bardzo ważne! Stres u mężczyzny działa na jądra. Mamy w obecnym świecie dwa rodzaje hormonów stresu. Do tej pory myśleliśmy, że na mężczyzn działał tylko kortyzol. Mówię o negatywnym stresie, bo jest też adrenalina, noradrenalina, która działa krótko – pół godziny, do godziny i jest nazywany stresem pozytywnym.

Ale my przecież stres mamy już nie tylko napadowo, lecz stale, przewlekle, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Maile, SMS-y, telefony, ciągła dyspozycja... Bo u nas mnóstwo zepsuła gonitwa za sukcesem i pieniądzem. Nadrabiamy te stracone lata przez PRL i transformację. To pokolenie, które tak walczy o pieniądze i o status – być może jest stracone.

Nadzieja jest w młodych, w zetkach, które korzystają z życia – no i oczywiście częściowo z pieniędzy rodziców. A ci, którzy się dorabiali... kiedy oni mieli mieć czas dla przyjaciela, z którym pogadają, rozładują stres, może coś razem zrobią?

U nas tylko rywalizacja i praca. I rodzina, która w pewien sposób jest źródłem stresu drugiego, bo u mężczyzn nagle pojawił się stres emocjonalny. Kiedyś mężczyzna szedł do pracy, potem wypił alkohol i szedł do łóżka. A teraz mamy panów bardziej wygładzonych, zaangażowanych np. w partnerstwo, wychowanie dzieci.

Albo mężczyźni np. postrzegają swoje firmy jak dzieci – są z nimi związani emocjonalnie. Ten nowy rodzaj stresu z tym związany to prolaktyna, hormon karmienia piersią. A prolaktyna to tak samo jak kortyzol wielki wróg testosteronu.

A te jądra...
– To wszystko czują, zaczynają reagować na stres i produkować mniej testosteronu. Muszę zresztą pani powiedzieć, że drugim problemem, jeśli chodzi o jądra i produkcję testosteronu, jest moda na obcisłe dżinsy, obcisłe majteczki, no i rowery. Nie daj Boże po rowerze w lycrze mężczyzna sobie pójdzie do sauny – jądra nie lubią nie tylko ucisku, ale i gorąca! One w ogóle są dość trudne, bo są poza ciałem. Wie pani, my to wszystko mamy pochowane, a u mężczyzn na wierzchu... My kochamy więc ciepło, oni powinni zimno. No a zimno niewygodne...

Jak oni mają rozładować ten stres: na rowerze nie pojeżdżą, do sauny nie pójdą...
– Kobiety stres często – estrogenowo – muszą przegadać z przyjaciółkami. Mężczyźni w reakcji na stres zamykają się w sobie. A jeszcze im mężczyzna ma wyższy testosteron, tym bardziej będzie ukrywał to, że go coś boli. No i emocje. Testosteron jest bowiem hormonem siły męskiej. Mężczyzna, który ma wysoki testosteron, jest stanowczy, decyzyjny, bardzo pewny siebie, zadowolony z życia. To jest taki typ macho. Nie pokazuje bólu. Jest twardy.

Natomiast mężczyzna, który ma niższy testosteron, już zaczyna być bardziej czuły i miękki. A jeszcze jak dojdzie do tego prolaktyna – hormon karmienia piersią, no... to może być różnie. Drażliwość, rozżalenie, ale i często łza w oku. Jak facet po pracy zmęczony, na nic nie ma ochoty, unika życia towarzyskiego – od razu musi iść na badania hormonów! Spadek sił witalnych i psychicznych to często oznaka spadku testosteronu.

No dobrze, to pogadajmy już o tym osławionym testosteronie.
– To jest absolutny król męskiego życia. On wpływa u mężczyzny na wszystko: po pierwsze, na psychikę. Facet, który ma wysoki testosteron, nie przerzuca swojego stresu na ciało, bo on ten stres odpiera, olewa. Nie ma objawów psychosomatycznych. Każdy facet, który gorzej się czuje, powinien od razu zbadać swój testosteron, bo może się okazać, że to nie depresja, tylko niedobór hormonu! To powinno być polem konsultacji i porozumienia między nami i psychiatrami, bo facet może np. brać leki antydepresyjne i mu nie pomogą, bo to testosteron!

A czy osoby z wysokim testosteronem mają wysoką agresję? Czy to mit?
– Twierdzi się, że testosteron nie jest – jak często myślimy – hormonem agresji. Jest hormonem opiekuńczym: taki mężczyzna się robi agresywny, jeżeli go zaczepimy i zdenerwujemy. Tu chodzi o funkcję, którą pełnił jeszcze tysiące lat temu – ewolucyjnie – o obronę rodziny, obronę stada. Pomyślmy o lwie. Testosteron jest jak lew. On nie używa swojej siły, gdy nie musi, bo nie musi niczego demonstrować. Agresja testosteronowa jest agresją sprowokowaną.

Pani doktor, a tacy mężczyźni koguciki? Tacy, co się lubią bić, sprowokują?
– To są mężczyźni, którzy mają najczęściej albo bardzo wysoki, albo bardzo niski poziom testosteronu. Niski poziom testosteronu objawia się – jak powiedziałyśmy – rozdrażnieniem i agresją.

Mężczyzna, który ma niski poziom testosteronu, bardzo łatwo wychodzi z siebie.

Na co jeszcze działa testosteron?
– Na fenotyp mężczyzny, czyli wygląd faceta: jego zarost, gruby głos. Proszę zwrócić uwagę, że coraz mniej facetów ma zarost na klatce piersiowej, część się zaś laseruje. A jak jeździłam podglądać przeszczepy do Turcji, to tam część mężczyzn, np. z krajów arabskich, chce mieć bujniejszy zarost na brodzie! To sprawa kultury.

Zapytam panią o taki mit, bo słyszałam przez lata, że to, iż mężczyzna łysieje, jest oznaką wysokiego testosteronu.
– Łysienie jest związane z przejściem testosteronu w 17-hydroksytestosteron. I ta ścieżka jest genetycznie uwarunkowana. Jak ktoś ma pecha, to rodzinna ścieżka jest szeroka. Dziadek był łysy, ojciec był łysy, ja też będę łysy. I to nie jest powiedziane: im więcej ma ktoś testosteronu, tym ta ścieżka jest szersza.

Tu też rolę odgrywa pocenie się. Wysoki testosteron powoduje bardziej łojotokową skórę, a tłuszcz i pot powodują zatykanie gruczołów potowych i przywłosowych, powodując niedożywienie, a zatem wypadanie włosów, trzeba je więc często myć!

No dobrze, wracamy do wyglądu.
– Testosteron powoduje, że mężczyźni mają szerokie ramiona, wąskie, twarde pośladki, sześciopak – bo testosteron jest hormonem mięśni, a nasz estrogen hormonem tłuszczu. To też pokłosie ewolucji.

Trzecią rzeczą, za którą testosteron odpowiada, jest seks. Odpowiada W 100 proc. za libido. Jeszcze 20 lat temu myśleliśmy, że za potencję odpowiada tylko stan naczyń jamistych. Dziś wiemy, że w penisie znajdują się receptory testosteronu, który również częściowo odpowiada za potencję.

Dobrze jest wiedzieć, że zaburzenia potencji o 5-7 lat wyprzedzają chorobę wieńcową serca, a nawet zawał, więc jeżeli nagle spada potencja, trzeba od razu iść do kardiologa.

Już boję się zapytać, na co jeszcze wpływa testosteron...
– To jest hormon stawów, a więc elastyczność stawów jest związana właśnie z wysokim poziomem testosteronu. Czyli bóle stawów nie są zaraz chorobą reumatyczną – trzeba sprawdzić hormony, bo może być to związane z okresem przekwitaniowym zarówno u mężczyzn, jak i u kobiet.

I wreszcie ostatni efekt, to jest większe dotlenienie w organizmie. Otóż testosteron odpowiada za produkcję czerwonych ciałek krwi w szpiku, a w czerwonych ciałkach jest hemoglobina, czyli barwnik czerwonych ciałek, który niesie tlen.

Pamięta pani tych kolarzy – przyjaciół Lance'a Armstronga i Jana Ullricha, którzy pobierali po cichu EPO? Oni to wykorzystywali: chcieli być dotlenieni w mięśniach, ale jest wiele osób, które chcą być dotlenione w mózgu. No już tak jest, że jedni używają mięśni, drudzy mózgu, ale powiem pani – najlepiej obydwu!

To jak wspierać testosteron?
– Przez sport, sen, seks i sposób odżywiania – cztery „s", które równoważą te dwa niedobre, czyli stres i środowisko. To są sposoby na niski poziom testosteronu, ale jednocześnie na choroby psychosomatyczne, bo to – jak już wiemy – jest powiązane.

Coraz mniej się ruszamy, sport mężczyźni uprawiają przed komputerem lub oglądając w telewizji albo – proszę mnie poprawić – dopaminowo nadużywają...
– Sport jest sposobem, żeby testosteron podnieść, podbić, rozruszać. I zniszczyć kortyzol i prolaktynę. Sport daje nam też jednak endorfiny. I jesteśmy szczęśliwi, ale... No właśnie, zawsze jest jakieś „ale", bo jak nadużywamy sportu, to pojawia się też kortyzol, a ten niszczy testosteron. Czyli facet jest szczęśliwy, bo ma endorfiny, tylko nic się nie dzieje u niego w łóżku.

Czyli co, maratony to jednak na seks tak sobie?
– Narobię sobie wrogów, ale triathlony też nie. Nieraz mam w gabinecie płaczące żony przesadzających ze sportem facetów, którzy z reguły są szczęśliwi, ale nie mają seksu, bo złoty środek jest nam potrzebny również w tym, co dobre... Jakbym miała dać radę, tobym powiedziała: niczego w nadmiarze.

Nie 100 km, tylko 15 na rowerku. Bieg nie 40, ale 10 km. A mężczyźni lubią też się tak dopaminowo uzależnić od sportu. Jak się nie uzależniają od papierosów, to od alkoholu. Jak nie od alkoholu, to od seksu albo od pracy. Nie mamy jeszcze antidotum na

Dobrze jest jeść pół kilograma czerwonego mięsa na tydzień, nieprzetworzonego. Tatary, carpaccio, steki

1 RP

eprasa.pl 72aacc3640

dopaminę. Ale powtórzę: sport w umiarze jest formą leczenia stresu. Tylko nie przesadzajmy, bo z uzależnienia od sportu trudno wyjść, granica, kiedy to już uzależnienie, jest dla każdego inna i trudno ją znaleźć.

Drugie „s" to sposób odżywiania?
– I znów – złoty środek. Medycyna męska mówi, że dobrze jest jeść pół kilograma czerwonego mięsa na tydzień – najlepiej w ogóle nieprzetworzonego. Tatary, carpaccio, steki. Jagnięcina, wołowina, dziczyzna.

Jak najmniej tłuszczów. Wiemy, że w mięsie są witaminy B12, A, C12, kwas foliowy i żelazo – to jest zestaw do suplementacji dla każdego wegetarianina.

Znów wypowiem kontrowersję: mężczyzna, który jest wegetarianinem albo je tylko białe mięso, zaczyna budować wrogów testosteronu, szczególnie SABG, czyli globuliny wiążącej hormony płciowe, która rośnie na potęgę i kradnie mu testosteron.

A mężczyźni żyją z testosteronu wolnego, który zostaje po skradzeniu go przez kortyzol, prolaktyna czy właśnie ta SABG. Czyli organizm sobie buduje zastępcze białko.

Ale niektóre warzywa są super...
– ...bo mają fitotestosteron: kapusty – od brukselki, po kiszoną, rzepy, rzodkiewki, kalafior, brokuł. Mężczyzna powinien najpierw jeść błonnik, potem białka – ryba, sery, jajka. I na końcu właśnie węglowodany, ale w małych ilościach. Makaron nie...

Nie wiem, co na to Włosi! A właśnie, muszę zapytać o męski brzuszek, ów osławiony „daszek na ptaszek"...
– To jest brzuszek kortyzolowy. Przychodzą do mnie pacjenci i mówią: „Pani doktor, tyle uprawiam sportu, niech pani popatrzy, jakie mam tu mięśnie, a brzuszek nadal mam!" – a tu chodzi nie o sport, ale o stres. Brzuszek oznacza, że w organizmie toczy się walka kortyzolu z testosteronem.

I na ten stres nie pomoże alkohol...
– Wiem, do czego pani pije. Wiele książek z ubiegłego wieku mówiło, że kieliszeczek wina czy koniaku albo drink to metoda wyciszenia. Są inne, lepsze. Medytacje czy słuchanie Chopina, pójście do parku czy w las, najlepiej samemu. I proszę wtedy nie gonić myślami po mailach, tylko patrzeć, jak żuczek chodzi czy inna biedronka. Alkohol jest dopaminowy, czyli uzależnieniowy.

Czyli owo jedno piwko po powrocie ze stresującej pracy, ten kieliszek czerwonego...
– Regularność jest najgorsza. Wpadamy w dopaminę, więc w uzależnienia. Codziennie jedno piwko to jest tak jak pięć w jednym dniu. Absolutnie nie! Alkohol jak najmniej, choć w medycynie męskiej mówimy, że na tydzień mężczyzna może wypić sześć kieliszków wina – chyba chodzi o to, że jak byśmy wszystkiego zabronili, to nikt do nas nie przyjdzie...

Ale jak już pijecie, to przynajmniej proszę się delektować, dobrze?

„S" jak sen.
– Między sześć a osiem godzin, w zależności od człowieka. Są ludzie, którzy potrzebują więcej snu. Są ci, którzy potrzebują mniej. Testosteron najlepiej się tworzy właśnie w ośmiu godzinach – dziewięć godzin już testosteron obniża. Siedem jest optymalnie. Sześć-osiem jest dozwolone. I pamiętajmy: jak jest jasno, to mamy wstawać, jak jest ciemno, mamy spać. I wtedy się wyrównują hormony, a to wydłuża życie, gdyż zegar biologiczny jest tutaj kluczowy.

To jeszcze mamy „s" jak seks...
– ...który nagania hormony. Seks ma trzy pozytywne strony: jest techniką wyciszenia, jest sportem i pozwala wytwarzać nam nieprawdopodobną ilość hormonów: testosteronu u mężczyzn, estrogenów i też testosteronu u kobiet, który u nich odpowiada za libido. A poza tym działa bardzo korzystnie na neuroprzekaźniki mózgu, a więc uwalnia serotoninę.

No dobrze, a to patrzenie na żuczka... Pani doktor, czy taki testosteronowy mężczyzna umie pójść na jogę albo umie w ten mindfulness?
– Niby nie, ale to się bardzo zmienia, kulturowo. Jak w 2016 pisałam o jodze w książce dla mężczyzn, to się spotkałam z drwiną, a teraz widzę mężczyzn na zajęciach jogi. Z tym że ma pani świętą rację, że im twardszy mężczyzna, im więcej ma testosteronu, tym mniej jogi według siebie potrzebuje.

Co nie jest do końca prawdą. Ale trzeba go tam raz zaciągnąć, pisać o dobrodziejstwach jogi, bo joga np. świetnie działa na stawy – a pamiętamy, że stawy to też testosteron. Albo może napiszmy, że w Silicon Valley – największym start-upie świata – faceci w ciągu dnia chodzą na jogę. Robią ćwiczenia oddechowe. Myślę, że w trakcie następnych 5 lat zapanuje moda na jogę męską.

Tymczasem mężczyźni teraz nadal...
– ...w stresie zamykają się w sobie i piją alkohol. Najgorzej. My, kobiety, mamy emocje dyktowane przez estrogen, umiemy się wypłakać przyjaciółce. Mężczyzna, tylko jak ma wyjątkowego przyjaciela, to potrafi te słabości pokazać. To z kolei rola psychoedukacji, żeby pokazywać facetom, że mogą być tacy, jacy są, że mogą pokazać słabość, sięgnąć po pomoc.

Powiedziała pani, że teraz przyjaciele zaciągają mężczyzn do lekarza. Gdyby mieli zaciągnąć na badania, to jakie?
– Z deklaracji panów w wieku 18-69 lat według najnowszego badania „Zrozumieć męskość. Rzeczywistość polskiego mężczyzny" wykonanego na zlecenie Gedeon Richter większość wykonywała przynajmniej raz w życiu podstawowe badania medyczne, takie jak morfologia – 73 proc., pomiar ciśnienia – 72 proc., badanie moczu – 61 proc. czy poziom cukru – 59 proc. Na tym się kończy. Mało.

Otóż uważam, że każdy mężczyzna powinien znać swój poziom testosteronu. My, kobiety, badamy estradiol. Gadamy o tych hormonach przy okazji peri- i menopauzy. Tymczasem mężczyźni – już nawet młodzi – zaliczają czasem spektakularne spadki hormonów.

A lekarze nie odmawiają tych skierowań?
– „A po co panu, jak pan zdrowy?". Musimy to zmienić. Mężczyźni powinni robić oczywiście też badania na inne hormony – bo też mają estrogen, prolaktynę, kortyzol, SHBG... Ale najpierw zróbmy testosteron całkowity i wolny, a potem poszukajmy, co ten testosteron nam obniża. My z tym, co na niego źle działa, naprawdę umiemy już sobie radzić.

Jak rozumiem, istnieje suplementacja testosteronu.
– Dostępne metody leczenia niedoboru testosteronu zależą od wieku i preferencji – to bardzo indywidualna rzecz. Jeżeli pacjent jest młody i nie ma dzieci, należy pamiętać, że podanie mu testosteronu zabije jego plemniki i resztki testosteronu – niestety niektórzy sami to sobie robią w niekontrolowany sposób, np. żeby wzmocnić działanie siłowni.

Najlepiej jest nie tyle korzystać z prostych rozwiązań, ile prowokować jądra do własnej produkcji testosteronu. My – lekarze – to potrafimy już dzisiaj robić: i suplementacją, i lekami. Czyli staramy się wykrzesać z jąder własny testosteron.

Jeżeli ktoś ma trójkę dzieci, lat 40+ i czuje wyraźnie, że nie zamierza się już więcej rozmnażać, to możemy zastosować hormonalną terapię zastępczą. Ona może być w różnych formach: maści, zastrzyków. Oczywiście bogata suplementacja też potrafi idealnie podwyższyć testosteron – przy regularnym braniu odpowiednich leków, odpowiednim dawkowaniu.

Są też adaptogeny, które pomagają. To rośliny, które mają podobne właściwości do leków. Ashwaganda znana od lat w Ajurwedzie zmniejsza kortyzol, przez co rośnie testosteron. Korzeń maca powoduje zwiększenie ilości nasienia. Tribullus terestis jest świetne. Ale powtórzę po raz kolejny: trzeba oczywiście zabijać wrogów testosteronu. Zmienić styl życia.

Suplementy diety?
– Tak. Witamina D3, sód, potas, magnez, B12, cynk i selen są niezwykle ważne dla mężczyzny do budowy testosteronu. Wiemy, że służą mężczyznom antyoksydanty, witamina E, wysokodawkowana witamina C, koenzym Q10. Również wiemy, że preparaty, które wpływają na stan naczyń, są oczywiście świetne na potencję, a więc B1, B6, B12, B3, B4, kwas foliowy.

Wiemy też, że przydatne są aminokwasy, z których tak zwane prekursory testosteronu to cysteina, tyrozyna czy L-arginina. Trzeba tę paletę omówić z lekarzem, dobrać to, co nam jest potrzebne. Żeby nie było – substytucja testosteronu to świetna metoda: przedłużająca życie, ale wpływająca na płodność. Trzeba więc posłuchać preferencji pacjenta.

Myślałam, że jeśli powiem pani: „porozmawiajmy o męskich dolegliwościach", to będziemy rozmawiać o chorobach serca, wieńcowych, kolonoskopii...
– A możemy, możemy, ale to tematy dość szeroko omawiane, a testosteron czy psychosomatyka jednak nie. Oczywiście, mężczyźni chorują na choroby wieńcowe, miażdżycowe, ale np. jeśli chodzi o choroby serca, to podrzucę pani taką smutną ciekawostkę: coraz częściej też występuje u nich tak zwany zespół Prinzmetala.

To jest zespół zamykania naczyń wieńcowych ze stresu. Słyszymy często: „35 lat i zmarł na zawał". Jak to? Jeszcze przecież nie zdążył mieć miażdżycy, prawda? Ale ta ilość stresu potrafi zamknąć naczynia. Nawołuję więc: zwróćmy uwagę na nasze wszystkie „s" i opiekujmy się sobą.

Co pani więc rekomenduje? Zen i naprawę motocykla? Porąb i spal?
– To bardzo fajne pomysły. Wiem, że rekomendowanie przez lekarza dawnych technik medytacji buddyjskiej jest może dziwne, ale ja je rekomenduję. Wszystkim – i tym z niedoborem testosteronu na stres, i tym z wysokim testosteronem na wyciszenie. I nam, kobietom, też. ●

Ewa Kempisty-Jeznach

• jest jedynym w Polsce lekarzem zajmującym się medycyną męską i jako jedyna posiada międzynarodowy certyfikat Lekarza od Zdrowia Mężczyzn (Männerärztin CMI). Przyjmowała pacjentów w klinikach endokrynologii w Warszawie i Katowicach. Następnie przez 32 lata prowadziła własną Klinikę Medycyny Męskiej we Frankfurcie nad Menem. Założyła w Polsce Poradnię Medycyny Zdrowia Mężczyzn Swissmed Gdańsk oraz Polskie Towarzystwo Promocji Medycyny Męskiej „Achilles". Jest współorganizatorką pierwszego Międzynarodowego Kongresu Zdrowia Mężczyzn w Szwecji. Napisała książki: „Testosteron. Klucz do męskości", „Książka tylko dla mężczyzn", „Chorzy ze stresu" i „Chorzy ze stresu 2".

OGŁOSZENIE

Kraj/34327976

PLEBISCYT Nike Czytelników

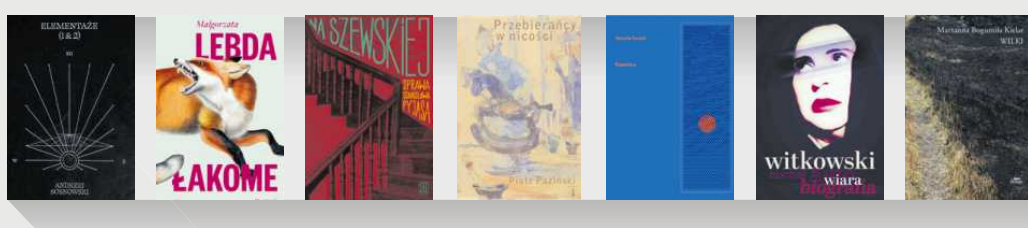

Nike
Nagroda Literacka

Zagłosuj na: wyborcza.pl/nike
Na Wasze głosy i recenzje czekamy do czwartku, 26 września
Do zdobycia voucher na wycieczkę o wartości 5 tys. zł

REKLAMA

MECENAS STRATEGICZNY:
PANATTONI

MECENAS:
ROBERT DOBRZYCKI fundacja

1 RP

eprasa.pl 72aacc3640

ADAM MICHNIK POLECA

Mariusz Knorowski*

Kodeks wizualny Szymona Szymankiewicza

Plakat musi śpiewać

W sieci został przeklęty. Przez spadkobierców „wyklętych".

Jednym z dowodów – i to bynajmniej nie błahym – niedoskonałości polskiej demokracji jest to, że potrafi wzniecać sztukę protestu. Ten nieuwzględniany zazwyczaj w politycznych kalkulacjach, kłopotliwy „produkt uboczny" początkowo może być lekceważony. Z czasem zaczyna jednak władzę uwierać, a nabrzmiewając, sprawiać jej kłopot, w końcu drażnić, bo żywiołowo się rozprzestrzenia.

Powiedzmy, że samotny artysta z jakimś skromnym, osobistym bagażem przemyśleń staje (jak Dawid wobec Goliata – toutes proportions gardées) w kontrze wobec giganta, jakim jest państwo. Nieuchronnie pojawić się musi konflikt, w jego następstwie przemoc albo żądza wymuszenia kapitulacji, niekiedy korupcja i obietnica benefitów.

Otwarte społeczeństwo potrafi jednak wyrazić swój sprzeciw wobec dyktatu na różne sposoby, stosując m.in. dywersję wizualną i różne rodzaje obstrukcji w przestrzeni publicznej.

Akty nieposłuszeństwa, wystąpienia o różnym natężeniu, w końcu odmowa uczestnictwa prawdziwych artystów w życiu kulturalnym to nie tylko kontestacja. To często jawny bunt, bojkot, wyraz niezgody na forsowany erzac, eufemistycznie określany polityką kulturalną. Te ich gesty sprzeciwu obnażają jej braki: niewiarygodność, miałkość i słabość; ujawniają zerwanie ciągłości wcześniejszych wysiłków współtworzenia dobra wspólnego i bezpardonowo wskazują wewnętrzne, często nierozwiązywalne sprzeczności.

Tak było w minionym okresie. Antagonizmy się zaogniły, a potem zgasły i wola, i chęć wzajemnej komunikacji. Odwołując się do prawideł logiki, można skonstatować: zbiory rozłączne to taki przypadek, gdy ich część wspólna jest pusta.

•

Ponieważ koło historii drgnęło i pewien etap uważamy za nieodwołalnie zamknięty, niebawem na warsztacie historyków i nauk społecznych pojawić się musi studium rzeczywistości lat minionych. W ich opisie nie może zabraknąć twórczości Szymona Szymankiewicza, artysty, który zostawił wyraźne świadectwo swojej aktywnej obecności w tym czasie marnym.

Wystarczy przywołać kilka jego emblematycznych prac, które wskazywano w debacie publicznej jako przykłady obrazoburstwa lub które były przedmiotem skandalu, jak wycofanie przez marszałka województwa śląskiego nagrody finansowej mimo werdyktu kompetentnego jury na Biennale Plakatu Polskiego w Katowicach – złotego medalu za pracę „Loading..." (2019).

Przyjmijmy, że instynktownie, wyczuwając przemoc, postanowił „wziąć sprawy w swoje ręce". Zauważył, że może do tego użyć niepozornej procy, a dzierżąc ją już w dłoni, nie zawahał się. Jak wiadomo nie tylko z Biblii, ale i z historii broni miotającej, jej skuteczność potrafi być porażająca, chociaż jest bronią biednych.

Taka analogia plakat – proca wydaje się ciekawym konceptem do przepracowania. Archaiczny wariant procy, proca neurobalistyczna, skrywa intrygujące konotacje wskazujące na związek znaczeniowy z układem nerwowym, co mogłaby rozstrzygnąć psychologia społeczna w badaniach symboliki oporu.

Gdzieś tu pobrzmiewa echo – powiedzmy: snuje się powidok – szlagwortu z utworu łódzkiego zespołu rocka alternatywnego Cool Kids of Death, chyba słuchanego przez Szymankiewicza w czasach licealnych: „Mamy butelki z benzyną i kamienie wymierzone w Ciebie!" (2002). Niby to tylko piosenka, ale zawiera jakże – i zawsze – aktualne ostrzeżenie wobec establishmentu.

•

Szymon Szymankiewicz urodził się w Łodzi w 1985 r. Pochodzi z artystycznej rodziny. Uczęszczał do Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych im. Tadeusza Makowskiego. Po maturze w 2005 r. przeniósł się do Poznania, gdzie rozpoczął studia na Wydziale Grafiki i Komunikacji Wizualnej Uniwersytetu Artystycznego im. Magdaleny Abakanowicz.

Chociaż kusiło go malarstwo, wybrał grafikę projektową, a więc dyscyplinę, która wymaga skupienia i powściągliwości zamiast nieposkromionej dezynwoltury i metafizycznych dywagacji. Dyplom uzyskał pod kierunkiem prof. Eugeniusza Skorwi-

RYS. SZYMON SZYMANKIEWICZ (5), FOT. FOT. ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Godło**
Autorem tej i pozostałych ilustracji jest Szymon Szymankiewicz.

eprasa.pl 72aacc3640

dera (ucznia Waldemara Świerzego), którego później był asystentem.

Dzisiaj jako adiunkt prowadzi II Pracownię Plakatu w macierzystej uczelni. Temat jego dysertacji doktorskiej „Czas plakatu. Obrazy już kiedyś widziane" świadczy o tym, że decyzję związania swojej przyszłości artystycznej z plakatem umocnił refleksją teoretyczną z udowodnioną tezą, że nosimy w sobie wielkie repozytorium znaków.

Jest to dziedzictwo (muzeum wyobraźni według André Malreaux), które pozwala kojarzyć dowolne obrazy w dowolnych konfiguracjach. Historia plakatu rozumiana jako uniwersum symboliczne (imaginarium) jest tego ewidentnym dowodem, bo szczodrze korzysta z wędrówek motywów, ich transformacji, sekularyzacji ikonografii religijnej, form patosu etc.

Chociaż Szymankiewicz należy do średniego pokolenia, bilans jego dokonań przedstawia się imponująco. Uczestniczył w kilkudziesięciu międzynarodowych wystawach i najważniejszych konkursach w krajach Europy, Azji i obu Ameryk. Tym samym stał się rozpoznawalną osobowością.

Za pośrednictwem jego dzieł świat dowiedział się więcej o opresyjnym systemie w Polsce, który dopuścił się nadużyć wobec zasad liberalnej demokracji, demolując powszechnie uznawane standardy. Według niektórych to donosy; według innych – sygnały, że „źle się dzieje w państwie...".

Sam wyraził to tak: „Jak mówił Marek Edelman – milczenie często poprzedza zło. Dlatego reaguję, projektuję, publikuję kolejne plakaty na Facebooku, w mediach, zgłaszam je na konkursy".

Trzeba podkreślić, że zwyczajowo środowisko grafików-projektantów – w przeważającej mierze opowiadające się za wartościami humanizmu – jest szczególnie wyczulone na wszelkie przejawy demontażu lub dewastacji systemu demokratycznego. Wielu jego przedstawicieli ma wręcz poczucie misji wobec wszelkich tego typu nieprawości i daje temu wyraz za pomocą swoich dzieł, które alarmują i zarazem mobilizują solidarność globalną, dlatego niewątpliwie należy im się miano bojowników street artu.

• **On**

Szymankiewicz: „Jak mówił Marek Edelman – milczenie często poprzedza zło. Dlatego reaguję, projektuję, publikuję kolejne plakaty na Facebooku, w mediach, zgłaszam je na konkursy"

Na antypodach znajduje się centralnie sterowana propaganda wizualna systemów totalitarnych obsługiwana przez funkcjonariuszy, która forsuje odmiennie pojętą wizję świata, koncentrującą się wokół figury przywódcy, wytwarzając ikonografię kultu demonizującą obraz obcego i wroga. Przysługuje jej pogardliwe określenie „szczujnia".

•

Fakt, że autor wielokrotnie zdobywał laury w prodemokratycznym towarzystwie, może być wyrazem swoiście pojętego braterstwa w tym gronie sygnalistów o wyczulonym i wyostrzonym zmyśle społecznym. Z naszego, polskiego, punktu widzenia można by nawet powiedzieć, że w większości intuicyjnie wcielali oni w czyn nieznane im przecież XI przykazanie, o którym mówił Marian Turski: „Nie bądź obojętnym".

To posłannictwo, nawet niewypowiedziane – pomijam kontekst miejsca i czasu tych słów – było domyślnie istotą ich służby, domeną ich aktywizmu w całej jego rozciągłości w czasie historycznym, a nawet często moralną osnową ich powinności, kiedy plakat był jedynym dostępnym medium publicznej perswazji trafiającym do mas ludowych. Zaświadcza to seria wybitnych dzieł, z których można by stworzyć antologię poruszających obrazów. Nic dziwnego, że wiele takich pomnikowych plakatów zamieszcza się w podręcznikach szkolnych. Vide: plakaty republikańskiej Hiszpanii z hasłem „No pasarán" (Dolores Ibárruri Gómez).

Wśród nich nie można pominąć prac dwóch wybitnych polskich grafików.

Pierwszy to optymistyczny i afirmatywny plakat Waldemara Świerzego (profesora PWSSP w Poznaniu) z 1973 r. „Przez świat idące wołanie – pokój" (trawestacja poematu Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego) z motywem tęczy (sic!) zawieszonej w przestworzach.

• **Historia**

Drugi to złowrogo brzmiący manifest Mieczysława Wasilewskiego (ucznia Henryka Tomaszewskiego, profesora warszawskiej ASP) „To be or/war not to be" (1975). Plakat typograficzny, o maksymalnym stopniu prostoty, zbudowany na zasadzie konsonansu fonetycznego, zawierający poruszające memento trawestujące szekspirowski dylemat. To nie tylko egzemplifikacja idei, znakowa kompresja treści, ale także demonstracja perswazyjnej funkcji plakatu, słowem: kwintesencja – wszystko doskonale zespolone i zestrojone.

Oba powstały w analogowej epoce PRL-u, ale są łatwo dostępne w erze wirtualnej. Tego typu wzorcowe obrazy tworzą wspomniane imaginarium, niekiedy do wtórnego użytku na prawach cytatu.

Jest jednak jedna istotna różnica: w ostatniej ćwierci XX wieku plakat w ramach autonomizacji tej dyscypliny (termin Mateusza Bieczyńskiego) uniezależnił się od zleceniodawcy. Stał się dziełem autorskim, swobodną wypowiedzią artystyczną, której autor był sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem. Wykorzystywał wszystkie atrybuty plakatu (wizualne i ideowe), publikując dzieło w wersji self edition, czyli wykonane nakładem własnym.

Wcześniej to klient (reklama) lub wydawca (instytucja) zatrudniali grafika do wykonania określonego zadania (zazwyczaj dyktując mu pewne wymagania), a następnie rozpowszechniali druki własnymi kanałami. Zjawisko, o którym mowa, wywodzi się z punkowej formuły „Do it yourself" (DIY), która oznaczała samowystarczalność, zarówno w sferze idei, technologii, jak i kolportażu.

•

Wypowiedzi tego typu były i są charakterystyczne dla różnych ruchów kontrkulturowych (poza oficjalnym obiegiem); mogły być wykorzystywane do różnego typu demonstracji światopoglądowych i innych form aktywizmu społecznego i politycznego. Z tych powodów niektórzy nazywają je „fałszywymi plakatami", z czym się nie zgadzam. Moim zdaniem to ich atut, bo są samorodne, bez ingerencji, a więc mogą być w pełni nonkonformistyczne. Mnożą się jak grzybnia na pożywnym gnijącym podłożu.

W środowisku poznańskim tego rodzaju twórczość określana bywa ideografią (oznaczanie rzeczy lub pojęć za pomocą odpowiadających im znaków graficznych lub symboli – termin Mirosława Adamczyka), a jej produkty są ideografami. Jest to więc arbitralna wykładnia sensu, który jest podany wprost, sugestywnie, niekiedy na zasadzie desakralizacji sacrum na rzecz profanum.

Wraz z upowszechnieniem internetu każda taka kreacja amplifikuje przestrzeń oddziaływania. Zwielokrotnieniu uległa jego moc, siła rażenia, a sieć sufluje kolejne modyfikacje.

Modus operandi ideografii ma swoją genealogię. By ograniczyć się tylko do współczesności, jego początki wiążą się z ruchami kontestacji lat 60., kiedy napięcia międzypokoleniowe przyjęły postać miejskiej partyzantki (urban guerilla). Ich motorem był szeroko rozumiany pacyfizm, ale nie tylko.

W krajach bloku wschodniego jego eksplozja nastąpiła w okresie Jesieni Ludów i była sprzężona z tendencjami emancypacyjnymi odrzucającymi hegemonię ideologiczną ZSRR. Zjawisko to jest już dobrze opisane i pokazywane było w ramach monumentalnych wystaw. Ma też swoich klasyków, by wspomnieć choćby Istvána Orosza i jego plakat „Towariszczi koniec / Adieu!" (1989) czy u nas Sławomira Witkowskiego „Liberators" (także 1989).

•

Formułę plakatu reaktywnego wymierzonego w całe zło współczesnego świata z determinacją i konsekwencją wprowadził w obieg na początku lat 90. Leszek Drzewiński (znany jako Lex Drewinski) – od

eprasa.pl 72aacc3640

1985 r. na emigracji. Absolwent PWSSP w Poznaniu, uczeń Świerzego, autor „LexIconu A-Z": 26 plansz graficznych przedstawiających w formie piktogramów współczesną kondycję człowieka w kontekście takich problemów jak: globalizacja, nacjonalizm, migracje, nietolerancja, mobbing, frustracje etc.

Jak łatwo zauważyć, katalog problemów jest w dużym stopniu styczny z obszarem wypowiedzi Szymankiewicza. Podobieństwem formalnym jest to, że obie wypowiedzi, choć doniosłe, oparte są na ascetycznej narracji. Dramaturgia opowieści Drewinskiego wywodzi się ze zuniformizowanego, kosmopolitycznego pomysłu pisma obrazkowego Ottona Neuratha, znanego jako ISOTYPE (International System of Typographic Picture Education – 1925) i demonstruje modernistyczną zasadę przekazu „less is more" [mniej to znaczy więcej]. Dyskurs Szymankiewicza sprowadza się do gry przedmiotów, ale respektuje identyczną ekonomię środków.

Wśród krajowych, dalszych antenatów Szymankiewicza należy wymienić: Piotra Młodożeńca, Marcina Władykę, Ryszarda Kajzera, Jerzego Skakuna, Maję Wolną oraz dwa kolektywy: Twożywo (Mariusz Libel i Krzysztof Sidorek) i toruńską Galerię Rusz (Joanna Górska i Rafał Góralski). Wszyscy z nich na swój sposób zmagali się z problemami polskiej transformacji, ciążącymi stereotypami, z niedającą się niekiedy zracjonalizować mentalnością.

W okolicach 2017 r. pojawiła się kolejna fala młodych kontestatorów, którzy radykalnie wyrazili swój sprzeciw – tym razem wobec opresyjnego państwa PiS-u. To takie postacie jak: Edgar Bąk, Małgorzata Byra, Wojciech Domagalski, Marianna Grzywaczewska, Magdalena Karpińska (inicjatywa Demokracja Ilustrowana), Aleksandra Jasionowska, Rafał Kapica, Łukasz „Luka" Rayski, autor plakatu „Konstytucja" (2016).

Postawili sobie dwa ambitne zadania: jak narysować nowoczesną demokrację i zdefiniować współczesny patriotyzm tak, by młode pokolenie mogło się z nimi identyfikować, uznając je za własny głos pokoleniowy. Był to kolejny etap swego rodzaju psychomachii, nieodłączny zmaganiom z polskością, teraz już rozgrywany w najwyższych rejestrach, z determinacją i desperacją.

Normą stało się udostępnianie dzieł graficznych na licencji Creative Commons Zero, czyli każdy mógł je sobie wydrukować i uzbroić się w argument wizualny w trakcie akcji protestacyjnych oraz na tzw. innych polach eksploatacji utworu.

W 2019 r. podobne cele wyznaczył sobie Szymankiewicz. Gdy odmówiono mu nagrody, ochotniczo zaciągnął się na front. To już nie była partyzantka, tylko regularna kulturowa wojna. Sumiennie i z zapalczywością wywiązywał się z tej misji, publikując swoje prace w mediach społecznościowych.

W jego przypadku produktem ubocznym była napastliwa nienawiść, która towarzyszy kolejnym jego realizacjom. W prawicowym dyskursie osiągnął status wroga publicznego. Można powiedzieć, że był wysoko pozycjonowany na listach proskrypcyjnych. Nie była to żadna polemika czy celna krytyka, ale podłe oskarżenia, inwektywy, aż po groźby karalne. W sieci został przeklęty przez spadkobierców „wyklętych". Paradoksalnie świadczyło to à rebours o jego sprawczości.

•

Jaki zatem jest graficzny idiom twórczości Szymankiewicza, tak celnie godzący w prawicową wrażliwość? Można by poprzestać na oczywistym stwierdzeniu, że „idealny" plakat to dzieło samoobjaśniające się, tak jak np. znak drogowy. Nie wymaga erudycyjnej egzegezy ani szczególnych kompetencji kulturowych. Właśnie prostota bądź przewrotność zastosowanego konceptu, pospolitość użytego języka wizualnego, klarowność formy dają mu detonującą siłę.

Najprostsza receptura Szymankiewicza to redukcja gadulstwa w warstwie treściowej i silny optyczny sygnał gwarantujące szybką lekturę. I te kryteria zdają się tu spełnione. Jest on rzecznikiem minimalizmu, rygorystycznego grafizmu, jego paleta kolorów także sprowadza się do barw podstawowych, co najwyżej rozszerzona jest o kontrast bieli i czerni.

Jest jednak jeszcze wartość dodana, która tę częstotliwość odbioru wzmacnia i daleko niesie. Nadawca tych komunikatów bowiem ma wyostrzony słuch społeczny. Chociaż jego domeną są sztuki wizualne, to jednak nadstawia ucho, bo jak mówił inny mistrz polskiego plakatu, Jan Lenica, ucho jest najważniejsze, a „plakat musi śpiewać". Oczywiście niedosłownie, chodzi raczej o rezonans emocji. W omawianym przypadku takie współbrzmienie zachodzi.

Jeżeli nadal szukamy muzycznych ekwiwalentów, to na myśl przychodzi artykulacja ekspresji znana z protest songów, z tym tylko zastrzeżeniem, że

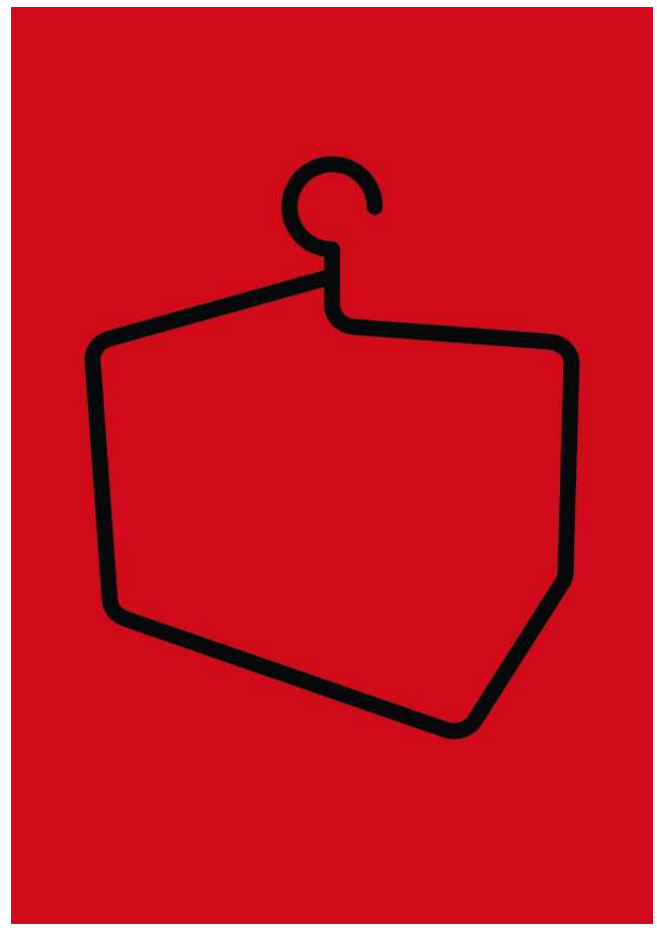

• **Piekło kobiet**

plakaty Szymankiewicza z założenia nie zawierają słów. Ich krzyk jest zakneblowany, a więc one krzyczą w nas. Ich wymowa ma mocne i kategoryczne brzmienie, stąd ich recepcja jest jak uderzenie obuchem.

Tu swoje trzy grosze dodałby również inny arcymistrz, Henryk Tomaszewski, który forsował teorię, że plakaty „robi się głową", stosując np. subwersję, czyli zawłaszczając konwencjonalny symbol z repertuaru sztuki oficjalnej i intencjonalnie odwracając jego semantykę, np. przez dekontekstualizację lub rekontekstualizację. Dowód w sprawie to wykorzystanie przez niego znaku zakazu wjazdu w plakacie do inscenizacji „Zemsty" Fredry (1970). To chyba także był przykład z elementarza, który musiał nosić w swoim tornistrze uczeń Szymon.

•

I to by były właściwie wszystkie parantele, jakie łączą go z poetyką polskiej szkoły plakatu, a w rzeczy samej z jej mitologią, bo podobieństw fizjonomicznych – jeżeli chodzi o formę – nie daje się zauważyć. Z dużą dezynwolturą wykorzystywała ona potencjał metafory i innych figur retoryki wizualnej, takich jak: metonimia, elipsa, hiperbola, by uciec od dosłowności.

Jej reprezentantów spajało silne pragnienie wolności twórczej w czasach, gdy próbowano ujarzmić ją dyktatem doktryny socrealizmu, który nie dopuszczał absolutnie żadnej dwuznaczności. A jednak znaleziono metodę, która taką substytucję umożliwiała: za sprawą aluzji, podtekstu, absurdu czy paradoksu, umiejętności czytania między wierszami etc. zachodziła interakcja z widzem, który czytał to, co ukryte, mimo wysiłków cenzury. Na tym opierają się zasady kryptografii.

Środowisko grafików-projektantów w przeważającej mierze opowiada się za wartościami humanizmu. Jest szczególnie wyczulone na wszelkie przejawy demontażu lub dewastacji systemu demokratycznego

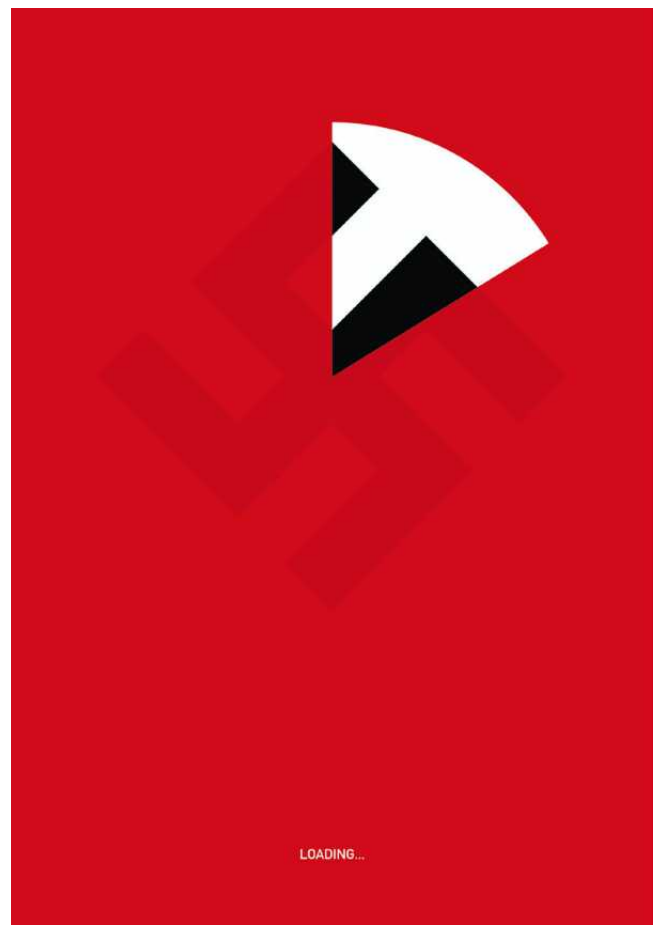

• **Loading...**

Takie wykorzystanie obustronnie dostępnego kodu potwierdza tezę, że plakat jest obrazem pomyślanym, a skoro jego przesłanie daje się zaszyfrować, to możliwa jest także deskrypcja intencji autora, trzeba tylko mieć narzędzia (znajomość reguł), inteligencję emocjonalną i oczywiście dobrą wolę.

•

Ponieważ nie sposób opisać kilkuset plakatów Szymankiewicza (na Instagramie jest ich obecnie 390), co zresztą przypominałoby groteskowe „tańczenie o architekturze", spróbuję dokonać ich typologii, grupując w tematyczne katalogi będące jednocześnie rejestrem spraw, które zajmują ich autora.

Są zatem dwie grupy tematów:

- pierwsza to sprawy dotyczące problemów współczesnego świata, jego defektów i patologii;
- druga to sprawy wewnętrzne kraju widziane w bliższej i dalszej perspektywie, ale właściwie plakaty dotyczą minionych ośmiu lat i są dedykowane „tylko dla Polaków".

Sprawy globalne to m.in.: stres, depresja, dehumanizacja, system korporacyjny, pandemia, konsumpcjonizm, handel organami, agresja rosyjska, ekspansjonizm Chin, tolerancja, rasizm, ekologia, dekarbonizacja środowiska.

Nasze podwórko to m.in.: integracja z Unią, klerykalizacja życia społecznego, czyli sojusz tronu z ołtarzem, deprawacja władzy, „faszyzm, który nadchodzi", antysemityzm, homofobia, mizoginia, wykluczanie mniejszości (LGBT), nienawiść, jednostronność mediów, protesty społeczne (Strajk Kobiet), pedofilia, aborcja, agitacja wyborcza, równouprawnienie (związki partnerskie), prawa obywatelskie, prawa zwierząt.

Dla semiotyków kultury inwencja Szymankiewicza ma cechy koherentnego systemu znaków. Moż-

eprasa.pl 72aacc3640

na je przemieszczać z jednego obszaru do drugiego, na pewno także aktualizować i modyfikować, a jeśli trzeba, podkręcić potencjometr.

●

Należy więc zapytać: jak on to robi? Jak wygląda ten jego leksykon i na ile jest kompletny? Czy ma strukturę kodeksu, który jest wykładnią niezbywalnych praw człowieka?

Autor stosuje dekonstrukcję zastanych stereotypów ikonicznych przez permutacje symboliczne, szukanie paradoksów, wymyślanie rebusów o różnej proweniencji. „Kombinuje" – jakże to polskie – tworzy zbitki hybrydowe, posługując się ekstremalną skalą odniesień. Dokonuje trawestacji heraldyki i weksylologii (nauki o chorągwiach), adaptując je do aktualnej sytuacji. Przykład: logo sieci McDonald's zostaje przekonwertowane w kotwicę Polski Walczącej, bo konsumujemy patriotyzm pospiesznie, tak jak fast food, bez delektowania się jego treścią.

Szymankiewicz z pasją „ubogaca" ikonografię patriotyczną: skrzydło husarskie zamiast z piór formowane jest z butelek, kosa ma biało-czerwony brzeszczot, flaga narodowa zamiast drzewca ma kij bejsbolowy albo pałkę policyjną, koktajle Mołotowa mają lonty z barwami polskimi lub ukraińskimi.

Osobną grupę stanowią piktogramy poddane metamorfozom ikonograficznym, trochę na zasadzie mimikry: nazwa Ordo (Iuris) naśladuje emblemat ORMO, PAD i jego rolę notariusza sygnuje logo producenta długopisów (BIC), benedyktyńska dewiza „Ora et labora" [módl się i pracuj] to hybrydowe połączenie konturów kościoła i fabryki, Iustitia to zwielokrotniony paragraf z wpisanym okiem (z czasem ich liczba rośnie), logo TVN przemienia się w wulgarny gest wyrażający „i tak zrobimy swoje".

(Wcześniej Max Skorwider [syn Eugeniusza] przemienił to samo logo w victoria sign, co potem powtórzył Andrzej Pągowski. Problem plagiatu w historii obrazów nadal pozostaje nierozstrzygnięty).

Inną kategorią są reinterpretacje godła i symboli narodowych. Skrajnym przykładem jest orzeł ukryty ze wstydu za tarczą herbową, która staje się nie tyle pusta, ile czarna (nicość). Motyw ten pojawił się swego czasu na okładce „Polityki". Był także wykorzystany jako miniaturowa odznaka do wpinania w klapę (pin).

Ostatnio Szymankiewicz implementuje barwy narodowe Ukrainy do repertuaru tożsamościowego, co ma podkreślać wspólnotę polskich i ukraińskich doświadczeń historycznych i solidarność. W tej sferze pojawiają się także cytaty z ikonicznych wizerunków powstańców warszawskich, np. pomnik Małego Powstańca Jerzego Jarnuszkiewicza z ukraińską opaską na hełmie.

Ryba (po grecku ichthys) – kryptosymbol chrześcijaństwa w czasach katakumbowych – we współczesnej redakcji ma kontur z drutu concertina albo jego obrys traci ciągłość. Titulus na krzyżu zmienia podmiot męczeństwa i zamiast INRI pojawia się LGBT. W innych wariantach krucyfiks zachowuje swój kształt, ale formują go antytetycznie zestawione tynfy (pałki policyjne). Pojawiają się także dwa pastorały w odbiciu zwierciadlanym tworzące anatomiczny rysunek macicy.

Złowróżbna koloratka wpisuje się w kształt cukierka lub punkową obrożę (pieszczocha). Esesmańskie runy gubią jeden element, a to, co zostaje, zorientowane jest horyzontalnie i tworzy literę Z, identyfikującą wojska rosyjskie. Krzyż celtycki wygląda jak celownik skierowany na mapę Polski. Nawet niewinny regionalny rogal świętomarciński zabarwia się w kolorach tęczy.

●

W pracach typograficznych dotyczących Ukrainy Szymankiewicz implementuje solidarycę, czyli charakterystyczny styl pisma autorstwa Jerzego Janiszewskiego, który stał się emblematem NSZZ „Solidarność" (1980), a zaistniał właśnie w postaci plakatu, jako aluzyjny widok protestującego tłumu z flagą narodową. A od tego przecież wszystko się zaczęło, kiedy dokonać się mogła prawdziwa rewolucja ustrojowa, i to bezkrwawa, oparta na konsensusie jakże odmiennych sił politycznych.

Portretował, niekiedy w żartobliwy i ironiczny sposób, areopag państwa PiS-u: kilkakrotnie „naczelnika państwa" – tego według Józefa Hena „najszczęśliwszego człowieka świata, który posiadł pełnię władzy" – najpierw jako profil ukryty w rękojeści noża (po zabójstwie Pawła Adamowicza), potem w trakcie anihilacji Konstytucji RP, z której pozostaje wymowne ON, jako niemalże Hioba poranionego gwiazdami z unijnej flagi, w końcu w czerwonych okularach Owsiaka z jakże dzisiaj bulwersującym tytułem pieśni Lennona „Imagine"; prezydenta Andrzeja Dudę – zdalnie sterowanego, z antenką; premiera Mateusza Morawieckiego ubrał w kostium Pinokia; prezesa Obajtka wpisał w logo popularnej gry Monopoly, ministra Czarnka pokazał w uniformie politycznego komisarza.

Są także ich antagoniści: Adam Bodnar (z napoleońskim kosmykiem w kształcie błyskawicy) i Agnieszka Holland, której okulary zawierają motyw słupa granicznego. Nie mogło zabraknąć Putina i Łukaszenki obok hierarchów Kościoła – i wiadomo, że nie jest to ich gloryfikacja.

W plakatach typograficznych odwołuje się do kalamburów rodem z PRL-u, kiedy bawiła nas gra półsłówek, czyli spuneryzm, przykładem plakat Ministerjebanany (wymierzony w nominata Ministerstwa Kultury, dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie Jerzego Miziołka, który nakazał usunąć z ekspozycji stałej pracę Natalii LL „Sztuka konsumpcyjna"). Innym razem, pisząc słowo „hejt", wskazuje jego faszystowską genezę (Heil).

Jednocześnie poza sferą polityczną Szymankiewicz projektował regularne plakaty na zlecenie różnych instytucji. Dotyczą wystaw, spektakli operowych i teatralnych oraz jazzu i popu. Cechuje je również samoograniczająca się ekspresja i stosowanie mocnych elementów plastycznych, umiejętność doboru trafnej metafory. Zdążył już wypracować rozpoznawalny styl.

●

Po drugiej stronie barykady także nie próżnowano. Prologiem ofensywy na początku XXI wieku była inwazja, z wieloma referencjami do ikonografii patriotycznej i martyrologicznej, „prawdziwych Polaków" jako jedynych depozytariuszy narodowego imaginarium. Równocześnie kompulsywnie rozprzestrzeniała się fala turbopatriotyzmu (termin Marcina Napiórkowskiego) na internetowych portalach i w okazjonalnych akcydensach, nie pomijając odzieży i tatuażu.

Zdecydowanie bardziej radykalne i wprost nacjonalistyczne odniesienia miały plakaty towarzyszące kolejnym Marszom Niepodległości (od 2011 r.). Pełno tu anachronicznych alegorii i rekwizytów, uwznioślonych przez epicki patos. Niektóre grafiki dodatkowo jeszcze inkrustowano treścią religijną (np. zaciśnięta pięść z różańcem) bądź motywami sławiącymi triumfy polskiego oręża. Ta imponująca kolekcja wciąż czeka na swojego dziejopisa, który na poważnie zajmie się „nową sztuką narodową", bo wystawa pod tym tytułem w Muzeum Sztuki Nowoczesnej (2012) była zaledwie szkicem, a aspiracje były wielkie, aż po status sztuki oficjalnej, mocno sponsorowanej przez państwowy mecenat.

Wśród autorów wspierających tego rodzaju inicjatywy najbardziej zauważalną postacią stał się Wojciech Korkuć. Piotr Bernatowicz zauważył w nim sukcesora Johna Hearfielda, klasyka politycznego fotomontażu, ale chyba trochę na wyrost, chociaż z pewnością sytuuje się on w nurcie określanym jako agitprop. Niewątpliwie ma on graficzny pazur i świetnie opanowany warsztat, ale wydaje się opętany jakąś obsesją lub monomanią narzucającą bardzo agresywną poetykę, która wytycza mu nieprzekraczalny dla niego horyzont.

Mike Urbaniak, ubolewając nad wtórnym analfabetyzmem współczesnego widza, który nie potrafi (bądź nie chce) czytać metafor i symboli, podkreślił w rozmowie z artystą, że powinnością każdego twórcy jest przeciwstawienie się literalizmowi. Odwołał się do słów Olgi Tokarczuk odczytanych na pogrzebie Marii Janion:

„Literalizm nie rozumie ani literatury, ani sztuki i jest gotowy ciągle pozywać twórców do sądu za obrazę uczuć. Literalista bowiem w swoim upośledzeniu popada w zamęt emocjonalny, nie potrafiąc umieścić tego, czego doświadcza, w jakimś szerszym, głębszym kontekście. Człowiek cierpiący na literalizm widzi wszystko wyosobnione, bez kontekstów oraz relacji i na nieszczęście swoje, i innych, traci zmysł syntezy niezbędny do przeżywania świata w pełni i wielowymiarowo. Myślę, że w świecie znaków, sensów i fantazmatów rzadko mamy do czynienia z albo-albo".

Nauczyciel Szymankiewicza, przy okazji wystawy „Ruch oporu" (2020), udzielił mu swoistego poręczenia, rękojmi etycznej, wskazując na czystość jego intencji, zwięźle uzasadniając zarazem wybraną przezeń strategię: „On nie ma klientów. Pracuje bez honorarium. Jego wynagrodzeniem jest refleksja widza. Wiem, że paliwem Szymona nie jest nienawiść. On kocha ludzi. Wiem to. Dlatego właśnie wkłada ten przysłowiowy kij w mrowisko".

Po 15 października 2023 r. można by powtórzyć za pewnym zacietrzewionym publicystą, że „sztuka jest skończona", czyli teraz szlus i fajrant. Niby działa mechanizm demokracji, wahadło wychyliło się w dobrą stronę. Żadnej odgórnej rozumianej sanacji nie da się zaszczepić. Dlatego – jak w każdym teatrum – zgrani aktorzy musieli zejść ze sceny, bo ich czas minął.

Pytanie, na ile oddalili się reżyserzy tego spektaklu władzy i ich marionetki – nie nazywałbym ich artystami – które wzięły w nim ochoczo udział i próbowały zainscenizować nam rzeczywistość na swoją miarę, według ustanowionego odgórnie scenariusza, bez procedury kolaudacji. Tego na razie nie wiemy.

To, że odchodzą – i oby w niepamięć – nie oznacza bynajmniej, że Szymon Szymankiewicz udaje się na bezrobocie albo zamknie się w wieży z kości słoniowej. Nadal jest wiele tematów do napiętnowania i ktoś musi to robić, by doskonalić naszą demokrację. Pro publico bono. ●

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Mariusz Knorowski

• ur. w 1956 r., historyk i krytyk sztuki. Pracownik Muzeum Plakatu w Wilanowie w latach 1985-97, 2014-21 – kurator, 2001-13 – dyrektor artystyczny Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku. W latach 2011-21 członek AICA, Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Sztuki. Tytuł tekstu – „Wyborcza".

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Katarzyna Kuczyńska-Koschany*

Barbarzyńcy bombardują

osierocony
owdowiały
stoi nad trupami
żony i córek

zapomniał swego imienia
szepcze ich imiona
by żyły

barbarzyńcy bombardują

secesja sypie się w śmierć
staje się sadzą

barbarzyńcy bombardują

ale moc truchleje
i skruszeją w truchła
bezimienne

miasto mojego ojca
miasto mojej babki
jest miastem Lwa

PISAŁAM PO BOMBARDOWANIU LWOWA PRZEZ ROSJAN 4 WRZEŚNIA 2024

***Katarzyna Kuczyńska-Koschany** – polonistka, eseistka, autorka wierszy i prozy poetyckiej. Zajmuje się m.in. poezją i jej interpretacją, recepcją poetów niemieckiego i francuskiego kręgu językowego w Polsce, Zagładą Żydów, europejskim i polskim esejem literackim oraz polską poezją dziecięcą. Profesor UAM w Poznaniu.

FOT. INSTYTUT FILOLOGI POLSKIEJ UAM W POZNANIU

eprasa.pl 72aacc3640

ALE HISTORIA

FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM WARSZAWY

Tędy przeszła WARSZAWA

Ludzie zapędzeni po powstaniu przez Niemców do pruszkowskiego obozu przejściowego nie mieli nic. Pewien człowiek dotarł tam w jednym bucie

Z **MAŁGORZATĄ BOJANOWSKĄ,** DYREKTORKĄ MUZEUM DULAG 121 W PRUSZKOWIE, ROZMAWIA **PIOTR GŁUCHOWSKI**

PIOTR GŁUCHOWSKI: Czy można powiedzieć, że kat powstania warszawskiego generał Erich von dem Bach-Zelewski okazał się zarazem dobrodziejem warszawskich cywilów, skoro zmienił ustny rozkaz Hitlera nakazujący całkowitą ich eksterminację na decyzję o wysiedleniu do obozu przejściowego (Durchgangslager) w Pruszkowie?

MAŁGORZATA BOJANOWSKA: Nie można tak powiedzieć ze względu na motywację von dem Bacha, która nie miała nic wspólnego z humanitaryzmem. Jako doświadczony wyższy dowódca SS i policji, mający za sobą kilkanaście akcji eksterminacyjnych na Wschodzie wiedział, że wymordowanie wszystkich warszawiaków łącznie z dziećmi będzie kosztowało mnóstwo amunicji, a wojsko niemieckie będzie się jeszcze głębiej demoralizować. Trudno było jednak walczyć z powstańcami, gdy miasto było pełne ludności cywilnej, która ich wspierała. Coś należało z tą ludnością zrobić, lecz jej wymordowanie von dem Bach uważał za nieekonomiczne.

Niemcom w sierpniu 1944 roku bardzo już brakowało siły roboczej. Alianckie naloty niszczyły tereny przemysłowe w Rzeszy, trzeba było rąk do odgruzowywania i odbudowy. Stąd pomysł, aby warszawiaków posegregować w obozie filtracyjnym: zdolnych do pracy wysłać do Niemiec; niezdolnych rozproszyć po terenie Generalnego Gubernatorstwa; podejrzewanych o udział w powstaniu lub pomoc walczącym AK-owcom wywieźć do obozów koncentracyjnych.

Może pani podać liczby?

– Przez Durchgangslager 121 w Pruszkowie przeszło w trakcie powstania i po jego upadku od 420 do 650 tysięcy osób, przy czym ja skłaniam się ku tej drugiej liczbie. Spędzano tu i zwożono nie tylko warszawiaków, lecz i mieszkańców podstołecznych miejscowości.

Na roboty Niemcy wywieźli około 150 tysięcy mężczyzn i kobiet w wieku od 16 do 60 lat, ale zdarzały się też dzieci. Po Generalnym Gubernatorstwie rozproszono jakieś 300-350 tysięcy osób, 70 tysięcy uwięziono w obozach „docelowych", głównie w Auschwitz...

Na czym polegało rozproszenie? Wywożono w pole?

– Były takie przypadki, że zostawiano ludzi gdzieś w pustce i niech sobie radzą, ale częściej wysiedlano do małych miejscowości i tam powierzano trosce Rady Głównej Opiekuńczej, która była legalnie działającą organizacją pomocową. Czasem warszawiacy trafiali pod opiekę chłopów, niektórym udało się dotrzeć do rodzin spoza Warszawy.

Pierwsze kolumny wysiedlonych ze stolicy szły do Dulagu pieszo, potem Niemcy wywozili Polaków pociągami.

– Oni nie mieli ze sobą niemal nic. Znam historię człowieka, który szedł z Warszawy do Pruszkowa w jednym bucie, bo nie zdążył znaleźć drugiego, gdy go wypędzano. W trakcie pieszych marszów mordowano tych, którzy nie byli w stanie iść, zabijano płaczące dzieci...

1 RP

eprasa.pl 72aacc3640

◀ **Mieszkańcy Warszawy opuszczają pociąg, którym przetransportowano ich na teren obozu Dulag 121 w Pruszkowie, przez który przeszło od 420 do 650 tys. ludzi**

Dulag powstał na terenie Warsztatów Kolejowych, gdzie po klęsce wrześniowej funkcjonował wpierw obóz jeniecki, a później dla Żydów z Pruszkowa.
– Około 180 Żydów pracowało tam przymusowo w papierni. Durchgangslager 121 został utworzony w tym miejscu 6 sierpnia 1944 roku, a już nazajutrz o świcie dotarły pierwsze kolumny Polaków – około 3 tysięcy osób ocalonych z rzezi na Woli.

Czy numer 121 oznacza, że w Generalnym Gubernatorstwie funkcjonowało 120 innych tego typu lagrów?
– Numeracja obejmowała całą Europę, a sam obóz 121 razem z jego pieczęciami i kancelarią przeniesiono z terenów wschodnich, z których Niemcy już się wycofywali.

Kto te setki tysięcy stłoczonych w Pruszkowie karmił? Hitlerowcy?
– To był już okres, gdy Niemcy nie radzili sobie z wieloma rzeczami, więc zapadła decyzja, że to okoliczna ludność ma wyżywić obóz. Były organizowane zbiórki, zarówno przez państwo podziemne, jak i spontanicznie. Rolnicy spod Pruszkowa przywozili brukiew, kapustę, kartofle... Czasem AK zdobywała większe porcje mięsa.

Jest relacja o tym, że komendant pruszkowskiego rejonu AK major Edward Rzewuski „Paweł" oddał więzionym w Dulagu swój zapas mobilizacyjny: 20 ton ziemniaków, 10 ton mąki, tonę cukru oraz kilkaset kilogramów boczku i słoniny.
– Zgadza się. Powstała obozowa kuchnia, gdzie pracował polski personel – głównie wolontariusze, którzy stawili się tam z własnej woli lub na wezwanie państwa podziemnego. Do Pruszkowa przybywali polscy medycy, sanitariuszki i tłumaczki dla służących w Dulagu niemieckich lekarzy-selekcjonerów. Pomagały więźniom w symulowaniu chorób zakaźnych: trzy łyżki ropy naftowej z cukrem dawały efekt jak przy tyfusie – a Niemcy bali się chorób zakaźnych.

Dlaczego warto było udawać chorego?
– Żeby nie zostać wywiezionym na roboty, a można było nawet trafić do któregoś z okolicznych szpitali – w Pruszkowie czy poza nim. I stamtąd uciec, bo był to czas, gdy niemiecka machina zbrodni już szwankowała, pojawiały się luki w systemie.

Zatrudnione w obozie polskie sanitariuszki robiły jeszcze coś: wpisywały na listy chorych dodatkowe nazwiska – w pustych przestrzeniach pomiędzy danymi tych, których zwolnienie parafowali niemieccy lekarze. Potem taka „powiększona" lista była jeszcze zatwierdzana przez gestapowców rezydujących na terenie obozu w zielonym wagonie kolejowym.

W sumie legalnie, nielegalnie i podstępem udało się wyciągnąć około 100 tysięcy ludzi.

Wśród nich byłego prezydenta RP Stanisława Wojciechowskiego, 11 profesorów Politechniki Warszawskiej, Stanisława Dygata, Wilama Horzycę, Stefana Otwinowskiego, Marię Rodziewiczównę, Jerzego Zawieyskiego, Stefana Wiecheckiego „Wiecha", Eryka Lipińskiego...
– Pewnego razu na przykład przywieziono Niemcom kilka beczek piwa, a po ich opróżnieniu wywieziono w ich wnętrzach grupę młodych mężczyzn zagrożonych wysyłką do Auschwitz. Inny patent: zakonnice przychodziły pomagać w trzech habitach każda i w obozie przebierały w te dodatkowe habity młode dziewczęta, które wychodziły z Dulagu jako siostry zakonne. Kombinowano również z przepustkami wolontariuszy, które nie miały zdjęć. Często na jedną przepustkę – przekazywaną umiejętnie z rąk do rąk – uciekało i kilkanaście osób. Zdarzały się oczywiście wpadki. Przyłapani na pomocy w ucieczce i sami niedoszli uciekinierzy jechali natychmiast do Auschwitz.

Jakie warunki panowały w Dulagu 121?
– Olbrzymie hale opróżnione w czerwcu 1944 roku z pociągów i maszyn były brudnym śmietniskiem pełnym robactwa i wszy: powybijane szyby, ściany i podłogi lepkie od smarów i sadzy, żadnych sanitariatów. A tylko w hali numer pięć koczowało na gołym betonie 11 tysięcy ludzi. Kanały rewizyjne służące wcześniej do reperowania podwozi lokomotyw stały się latrynami. Smród, brud, zaduch, brak wody zdatnej do picia – była tylko ta służąca do mycia wagonów i napełniania parowozów – powodowały, że szerzyły się biegunki, czerwonka.

Nie było nawet znanych z Auschwitz prycz?
– Rzucono na posadzki słomę, ale ona po kilku dniach już „chodziła", tyle było robactwa. Do tego przemoc i dantejskie sceny przed halą piątką, gdzie segregowano uwięzionych. We wspomnieniach ocalałych sceny rozrywania rodzin to obok głodu najstraszniejsze przeżycie.

Rządzący w obozie szef pruszkowskiego Arbeitsamtu Sturmbannführer SA August Polland lubował się w rozdzielaniu małżeństw i odbieraniu dzieci. Wedle relacji, nawet gdy ojciec i syn byli, powiedzmy, krawcami, to jednego wysyłano do Rzeszy, drugiego gdzieś do guberni. Żeby sprawić ból. Gdy Polland się upijał, a robił to notorycznie, chodził po obozie i strzelał do przypadkowych osób...

Pewnego razu przywieziono Niemcom kilka beczek piwa, a po ich opróżnieniu wywieziono w nich młodych mężczyzn zagrożonych wysyłką do Auschwitz

W monografii „Ludność cywilna w powstaniu warszawskim" jest mowa o pruszkowianach, którzy świadczyli pomoc uwięzionym.
– Okoliczne piekarnie wypiekały im chleb – oczywiście za darmo. Księża katoliccy z Pruszkowa, Nadarzyna, Komorowa i sąsiednich parafii apelowali, by przynosić do obozu cokolwiek, co może się przydać, bo ci z Warszawy najczęściej nie mieli ani łyżki, ani koca, ani kubka... Ktoś próbował wlać sobie wydawaną zupę do klosza od lampy, lecz klosz ma otwór, więc się jedynie poparzył. Pomagał także polski, szwedzki i szwajcarski Czerwony Krzyż. Europa dowiedziała się o wysiedleniu Warszawy z Radia Londyn dzięki temu, że dwie łączniczki AK z Pruszkowa przedarły się do Komendy Głównej w walczącej Warszawie, a komenda powiadomiła rząd na uchodźstwie.

Władze podziemne i zarząd legalnego pod okupacją PCK przekazały na pomoc więzionym w Dulagu około 2 milionów okupacyjnych złotych. Była to mobilizacja i organizacja ponad siły ludzi, którzy pod okupacją żyli już piąty rok i wydawało się, że sami niewiele mają. A jednak potrafili się dzielić z tymi, którym odebrano wszystko, i ofiarnie, często z narażeniem życia ich wspierać.

W pomocy wzięły udział dziesiątki tysięcy Polaków. Trzeba pamiętać, że każdego wyciągniętego z obozu trzeba było umyć, nakarmić, przenocować, wywieźć w bezpieczne miejsce, załatwić jakieś papiery, bo kenkarta z warszawskim meldunkiem oznaczała, że każdy napotkany patrol miał obowiązek odstawić człowieka z powrotem do Pruszkowa.

Wielu uciekinierów zostało w miejscowościach, które ich przygarnęły. W Warszawie domy znikły, często razem z całymi ulicami. Leżący niedaleko Pruszkowa niewielki Brwinów miał przed 1944 rokiem 2 tysiące mieszkańców, a po upadku powstania już 10 tysięcy.

Zdzisław Zaborski, autor książki „Durchgangslager 121. Niemiecka zbrodnia specjalna" pisze o działalności tak zwanych złotych sióstr albo białych hien...
– W wielkiej grupie ludzi zawsze znajdą się jednostki podłe, a wojna demoralizuje. To były kobiety, które przyjeżdżały do obozu zarobić. Żądały obrączki za kubek wody czy bochenek chleba. Ale polski personel z tym walczył. Kazimiera Dreszer, obozowa tłumaczka, piękna kobieta szanowana przez niemieckich lekarzy, zgłosiła to zjawisko w wagonie gestapo, w zamian za to jedna ze „złotych" zadenuncjowała ją jako osobę wpisującą na listy chorych ludzi, którzy są zdrowi. Wywieźli ją do Auschwitz.

Kazimierę, nie „hienę"...
– Oczywiście. Przeżyła ten drugi obóz i napisała potem książkę „Wróciłam".

Ten sam los, czyli wywózka do Auschwitz, spotkał lekarkę, która zdradziła delegatom Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, jakie warunki faktycznie panują w obozie. Było tak: 18 września 1944 do Dulagu przybyła skromna delegacja MCK, na której czele stał Szwajcar Paul Wyss. Niemcy zainscenizowali komfortowy wyjazd wysiedlonych. Na peronach czekały wagony osobowe, a nie towarowe jak zwykle, uprzątnięto niektóre hale, zawczasu usunąwszy część przetrzymywanych, wstawiono trochę łóżek, wydano więźniom lepszy posiłek... Polski personel został zmuszony, by mówić, że warunki pobytu są dobre. Ona jednak odważyła się powiedzieć prawdę...

Przeżyła Auschwitz?
– Tego nie wiemy, więc prawdopodobnie nie.

Jaki był koniec Dulagu?
– Od listopada obóz był opróżniany, hale stały w większości puste. Z ostatnich więźniów stworzono grupy opróżniające pokonaną Warszawę. Byli specjaliści od wynoszenia futer, maszyn do pisania, rowerów... Jeden z uczestników takiej grupy zeznał po wojnie, że się po cichu oddalił, a w tym czasie pozostałych 14 członków komanda zostało rozstrzelanych, by nikt się nie dowiedział, że Niemcy to złodzieje. Obóz istniał do 16 stycznia, w końcówce służąc za magazyn zrabowanych dóbr.

1 października 2010 otwarto Muzeum Dulag 121. Co można u was zobaczyć?
– Muzeum jest malutkie, budynek przypomina halę przemysłową, wewnątrz prezentujemy m.in. zdjęcia uwięzionych i trochę artefaktów. Przyszła raz do nas starsza pani, która rozpoznała na zdjęciu siebie jako czteroletnią dziewczynkę sfotografowaną w sukience uszytej z bluzki dziewczyny walczącej w powstaniu. Potem tę sukienkę nam tutaj przywiozła. Mamy też chustę, w której ktoś przyniósł do Dulagu komplet rodowych sreber. Wyrzucił go później z pociągu do Rzeszy razem z kartką, gdzie to należy odnieść. I ktoś faktycznie odniósł skarb do Warszawy, srebra są nadal w rodzinie, a chusta w naszym muzeum.

Rozmawiał Piotr Głuchowski

ZE ZBIORÓW MUZEUM WARSZAWY

FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

▲▲ Zakonnice na terenie obozu, w tle hala nr 5. Niemcy ogrodzili część hal drutem kolczastym, aby wypędzeni nie mogli swobodnie się poruszać
▲ Podczas przymusowego wysiedlania z Warszawy mieszkańcy pędzeni byli do punktów zbornych, potem zwykle na Dworzec Zachodni, skąd transportowano ich do obozu w Pruszkowie

eprasa.pl 72aacc3640

Pruszków '44

WSPOMNIENIA Z DULAGU 121

Izabela Wolfram (1903-1955)

– lekarka z Pruszkowa, członkini AK, dobrowolnie pomagała przybyłym do obozu od pierwszego dnia jego istnienia

Transporty zaczynają przyjeżdżać w niedzielę 6 sierpnia, lecz nierozładowywane jadą dalej. W poniedziałek zaczynają przychodzić piechotą i pociągami. Poniedziałek, wtorek to Wola; środa, czwartek, piątek – Ochota. Ludzie ci są bardzo zmaltretowani, bo przechodzili przez drugi obóz na Zieleniaku. Sobota, dwunastego, dalszy ciąg Filtrowej, Szucha, początkowe masy z Grójeckiej, końcowe z Alei Jerozolimskich. Transport ten bardzo duży i baraki zatłoczone. Przez niedzielę i poniedziałek obóz powoli prawie zupełnie pustoszeje. W poniedziałek, czternastego pod wieczór, niewielki transport, po części z Alei Jerozolimskich, po części z Mokotowa; stan względnie dobry, rannych nie ma. Przez cały tydzień następny na barakach względnie pusto. Był jakiś transport z Nowogrodzkiej do Marszałkowskiej, transporty mężczyzn z Pragi, przywieziono w części szpital Dzieciątka Jezus. We wtorek, 22, przyjechał duży transport ludzi z Mokotowa. Tegoż dnia, o ile się nie mylę, wprowadzono do obozu nałapanych na ulicach lub po mieszkaniach Pruszkowa ludzi z kenkartami warszawskimi lub nawet pruszkowskimi.

• **Relacja przekazana po wojnie Edwardowi Serwańskiemu (za: dulag121.pl)**

Władysław Mazurek (1907-1981)

– wiceszef delegatury Rady Głównej Opiekuńczej w Pruszkowie, główny organizator pomocy dla obozu Dulag 121

Wielokrotnie w ciągu dnia „przemycałem" zagrożonych, mniejszymi lub większymi grupkami. Podobnie zresztą postępowali inni Polacy. Pamiętam taki moment: w początkach obozu uzmysłowiłem Augustowi Pollandowi [komendant obozum Sturmbannführer-SS, odpowiednik majora] możliwość wybuchu epidemii, jeśli nie usunie chorych na czerwonkę. Udało mi się uzyskać od niego przepustkę na wyprowadzenie 300 chorych do miejscowych szpitali. Przy intensywnej pomocy polskiego personelu uwolniłem dużą liczbę kobiet, dzieci i mężczyzn (w tym chorych naprawdę – kilkunastu). Idąc z nimi ulicą, martwiłem się, co robić dalej. Widząc jednak wychodzących z domu pruszkowian, zacząłem ich wzywać, by przenocowali warszawiaków. Bardzo wielu wygnanych wkrótce znalazło nocleg i opiekę. Innym razem udało mi się przekonać Pollanda, że należy usunąć [z obozu] karmiące i ciężarne niewiasty.

• **Relacja przekazana po wojnie reportażyście „Przeglądu Tygodniowego" Edmundowi Żurkowi (za: dulag121.pl)**

Kazimiera Maria Drescher „Zula" (1914-1985)

– siostra operacyjna i tłumaczka przy komisji lekarskiej. 13 września 1944 roku za pomoc osadzonym wysłana do Auschwitz, 19 stycznia 1945 roku udało jej się uciec z transportu podczas ewakuacji obozu

Na ogół jednak odwoływanie się do ludzkich uczuć [podczas przekonywania Niemców z komisji, że kogoś należy skierować do szpitala] nie dawało efektu. Dużo lepiej służył temu żart, uśmiech i logiczne dowodzenie, że dany chory przysporzy tylko kłopotów Rzeszy. Nie bez znaczenia były także ładne buzie wielu sióstr. Toteż nasze urzędowanie musiało czasem dziwnie wyglądać. Polki uczesane, umalowane, żartujące z Niemcami, częstujące ich owocami, słodyczami, a bywało, że i wódką, tłumaczące prośby wysiedlonych jakby od niechcenia. W pierwszej chwili można było pomyśleć o nas niepięknie. Zdawałyśmy sobie z tego sprawę, ale mało nas to obchodziło. To ułatwiało nam robotę. Sztywną postawą, trzymaniem się z rezerwą mało co wskórałybyśmy. Utrzymywać Niemców w dobrych humorach – to było konieczne. W dni, kiedy humor im nie dopisywał, trudniej było wyciągać ludzi na wolność, lekarze stawali się podejrzliwi, bezwzględni. [...] Przez cały czas mej pracy w Komisji miałam przy sobie manierkę dobrej wódki i „krzepiłam" nią naszych lekarzy.

• **Kazimiera Drescher, „Działalność polskiego sanitariatu i Komisji Lekarskiej w obozie Pruszków, Exodus. Ludzie i miasto po Postaniu 1944" (za: dulag121.pl)**

Anna Danuta Sławińska (1923-2006)

– tłumaczka przy obozowej komisji lekarskiej

Nauczyłam się dwóch sposobów szwindlowania, używanych od dawna przy komisji. Oba polegają na systemie zapisu. Wprawdzie jesteśmy już mniej pilnowani przez „kuratorów" z zewnątrz, już nie sterczą nad nami jak poprzednio, ale są jednak lekarze i żandarmeria w zielonym wagonie, trzeba więc i tak się zdrowo namęczyć, żeby wyszli ci wszyscy, którzy muszą wyjść.

Pierwszy sposób ma zabezpieczać nas przed wpadką przy wciąganiu na listę – z ukrytej kartki lub dokumentu – nazwisk osób, które z jakichś względów nie mogą być w ogóle pokazane niemieckim lekarzom. Metoda polega na tym, że dane z kartki nie są wpisywane w normalnej kolejności na listę. Opuszcza się jedną linijkę i wpisuje w następnej imię i nazwisko osoby stojącej przed komisją. Potem dopiero wstawia się w pominiętą celowo rubrykę imię i nazwisko osoby nieobecnej, po czym wraca się do załatwianej właśnie osoby, spisując z jej dokumentu numer dowodu i wiek. Jeśli siedzący obok Niemiec nie patrzy, wypełnia się analogiczne rubryki o linijkę wyżej i wraca do pacjenta czekającego przed stołem, wstawiając uzgodnioną z lekarzem diagnozę. Błyskawicznie do wolnej rubryki osoby nieobecnej jako rozpoznanie wpisuje się „coś mocnego". Ten sposób zapisu umożliwia wykręcenie się z kłopotu, jeśli któryś z Niemców zwróci uwagę na niekompletne dane w poprzedniej pozycji. Można wówczas udawać, że powodem tego był pośpiech. Jeśli zastrzeżenia dotyczą tylko diagnozy, burczy się na przykład: „to tamten z gruźlicą" czy coś podobnego. Jeżeli brak konkretnych danych, powiedzmy numeru dowodu, wówczas tłumaczy się tym, że kenkarta została spalona – są różne możliwości wybrnięcia.

Drugi sposób nie nastręcza żadnych trudności w trakcie zapisywania – jest zupełnie bezpieczny. Służy do wyprowadzania w pole tych z zielonego wagonu. Ponieważ najczęściej skreślają z podpisanej przez niemieckiego lekarza listy młodych mężczyzn, poznając po końcówkach imion i nazwisk płeć delikwenta, zmienia się te końcówki. Zamiast wpisywać wyraźnie męskie, pisze się niezbyt czytelnie (pośpiech usprawiedliwia bazgranie) i daje przy nazwiskach żeńskie końcówki. Marian Laskowski staje się Marią Laskowską, która mając lat czterdzieści parę, choruje na nerki, serce, ischias i kamienie żółciowe, więc nie interesuje panów z Arbeitseinsatzu.

• **Danuta Sławińska, „Kiedy kłamstwo było cnotą", Warszawa 2015, (za: dulag121.pl)**

Eryk Lipiński (1908-1991)

– noszowy w obozie, po wojnie znany rysownik, ilustrator, karykaturzysta

Kiedy zorientowałem się w mechanizmach rządzących obozem, postanowiłem działać. Najpierw założyłem organizację podziemną, składającą się ze mnie i sierżanta Wehrmachtu, który oczywiście nawet nie podejrzewał, że do niej należy. Następnie wykradłem lekarzom niemieckim kolorowe ołówki (mieli ich spory zapas w szufladzie), którymi podpisywali listy chorych, po czym nauczyłem się podrabiać ich podpisy, co jako grafikowi nie sprawiło mi większej trudności. Dostałem jeszcze od doktora Andrzeja Garwicza spis rozmaitych chorób po łacinie i przystąpiłem do działania. [...]

Kiedy przybywał nowy transport, zjawiałem się w hali, gdzie brano mnie za lekarza i zgłaszano się z różnymi dolegliwościami. Ale ja nie zajmowałem się prawdziwymi chorymi, wiedziałem, że i tak będą zwolnieni. Szukałem tych, którym należało pomóc i nielegalnie wyciągnąć z obozu. Sporządzałem więc listy fikcyjnie chorych w ukryciu, ozdabiałem je podpisami niemieckich lekarzy, potem prosiłem jedną z koleżanek, aby zatwierdziła je w Grünewagen [niem. „zielonym wagonie"]. [...] Oczywiście korzystałem z pomocy znajomych sióstr, do których mogłem mieć zaufanie. Toteż poza Zulą Drescherową współpracowałem z Marysią Kwaśniewską-Maleszewską, naszą znakomitą oszczepniczką, z piękną, rudowłosą Hanką Chomiczową, której ojca dobrze znałem, i z wieloma innymi siostrami. [...] Dzięki tym machlojkom udało mi się wyciągnąć z obozu Tadeusza Brezę i jego żonę Zofię. Breza „chorował" na ciążę pozamaciczną. Doktor Garwicz był ginekologiem i większość podanych przez niego chorób wynikała z jego specjalności, w czym się oczywiście nie orientowałem. Marian Wyrzykowski figurował na mej liście jako Maria Wyrzykowska. Tadeusz Trepkowski miał jakoby lat 80, a Barbara – 9. Po prostu staruszek z wnuczką. Po podpisaniu listy przez gestapo Marię Wyrzykowską przerobiłem na Mariana Wyrzykowskiego. Trepkowskiego połowę osiemdziesiątki wytarłem gumką i miał lat trzydzieści, a jego żonie dopisałem dwójkę – miała teraz dwadzieścia dziewięć lat – i wszystko zgadzało się z kenkartą.

• **Eryk Lipiński, „Pamiętniki" (za: dulag121.pl)**

Uroczystości w Pruszkowie

• W najbliższą sobotę **28 września 2024 roku o godz. 12** pod pomnikiem „Tędy przeszła Warszawa" w Pruszkowie odbędą się uroczyste obchody Dnia Pamięci Więźniów Obozu Dulag 121 i Niosących Im Pomoc. Upamiętnią byłych więźniów obozu przejściowego Durchgangslager 121 i osoby, które okazały im materialne i duchowe wsparcie, **29 września o godz. 18** w kościele w Żbikowie (ul. 3 Maja 124, Pruszków) odbędzie się msza w intencji byłych więźniów i osób im pomagających, **1 października o godz. 18** w Sali w Centrum Kultury i Sportu w Pruszkowie (ul. Bohaterów Warszawy 4) koncert słowno-muzyczny utworów K.K. Baczyńskiego „Czy to serce pękło..." w wykonaniu Fundacji ART, **2 października o godz. 12** – złożenie kwiatów pod tablicą na terenie cmentarza w Tworkach (ul. Partyzantów 2/4 w Pruszkowie), **godz. 13.30** – złożenie kwiatów pod tablicą na cmentarzu Żbikowskim w Pruszkowie, **godz. 18 –** msza w intencji ludności cywilnej powstańczej Warszawy oraz więźniów obozu i osób niosących im pomoc – parafia św. Wojciecha na Woli (ul. Wolska 76, Warszawa)

eprasa.pl 72aacc3640

Antypolityka historyczna

W sprawie Karty

Ta zasłużona instytucja przyciąga ludzi, dla których badanie historii Polski jest sposobem na życie.

Janowski

Kłopoty finansowe fundacji Karta, które mogą zmusić ją do zawieszenia działalności, były już nieraz omawiane w mediach, jednak w słusznej sprawie każdy głos się liczy. Chciałbym więc powtórzyć, co już mówili inni: upadek Karty byłby dla polskiej nauki historycznej tragedią.

Do Karty wchodzi się z klatki schodowej w jednej z kamienic na ulicy Narbutta na warszawskim Mokotowie jakby do mieszkania. Duży przedpokój, wejścia do różnych pomieszczeń; schodkami w dół schodzimy do sutereny przerobionej na czytelnię.

W takich warunkach działa jedna z najważniejszych instytucji badania najnowszej historii Polski. Z jednej strony jest w tym coś niezwykle ujmującego. W Karcie nie mam tego wrażenia obcości, które towarzyszy mi w wielkich bibliotekach. Z drugiej jednak – siedząc w niewielkiej czytelni, myślałem, że jest tu bardzo miło, ale pewnie byłoby lepiej, gdyby Karta miała pomieszczenia mniej przytulne, a za to bardziej odpowiednie do przechowywania i udostępniania bezcennych materiałów źródłowych.

Bo przecież – fachowcy wiedzą o tym doskonale – tutaj się mieści ogromna część polskiej historii ostatnich 40 lat. Są tu spuścizny osób ważnych dla historii antykomunistycznej opozycji (między innymi mojego Mistrza, profesora Jerzego Jedlickiego). Jest też wielka kolekcja prasy podziemnej z lat 80., a także archiwum historii mówionej – nagrania relacji uczestników wielkich i małych wydarzeń.

Równie ważna jest działalność wydawnicza, dzięki której mamy edycje fundamentalnych źródeł do historii XX wieku. Wspomnę tylko niesamowite wspomnienia doktora Zygmunta Klukowskiego, lekarza z Zamościa, dające fascynujący i straszny obraz II wojny światowej na polskiej prowincji – to jedne z najciekawszych polskich wspomnień w ogóle. Wspomnę pięć grubych tomów dzienników Michała Römera, postaci niezwykle ciekawej, stojącej w pierwszej połowie XX wieku jakby na pograniczu polskości i litewskości. Są też edycje mniejsze, bardziej popularne, jak choćby niedawny wybór publicystyki Ksawerego Pruszyńskiego.

Karta stworzyła środowisko; przyciąga do siebie ludzi, dla których badanie najnowszej historii Polski nie jest tylko sposobem zarabiania (niewielkich) pieniędzy, ale i sposobem na życie.

Problemy Karty w pewnym stopniu są problemami wszystkich instytucji naukowych i kulturalnych. Otóż finansowanie takich instytucji w dużym stopniu bazuje dziś w Polsce na zasadzie projektowej. Można przystępować do konkursów o granty, stypendia lub inne formy finansowego wsparcia, jeśli przedstawi się konkretny projekt dotyczący badań, jakiejś inicjatywy kulturalnej, czy np. uporządkowania materiałów archiwalnych. Jednak te instytucje zajmują się działalnością ciągłą: prowadzą archiwum, jak Karta, albo wieloletnie przedsięwzięcia dokumentacyjne (w Instytucie Historii PAN, w którym pracuję, są to m.in. „Bibliografia historii Polski XIX wieku", „Słownik geograficzno-historyczny ziem polskich w średniowieczu" albo „Polski słownik biograficzny").

Tego nie da się finansować dotacjami na konkretne projekty: archiwum Karty, jej działalność wydawnicza, pozyskiwanie nowych relacji świadków historii, publikowanie kwartalnika „Karta" itp. – to są działania ciągłe, a nie konkretne projekty, które łatwo po roku czy dwóch rozliczyć. Potrzebna byłaby zmiana systemowa w finansowaniu kultury i nauki. O takiej zmianie mówi się od lat – efektów nie ma i na razie nie będzie. Trzeba ratować Kartę drogą ręcznego sterowania.

Państwo polskie zaś mogłoby wreszcie zrozumieć, że niezależnie od tego, która partia akurat rządzi, organizacje społeczne, takie jak Karta, wyręczają państwo z niektórych jego obowiązków; że ogromny dorobek i stworzenie bezcennych zbiorów jest owocem nie urzędniczych nakazów, lecz entuzjazmu ludzi, którzy w czasach Jaruzelskiego musieli się zmierzyć z represjami, a później, w czasach wolności – z obojętnością polityków i dużej części opinii publicznej. Że państwo nie musi tu nic robić, musi tylko (aż?) umożliwić Karcie istnienie.

W czasie ośmioletnich rządów PiS bardzo się bałem o los różnych niezależnych inicjatyw. Po wyborach 15 października 2023 r. odetchnąłem z ulgą, przekonany, że najgorsze minęło. Byłoby więc ogromnie smutne, gdyby upadek ich dokonał się właśnie teraz. Nie mówiąc już o tym, jak bardzo uderzyłoby to w obraz rządzącej koalicji. ●

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.

Jasne strony dziejów

Pieniądze i szacunek

U progu III RP rząd Tadeusza Mazowieckiego nie tylko dał podwyżki nauczycielom, ale także przywrócił im poczucie sensu wykonywanej pracy.

Brzeziecki

Są takie dziedziny w państwie, na które zawsze brakuje pieniędzy. Być może tylko kilka państw – kraje Skandynawii czy Szwajcaria, umiało rozwiązać problemy służby zdrowia, niedofinansowania policji czy systemu edukacji. To, że na edukację w Polsce zawsze można by wydawać więcej, jest oczywiste, ale gdy czytam wywiad Karoliny Słowik z szefem Związku Nauczycielstwa Polskiego Sławomirem Broniarzem, który pomstuje na nikłe w tym roku podwyżki dla nauczycieli, trochę mu się dziwię.

Broniarz powinien pamiętać, szefuje w końcu ZNP już ponad ćwierć wieku, że rok temu w oświacie podwyżki sięgnęły 30 proc. Przed rokiem 2023 nauczycieli w takich sytuacjach pouczano (prezydencki minister Krzysztof Szczerski), by nie żyli w celibacie i swój domowy budżet uzupełniali, biorąc 500 plus. A poseł z tej samej opcji (Marek Suski) uważał, że jego wyposażenie właściwie nie jest wiele większe od zarobków nauczycieli.

Przykłady lekceważenia nauczycieli w ostatnich latach można mnożyć. Broniarz chyba tęskni za takim traktowaniem...

Pieniądze są ważne, są kluczowe, to jasne – ale warto pamiętać, że liczą się także pozafinansowe gratyfikacje, jak warunki, atmosfera w pracy, a także poczucie, że wykonywana praca jest potrzebna. Aby to zrozumieć, trzeba być nie tylko politykiem, ale także człowiekiem o szerokich horyzontach i dobrej woli.

Terapia szokowa wprowadzana przez Leszka Balcerowicza zakładała raczej oszczędzanie – to, że w tych warunkach podniesiono nauczycielom zarobki, pokazywało, że rząd Mazowieckiego rzeczywiście przykładał wagę do uczenia dzieci

Rząd Tadeusza Mazowieckiego, którego 35. rocznicę niedawno obchodzono, zastał polskie szkoły skrajnie niedofinansowane, a zarazem nieefektywne. W mojej podstawówce przed 1989 rokiem było troje, albo nawet czworo, wicedyrektorów. Ten partyjny (chyba szef POP PZPR) niczego nie uczył, siedział za to całymi godzinami w kantorku, pił herbatę ze szklanki i polował na uczniów grających w ping ponga, by się dołączyć do gry. Grał nieźle. No i komu to przeszkadzało?

Po reformach Mazowieckiego okazało się, że nowemu, całkiem młodemu, dyrektorowi wystarczy jedna zastępczyni – chemiczka, która do tego naprawdę uczyła kilka klas tego przedmiotu.

Położono też nacisk na większą autonomię szkoły, zmniejszając przy tym wydatnie liczbę administracji oświatowej. Wszechwładza urzędników z kuratorium została ograniczona. Nauczyciele mieli większą swobodę w prowadzeniu lekcji, uruchomiono nowy system kształcenia i dokształcania pedagogów, zwłaszcza jeśli chodzi o języki obce – by przełamać monopol języka rosyjskiego.

No i oczywiście wiosną 1990 roku podniesiono nauczycielom pensje. Niewiele, ale jednak nauczyciel w 1990 roku zarabiał ponad 113 proc. tego, co wówczas zarabiano w przemyśle. A wówczas, gdy sektor prywatny dopiero się rodził, zatrudniający miliony ludzi państwowy przemysł był najważniejszym punktem odniesienia.

Terapia szokowa wprowadzana przez Leszka Balcerowicza zakładała raczej oszczędzanie – to, że w tych warunkach podniesiono nauczycielom zarobki, pokazywało, że rząd Mazowieckiego rzeczywiście przykładał wagę do uczenia dzieci. No dobrze, wprowadzano także lekcje religii – ale wtedy miały być naprawdę na pierwszej i ostatniej lekcji, zaś pensje dla księży wprowadziły dopiero kolejne rządy.

Zlikwidowano także monopol państwa na edukację, co zaowocowało sporą liczbą dobrych prywatnych szkół – choć oczywiście nie brakło także placówek będących płatnymi przechowalniami dzieci.

Wszystko to sprawiło, że w nauczycieli – jeden z najbardziej wymagających zawodów świata – wstąpiły w 1990 roku nadzieja i poczucie solidarności z państwem. Gdy trzy lata później wybuchł potężny strajk nauczycieli, nasza pani od polskiego popłakała się na lekcji. Była naprawdę rozdarta między potrzebą upominania się o swoje a lojalnością wobec państwa i powinnością nauczania.

Jeszcze przez wiele lat po odejściu rządu Tadeusza Mazowieckiego nauczyciele wspominali, że wtedy było im najlepiej. Nie tylko pod względem finansowym, ale także dlatego, że przywrócono zawodowi nauczyciela godność i poczucie sprawczości. ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz publicysta

eprasa.pl 72aacc3640

CHŁOPSKA *rewolucja*

500 lat temu niemieccy chłopi próbowali obalić feudalizm. Drogo ich to kosztowało.

Joanna Banaś

Wielki społeczny bunt nazywany wojną chłopską zaczął się w połowie 1524 roku. Trwał zaledwie rok, zginęło podczas niego 70 tys. ludzi, a południowe i środkowe Niemcy popadły w ruinę.

CASUS BELLI

Latem 1524 roku hrabina von Lupfen ze Stühlingen w Schwarzwaldzie miała zażądać, by jej chłopi w te pędy nazbierali ślimaków, bo jaśnie pani zabrakło skorup do nawijania motków włóczki. Chłopi wpadli w szał, bo chociaż zdarzało się, że musieli przynosić na zamek kontyngenty poziomek czy jagód z pańskich lasów, to nikt nie żądał od nich zbierania ślimaków, odrywając ich od pracy w polu.

23 czerwca pomaszerowali więc do hrabiowskiej rezydencji i dali upust swemu gniewowi. Hrabia Zygmunt II von Lupfen nie mógł się nadziwić, że się zbuntowali: „Nasi przodkowie spokojnie zarządzali hrabstwem Stühlingen przez 200, 300, a nawet więcej lat. Poddani posłusznie wypełniali swoje obowiązki, takie jak podatki i usługi" – pisał w sierpniu.

NIEDOLA

W połowie XIV wieku Europę zdziesiątkowała dżuma. Gdy zabrakło rąk do pracy, panowie feudalni nadali chłopom pewne przywileje. Ale gdy ludność się odrodziła, nie tylko zwiększyli poddanym finansowe obciążenia (pogłówne wzrosło nawet 20-krotnie), ale zaczęli stopniowo ograniczać ich prawa. Nazywano to „oskrobywaniem i obdzieraniem ze skóry".

Około 1500 roku chłopi stanowili ok. 80 proc. mieszkańców Świętego Cesarstwa Rzymskiego (I Rzeszy). Zaledwie 3 proc. należało do stanu szlacheckiego, reszta to mieszczanie. Ale z chłopów żyli wszyscy: cesarz, książęta-władcy, szlachta, urzędnicy cesarscy, duchowieństwo, a nawet bogaci mieszczanie.

Nie sposób wymienić wszystkich obciążeń, które nakładano na chłopów. Poddaństwo oznaczało nie tylko brak wolności osobistej, przywiązanie do ziemi i obowiązek pracy na rzecz pana, ale także płacenie dziesięciny dosłownie ze wszystkiego oraz podatków. Najdotkliwsze były świadczenia po śmierci głowy rodziny, gdy wdowie z dziećmi pan zabierał najlepsze zwierzę, czasem jedyne, a nawet łóżko.

Lepiej działo się chłopom na północy Niemiec, gdzie gospodarstwa były większe, bo wszystko dziedziczył najstarszy syn. Na południu, gdzie majątki dzielono, na małych poletkach wszyscy przymierali głodem. Dlatego wojna chłopska toczyła się głównie w Szwabii, Wirtembergii, Frankonii, Saksonii i Turyngii, a także w Salzburgu i Tyrolu.

SŁOWA JAK ORĘŻ

Na postawę chłopów wpłynęła reformacja. Już w 1520 roku Marcin Luter w traktacie „O wolności chrześcijańskiej" pisał: „Chrześcijanin jest całkowicie wolnym panem wszystkich rzeczy, nikomu niepodległym".

A gdy dwa lata później ukazało się jego tłumaczenie Nowego Testamentu na niemiecki, prości ludzie zaczęli rozumieć treść Biblii i kwestionować przywileje szlachty i duchowieństwa. Nie znaleźli w niej uzasadnienia dla własnej nędzy, więc uznali, że to wielmożowie łamią boskie prawo.

Luter nie był jedyną twarzą reformacji i nie najradykalniejszą. Młodszy od niego o 15 lat duchowny Thomas Müntzer, początkowo zwolennik nauki Lutra, od 1520 roku głosił rewolucyjne kazania w Zwickau, potem w Turyngii, Alzacji i Szwajcarii, a od 1523 roku w saksońskim Allstedt. Chciał królestwa Bożego już na ziemi, więc podburzał chłopów i mieszczan do stosowania w imię Boga przemocy wobec władców. Zniesienie prywatnej własności miało być podstawą społecznej sprawiedliwości.

• **Thomas Müntzer (1489-1525), przywódca powstania chłopskiego** FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Gdy Luter tłumaczył Biblię, Müntzer poszedł dalej – zwracał się do tych, którzy nie umieli czytać. Podczas mszy odprawianej w obecności księcia oraz władz miasta Allstedt, bezczelnie wzywał: „Trzeba zabić bezbożnych władców". Z Lutra drwił, nazywał go „cielskiem pędzącym gnuśny żywot w Wittenberdze". Swoje listy do władców podpisywał „Müntzer zbrojny w miecz Gedeona".

Wkrótce poprowadzi chłopów do walki.

GNIEW WZBIERAŁ POWOLI

Krwawe zdarzenia z lat 20. XVI wieku nie były pierwszymi próbami zmiany stosunków społecznych w Niemczech. W 1476 roku pasterz Hans Böheim z Niklashausen, wiedziony przez samą Matkę Boską, na czele 34 tys. ludzi ruszył na Würzburg. Jednak zanim tam dotarł, dopadli go ludzie księcia biskupa i spalili na stosie.

Weteran wojenny Joß Fritz z okolic Bruchsalu działał w istniejącym od 1493 roku związku Chłopski But (Bundschuh) głoszącym hasła wolnościowe i równościowe. W 1502 roku buntownicy zostali zdradzeni, a wojska biskupów Spiry i Strasburga rozbiły ich oddziały. Fritz próbował wzniecić powstanie jeszcze w 1513 i 1517 roku. Znów się nie powiodło, bo jego spowiednik złamał tajemnicę spowiedzi.

Jednak Fritz zaszczepił w chłopach myśl o niezależności, a skórzany, sznurowany but, symbol związku, był widoczny także na sztandarach uczestników wojny chłopskiej.

Natomiast w 1514 r. w Wirtembergii, po kilku latach nieurodzaju, przeciw panom zbuntowali się chłopi z organizacji „Biedny Konrad". W krwawym stłumieniu rebelii uczestniczył Georg III Truchsess von Waldburg-Zeil, który podczas wojny chłopskiej wykaże się niebywałym okrucieństwem.

DWANAŚCIE PRAW CZŁOWIEKA

W 1525 roku chłopscy powstańcy walczyli cepami, widłami, kosami, młotkami, siekierami, ale też grzebieniami do wełny. Grupowali się w hufce i napadali na klasztory i zamki. Najpierw wzywali obrońców do poddania, a gdy ci odmawiali, chłopi wkraczali, łupiąc i niszcząc, co się da.

7 marca buntownicy założyli w szwabskim Memmingen Unię Chrześcijańską. Ogłosili manifest – „Dwanaście artykułów chłopskich" spisanych przez kuśnierza Sebastiana Lotzera i duchownego Christopha Schappelera.

• **Fragment panoramy „Wczesna rewolucja burżuazyjna w Niemczech", autorskiej wizji wojny chłopskiej malarza Wernera Tuebke (1929-2004). Obraz o wymiarach 14 na 124 m malował prawie 13 lat, skończył w 1987 roku** FOT. PAP/DPA/MARTIN SCHUTT

Dokument, którego 25 tysięcy egzemplarzy rozdano buntownikom, zawierał żądania zniesienia poddaństwa, zmniejszenia dziesięciny i świadczeń na rzecz panów, prawa wyboru proboszcza i przywrócenia praw zwyczajowych, jak łowienie ryb, polowanie i zbieranie drewna w pańskich lasach.

Chłopi powołali się na „boskie prawo", zastrzegli jednak, że zrezygnują z żądań, gdyby okazały się niezgodne z zapisami Biblii.

PRZECIĄGANE NEGOCJACJE

Arcyksiążę Ferdynand I Habsburg nie miał kogo wysłać na buntowników – jego oddziały nie wróciły jeszcze z bitwy pod Pawią, w której 24 lutego cesarz Karol V Habsburg pokonał króla Francji Franciszka I. Poprosił więc o pomoc wspomnianego Georga von Waldburga-Zeila, dowódcę Związku Szwabskiego powołanego do zbrojnej obrony pokoju w cesarskich domenach w Szwabii. Sam zaczął szukać pieniędzy, by sfinansować kampanię przeciw chłopom.

Przedstawiciele Związku Szwabskiego przeciągali negocjacje z buntownikami, by zyskać czas na zebranie wojska. Wkrótce bezrobotni landsknechci wrócili spod Pawii i zasilili armię Związku. Zerwanie rozmów przez chłopów pod koniec marca dało książętom pretekst do rozpoczęcia wojny.

4 kwietnia wojska Związku zaatakowały chłopów w Leipheim niedaleko Ulmu i choć poddali się oni bez walki, zostali zdziesiątkowani podczas ucieczki. Nazajutrz kilku prowodyrów stracono, a miasta Günzburg i Leipheim splądrowano. Efekt mrożący został osiągnięty: wielu chłopów z okolicznych hufców poddało się bezwarunkowo.

Pieniądze na wyprawę przeciw chłopom dał Jakub Fugger z Augsburga, najbogatszy niekoronowany człowiek swojej epoki (jego majątek szacuje się na ok. 400 mld dzisiejszych dolarów). Nie gardził biedakami, o ile starali się poprawić swój los uczciwą pracą – założył nawet pierwsze na świecie osiedle socjalne. Ale chłopscy buntownicy byli dla niego leniwymi pasożytami.

1 RP

eprasa.pl 72aacc3640

Fugger, pożyczając arcyksięciu Ferdynandowi pieniądze na wojnę, dbał o własny interes. Wiosną kupił we Frankfurcie towary za setki tysięcy florenów, lecz gdyby powstańcy zablokowali drogi, nie dowiózłby ich do Augsburga i nie sprzedał z zyskiem. Zadbał też o własne nieruchomości. Gdy chłopi zaczęli oblegać Weißenhorn, miasto, które kupił od cesarza i w które sporo zainwestował, zatrudnił żołnierzy, by odparli atakujących chłopów. Sfinansował też obronę Augsburga – gdy chłopi podeszli pod miasto i zobaczyli siły obrońców, roztropnie się wycofali.

WIELKANOCNA RZEŹ

Luter odpowiedział na „Dwanaście artykułów" broszurą „Napomnienie do pokoju". Okazał w niej zrozumienie dla buntowników, wytknął błędy szlachcie, winiąc ją za nieludzkie traktowanie chłopów. Wezwał książęta, panów i duchownych do zmniejszenia obciążeń ponoszonych przez poddanych. Jednocześnie potępił powstanie i przemoc jako środek protestu.

Pisząc „Napomnienie…", nie wiedział jednak o wydarzeniach, do których doszło w Poniedziałek Wielkanocny 17 kwietnia 1525 roku w Weinsbergu (Badenia-Wirtembergia). Chłopi, którzy dzień wcześniej zdobyli i splądrowali miasto, dokonali tam egzekucji męża nieślubnej córki cesarza Maksymiliana I, hrabiego Ludwiga von Helfensteina-Wiesensteiga i jego 15 towarzyszy. Helfenstein, powszechnie znienawidzony komornik, rozkazał zastrzelić wysłanników, którzy przyszli negocjować poddanie miasta.

Dowodzący chłopami Jäcklein Rohrbach wybrał dla niego śmierć okrutną i upokarzającą: puścił go przez „ścieżkę zdrowia", szpaler chłopów z lancami, i to przy wtórze muzyki. Nikt wcześniej nie potraktował tak szlachcica. W dodatku wdowę po nim, hrabinę Margarethe, która błagała Rohrbacha o darowanie życia mężowi, kazał wywieźć wraz z trzyletnim synkiem na wozie z gnojem do pobliskiego Heilbronnu.

„Rzeź z Weisbergu" okazała się przełomowym momentem wojny. O ile dotąd wielmożowie lekceważyli wystąpienia chłopskie, to okrutne potraktowanie cesarskiego zięcia sprawiło, że uznali chłopów za wrogów istniejącego porządku.

Luter błyskawicznie zmienił front. W napisanym 6 maja pamflecie „Przeciw morderczym i zbójeckim bandom chłopskim" potępił buntowników i wezwał do walki z nimi: „Powinien rzucić się, kto może, dusić i ubijać skrycie i otwarcie, a pamiętać, że nic bardziej jadowitego, szkodliwego, szatańskiego nie masz jak człowiek zbuntowany. Zabić go trzeba podobnie jak psa wściekłego, bo jeśli ty go nie zabijesz, to on zabije ciebie i cały kraj z tobą".

Müntzera, ideologa buntu, nazwał „arcydiabłem z Mühlhausen".

KRWAWA ROZPRAWA

Na przełomie kwietnia i maja 1525 roku, w apogeum wojny, pod bronią było ok. 100 tys. buntowników. Spora część kraju płonęła, a chłopi byli napici i najedzeni jak nigdy.

25 kwietnia wkroczyli do Stuttgartu, ale już 12 maja pod pobliskim Böblingen ich hufce liczące 15 tys. buntowników zmiażdżyła dwukrotnie mniejsza armia Waldburga-Zeila. Wystarczyło kilka salw z dział, by rzucili się do ucieczki do okolicznych lasów. Za nimi ruszyli żołnierze, którzy bez litości zamordowali ok. 3 tys. chłopów.

Waldburg-Zeil, który stracił ledwie 25 konnych i 15 piechurów, pisał do swych patronów: „Nasze zwycięstwo jest tak kompletne, że nie musimy już spodziewać się żadnego oporu w tej okolicy".

W maju książę heski Filip Wielkoduszny, elektor saski książę Jan Stały i książę saski Jerzy Brodaty ruszyli z wojskami do Frankenhausen w Turyngii. Na wzgórzu obwarowało się tam około 10 tys. chłopów. Działo się to kilka dni po śmierci brata Jana Stałego, elektora Fryderyka Mądrego, którzy sprzeciwiał się brutalnej rozprawie z chłopami. Uważał wręcz, że ich niektóre postulaty należy spełnić.

Tęczę, która pojawiła się nad Frankenhausen 15 maja, dowodzący chłopami Müntzer uznał za dobry znak. Na pole bitwy przybył więc pod tęczową chorągwią z napisem „Verbum domini maneat in aeternum" (Słowo Pana trwa na wieki).

JATKA W IMIĘ BOŻE

Nie miał racji. Przegrane starcie zakończyło się kolejną jatką. Zginęło 6 tys. chłopów, 600 wzięto do niewoli, połowę z nich zabito nazajutrz w publicznej egzekucji.

Książę Filip pisał po bitwie: „Wycięliśmy w pień wszystkich, którzy wpadli w nasze ręce. Niezwłocznie wdarliśmy się do miasta, zdobyliśmy je i zabiliśmy wszystkich mężczyzn, którzy się tam znajdowali; złupiliśmy miasto i tym sposobem z Bożą pomocą odnieśliśmy tego dnia zwycięstwo i tryumf, za który słusznie powinniśmy złożyć dzięki Wszechmogącemu, z wiarą, że spełniliśmy dobry uczynek".

Müntzer uciekł, ale na krótko. Torturowany w twierdzy Heldrungen wydał nazwiska stronników. Podał nawet, gdzie znajdują się spisy buntowników. Podczas publicznej egzekucji 27 maja w Mühlhausen kat obciął mu głowę toporem, a jego ciało nabił na pal. Zdekapitowano także 52 jego zwolenników.

Natomiast Jäcklein Rohrbach, oprawca hrabiego Helfensteina z Weinsbergu, został 21 maja spalony żywcem. Waldburg-Zeil kazał go przywiązać na krótkim łańcuchu do drzewa, wokół którego rozłożono chrust i podpalono. Podobno umierał 45 minut, dwa razy dłużej niż gdyby spłonął na stosie. Jego towarzysze zawiśli w pobliżu na gałęziach.

DŁUGIE, GORĄCE LATO

2 czerwca w bitwie pod Königshofen zginęło co najmniej 8 tys. buntowników. Dwa dni później Waldburg-Zeil w okolicy Ingolstatt w ciągu dwóch godzin wyrżnął kolejne 5 tys. chłopów, niektórzy twierdzą, że 8 tys. Po tym zwycięstwie ruszył na południe, gdzie pod koniec czerwca pokonał ostatnie grupy powstańcze.

Latem bunt wygasł, 12 lipca poddani hrabiego von Lupfena (nowego, bo poprzedni zmarł w grudniu) złożyli mu hołd.

Po ostatniej dużej potyczce pod Kempten towary Jakuba Fuggera bezpiecznie dojechały do Augsburga.

Jedynie w rejonie Salzburga Związek Szwabski interweniował przeciw zbuntowanym chłopom jeszcze w 1526 roku.

PRZYCZYNY KLĘSKI

Napoleon stwierdził: „Armia baranów, której przewodzi lew, jest lepsza niż armia lwów prowadzona przez barana". Podczas wojny chłopskiej nie tylko zabrakło lwa-dowódcy, który zagrzewałby do walki i skoordynował działania, ale też lwów-żołnierzy.

Zaangażowanie chłopów dobrze obrazują losy miasta Schwäbisch Gmünd (50 km od Stuttgartu). Buntownicy z jego okolic powołali swój hufiec 27 marca, spustoszyli klasztor Gotteszell, a potem oblegli Schwäbisch Gmünd. Zaapelowali, by miasto przyłączyło się do buntu. Ale gdy Gmünd odmówiło, wcale nie ruszyli do szturmu. Postali pod murami, a kiedy 16 maja dowiedzieli się o klęsce pod Böblingen, po prostu wrócili do domów.

Chłopi zwykle bili się w pobliżu swych wsi, by jak najszybciej wrócić do pracy na gospodarstwie. Do walki ruszali tylko wiosną, bo latem były żniwa. A skoro walczyli tylko kilka tygodni, nie nabierali wprawy w walce. Nawet jeśli zdobyli działa, nie umieli z nich strzelać. Dlatego setki piechurów wybijały chłopów tysiącami. Niekiedy jedna salwa oddana z książęcych kolubryn kończyła bitwę, zanim ta na dobre się zaczęła.

Chłopi nie koordynowali swych działań – w jednym miejscu zamieszki wygasały, w drugim dopiero się zaczynały. Dlatego Waldburg-Zeil, dobry strateg, eliminował hufce jeden po drugim. Za lojalną służbę dostał niezłą sumkę w złocie i sporo nieruchomości w Górnej Szwabii.

SAME STRATY

Historycy szacują, że w wojnie zginęło 70 tys. chłopów, czyli 2,5-3 proc. ludności terenów objętych walkami. Zwycięzcy nie mieli litości – buntowników masowo zabijali lub okaleczali. Kat margrabiego brandenburskiego Kazimierza Hohenzollerna, zwanego „krwawym psem", własnoręcznie ściął 80 chłopów, 69 wyłupił oczy, odciętych palców nawet nie liczył. Wielu chłopów skazano na żywot banity-bandyty.

Na miasta sprzyjające buntownikom nałożono olbrzymie grzywny i pozbawiono przywilejów. Władcy zemścili się nawet na Weinsbergu, winnym jedynie tego, że dał się zdobyć – 21 maja 1525 roku miasto zostało zrównane z ziemią, skazane na grzywnę i pozbawione praw miejskich na 30 lat.

Podczas wojny spalone zostały pola uprawne, wioski zrównane z ziemią, splądrowane kościoły, klasztory, zamki i dwory – w samej Frankonii chłopi zniszczyli 300 dworów i zamków oraz 50 klasztorów. O ile obiekty sakralne zostały z czasem odbudowane, to wiele zamków pozostało ruiną.

Chłopi niczego nie ugrali. Przegrana wojna oznaczała dla nich odsunięcie na kilkaset lat od udziału w życiu politycznym – chłop miał harować, płacić podatki i jak trzeba, iść w kamasze. Na kolejny taki powszechny zryw – rewolucję francuską – trzeba było czekać do końca XVIII wieku.

Poddaństwo w różnych formach przetrwało na terenie Niemiec nawet do połowy XIX wieku.

BOHATEROWIE NRD

Dopiero Fryderyk Engels w dziele „Niemiecka wojna chłopska" (1850) nadał buntowi z XVI wieku sens. Jego zdaniem był on zapowiedzią nieuchronnego starcia między kapitalizmem a ówczesną wizją komunizmu. Nic zatem dziwnego, że w NRD celebrowano bohaterów „wczesnej rewolucji burżuazyjnej". Gdy w RFN wydawano znaczki z podobizną Fuggera, w NRD ukazywały się znaczki z Müntzerem.

Na początku lat 70. władze NRD na 450-lecie wojny chłopskiej zamówiły wielkoformatową panoramę przedstawiającą ostatnią wielką bitwę w środkowych Niemczech. Partii marzyło się propagandowe dzieło batalistyczne, obraz rewolucyjnego szału chłopów walczących z panami. Nie wszystko poszło po ich myśli.

Nie zdążyli na rocznicę zrywu, bo dzieło powstawało kilkanaście lat. Malarz Werner Tübke, rektor lipskiej ASP (Hochschule für Grafik und Buchkunst), podejmując się w 1976 roku zadania, wynegocjował wolność twórczą. Pracował w swoim tempie – najpierw przez kilka lat studiował dzieje wojny chłopskiej, analizował dzieła sztuki i badał życie codzienne tamtej epoki.

Tymczasem okazało się, że żadna enerdowska fabryka nie jest w stanie utkać płótna o wymiarach 14 na 123 m. Trzeba było skorzystać z pomocy bratniego Związku Radzieckiego i materiał zamówić w kombinacie włókienniczym w Sursku.

Wreszcie Tübke wspomagany przez 15 malarzy „czeladników" namalował ponad 3 tys. postaci w kilku scenach mniej lub bardziej związanych z bitwą pod Frankenhausen. Gotowe dzieło przypominało raczej obraz Hieronima Boscha niż moskiewską panoramę bitwy pod Borodino, jakiej oczekiwało enerdowskie ministerstwo kultury. Obok postaci historycznych – Thomasa Müntzera, Marcina Lutra czy Mikołaja Kopernika, na obrazie umieścił mnóstwo elementów symbolicznych, w tym ogromną latającą rybę.

Panoramę w rotundzie zaprezentowano mieszkańcom NRD dokładnie 35 lat temu, 14 września 1989 roku, jako element obchodów 500-lecia urodzin Müntzera. Ale w tym czasie obywatele woleli uciekać na Zachód. 9 listopada runął mur berliński.

Po jednoczeniu Niemiec planowano likwidację panoramy z Bad Frankenhausen. Ale przetrwała, obejrzało ją dotąd ponad 3 mln zwiedzających. Będzie jednym z miejsc ogólnoniemieckich obchodów 500-lecia wojny chłopskiej. ●

Korzystałam m.in. z książek: Éric Vuillard, „Wojna biedaków"; Greg Steinmetz, „Największy bogacz wszech czasów. Jakub Fugger i jego epoka"; „Historia Niemiec", Wacław Czapliński i in.; „Historia powszechna", t. 10, red. Luca Serafini; Richard Friedenthal, „Marcin Luter".

eprasa.pl 72aacc3640

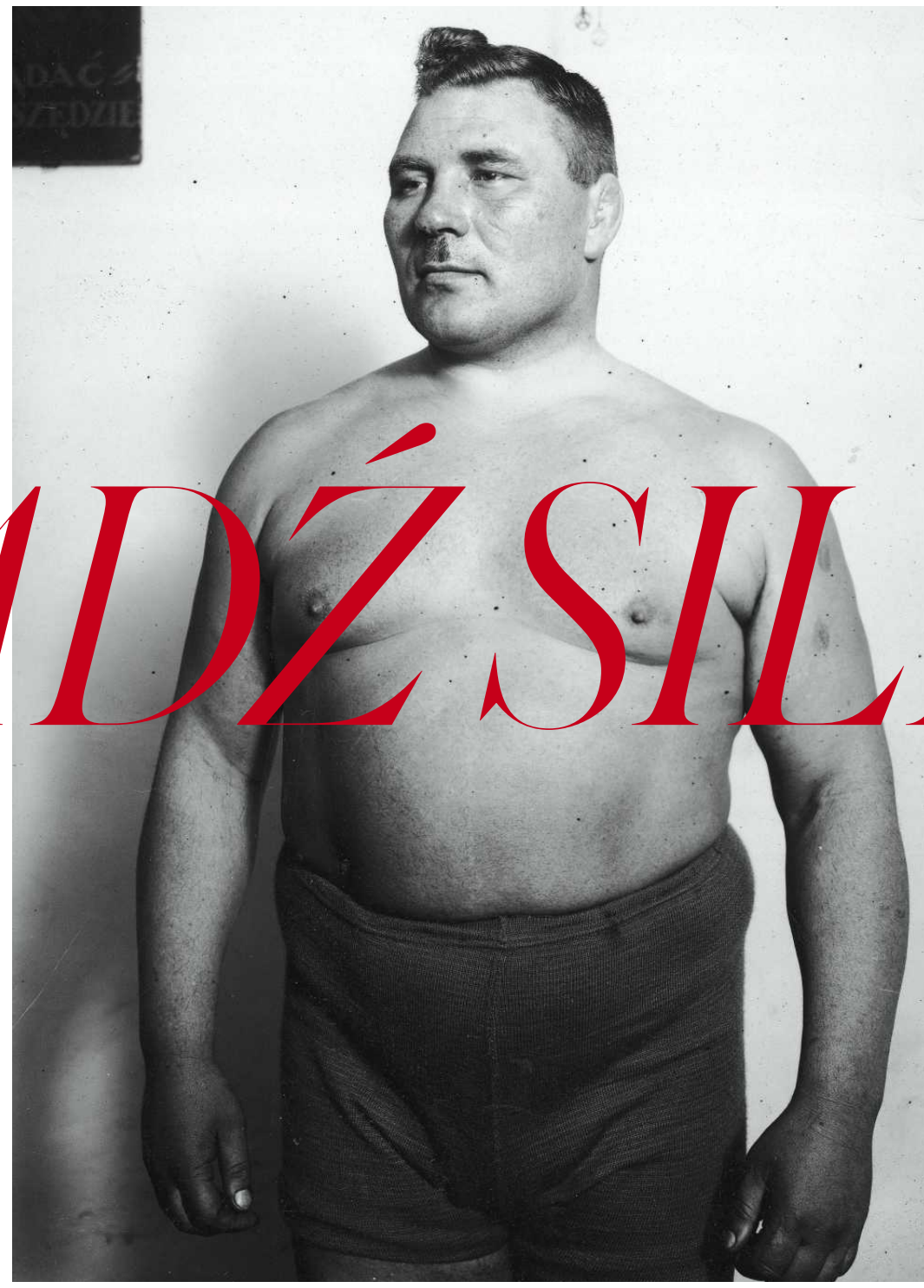

• **Aleksander Garkowienko-Rudecki (1892-1944), siłacz, zapaśnik, podziwiany w Polsce i na świecie** FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

BĄDŹ SILNY JAK GARKOWIENKO

Tomasz Jakubowski

„Ukraina pokonała Rosję!” – pisała prasa, gdy wygrał z siłaczem z Moskwy. Zapewniał, że choć przypisuje mu się narodowość ukraińską albo rosyjską, to jest „tylko Polakiem”. Ale nie był w tym konsekwentny.

„Owinął swoje ciało jak wstęgę wokół szorstkiej metalowej rury i odgryzał kawałki metalu zębami. Trzymał 200-kilogramowy kamień w pozycji »mostu«, podczas gdy silni mężczyźni uderzali go młotami. Wgryzał się w metalowe pręty jak we włoski makaron. Podniósł platformę z fortepianem i pianistą na niej. Zacisnął ręce w »zamek«, a 24 mężczyzn nie było w stanie ich rozerwać. W trzy minuty powalił na ziemię słynnego zapaśnika Zakrzewskiego” – donosi dziennik „Svoboda” z 21 grudnia 1923 r.

To tylko jeden z setek artykułów w polskiej i ukraińskiej prasie przedwojennej o Aleksandrze Garkowience-Rudeckim, polsko-ukraińskim atlecie i zawodowym zapaśniku, wielokrotnym mistrzu Polski, trzykrotnym mistrzu świata, celebrycie, który zginął w powstaniu warszawskim.

SUPERBOHATER MOJEGO TATY

Już w młodości imponował posturą, nadnaturalnie rozwiniętymi mięśniami, a publiczność kochała go”. „Jedz dużo, to będziesz silny jak Garkowienko” – mówił do mnie mój nieżyjący już ojciec. Od dzieciństwa karmiony byłem opowieściami o superbohaterze z jego dzieciństwa, „najsilniejszym człowieku na świecie”. Tata opowiadał, jak Garkowienko łamał podkowy, zrywał łańcuchy i rozprawiał się z kolejnymi przeciwnikami.

Średnio w to wierzyłem, a potem zapomniałem. Przypomniałem sobie o nim wiele lat później, gdy usłyszałem na jednym z warszawskich festynów szlagier „Cyrk na Ordynackiej” z tekstem Henryka Kotarskiego. Znaleźć w nim można taki fragment:

A jak walczył na arenie
Garkowienko z Czarną Maską,
to na takie przedstawienie
zasuwało całe miasto.
Ale Sztekker kładł każdego,
bo jak kogo wziął w „nelsona”,
mokra plama była z niego,
każdy pękał, niech ja skonam!

Później trafiłem na tekst Stefana Kisielewskiego, w którym pisał: „nic nie szkodzi, jeśli komuś nic nie mówią takie nazwiska jak Garkowienko, Pinecki czy Sztekker, ale niech nie udaje warszawiaka”. Postanowiłem sprawdzić, kim był superbohater mego ojca.

„CYRK NA ORDYNACKIEJ”

Walki siłaczy były w przed wojną tym, czym dziś piłkarska Liga Mistrzów. Ich renesans nastąpił na przełomie XIX i XX w., a popularność sportów siłowych jeszcze wzrosła po odzyskaniu niepodległości. Po 1918 r. nasi sportowcy mogli w końcu wygrywać zawody jako Polacy. Walki odbywały się w objazdowych i stałych cyrkach lub teatrach i przypominały dzisiejszy wrestling. Barwnie ubrani zawodnicy mieli pseudonimy: Czarna Maska, Herkules, Olbrzym z Kijowa. Niektóre walki były ustawiane, ale nie miało to znaczenia. Chodziło o widowisko.

„Cyrk na Ordynackiej” istniał naprawdę. Był jednym z niewielu stałych cyrków w Polsce, należał m.in. do braci Staniewskich. Stał przy ulicy Ordynackiej 1 w Warszawie, i mieścił nawet 3 tys. widzów. Działał niemal nieprzerwanie od 1883 do 1939 r., gdy niemieckie bomby zrównały go z ziemią.

„HERKULES” VS „OLBRZYM Z KIJOWA”

Choć pokazywano tam różnych artystów, to jednak starcia siłaczy przyciągały największe tłumy (i największe pieniądze), zawodowi zapaśnicy zaś byli takimi celebrytami jak dziś Mariusz Pudzianowski czy Adam Małysz. I podobnie jak oni za występy dostawali wielkie pieniądze. Ich popularność często wykraczała poza kraj, a najlepsi występowali w prawdziwych turniejach i sięgali po najwyższe tytuły.

Pisano o nich piosenki, prasa donosiła, co robią, co jedli, gdzie bywają i z kim. Byli uwielbiani. Nie tylko z powodu wystawnego, towarzyskiego życia, ale też z... powodów patriotycznych. Przed odzyskaniem niepodległości często stawali się w innych krajach ambasadorami polskiej sprawy.

Część tego nieistniejącego już świata zobaczyć możemy w filmie „Aria dla atlety” Filipa Bajona opowiadającym o losach Władysława Góralewicza, produkcji opartej na wspomnieniach zapaśnika Zbyszka Cyganiewicza.

W latach 20. w Polsce jednym z najsłynniejszych sportowców, bożyszczem tłumów i ulubieńcem kobiet (trzykrotnie żonaty) oraz mediów, był urodzony na Lubelszczyźnie sportowiec i celebryta Teodor „Herkules” Sztekker. Występował w cyrkach, ale był też zawodowym mistrzem Europy i świata. Zabłysnął w 1919 r. w turnieju o mistrzostwo Warszawy, w którym wygrał bez problemu wszystkie walki po kolei. Niepokonanego „Herkulesa” na łopatki rzucił dopiero uciekinier z ogarniętej wojną domową Rosji – „Olbrzym z Kijowa” – Aleksander Garkowienko-Rudecki.

JESTEM TYLKO POLAKIEM

Urodzony w 1892 r. w Morozówce, a więc jeszcze w cesarstwie rosyjskim, Garkowienko był pół Kozakiem z Zaporoża, pół Polakiem. Nazwisko skrócił na potrzeby sportowe. Tę polską część stanowiła jego matka, z domu Rudecka, urodzona na Śląsku. Ojciec był wojskowym z Zaporoża.

Czy mały Aleksander uważał się za Polaka czy Ukraińca? Nie wiadomo. Na pewno dorosły Aleksander nie uważał się za Rosjanina. Zaprotestował, gdy w 1923 r. praska gazeta po zwycięstwie nad mistrzem Czechosłowacji Frysztynskim nazwała go „rosyjskim mistrzem”. Zachowała się notatka z polskiego dziennika „Iskra” z tego okresu:

„Pełne jego nazwisko brzmi Garkowienko-Rudecki. W świecie zapaśniczym jednak atleta nasz używa tylko pierwszej połowy nazwiska. Dla uniknięcia podobnych nieporozumień, jak praskie, radzilibyśmy championowi Polski używać więcej polskiego brzmienia – Rudecki, a nie wątpimy, że jego potężne ramiona rozniosą to nazwisko równie szeroko i szybko, jak rozniosły imię Garkowienki”.

Nazwanie Polaka Rosjaninem uznano za propagandę. „W ten sposób rząd sowiecki pragnie się

eprasa.pl 72aacc3640

rehabilitować w opinji świata cywilizowanego" – napisano.

W wywiadach dla polskich gazet Garkowienko mówi: „Choć przypisuje mi się narodowość ukraińską albo rosyjską, to jestem tylko Polakiem".

Ale nie był w tym konsekwentny, o czym później.

Gdy w 1920 r. w Rosji wybuchła wojna domowa, przyszły mistrz z rodzicami przeniósł się do Warszawy. Według „Małej encyklopedii zapaśnictwa" Jerzego Lipskiego w 1922 r. przyjął polskie obywatelstwo. W tym samym roku zdobył też pierwsze mistrzostwo Polski w zapasach, wygrywając z późniejszym przyjacielem i partnerem biznesowym Teodorem Sztekkerem.

Do Polski przybył jako sportowiec już znany, mający na koncie wiele prestiżowych pojedynków zapaśniczych, w tym trzygodzinną walkę z wielokrotnym mistrzem świata Iwanem Poddubnym (miał wówczas zaledwie 21 lat). Gdy więc w 1922 r. „niepokonany" Sztekker zmierzył się z Garkowienką o mistrzostwo, ich walka przyciągnęła tłumy. Sportowcy postanowili to wykorzystać i wyruszyli w trasę. Były to pokazowe walki. Raz zwyciężał jeden, raz drugi, a w prasie pojawiły się spekulacje, że walki są ustawiane. Prawdy się nie dowiemy, ale obaj wtedy walczyli wyłącznie dla pieniędzy. W 1923 r., gdy zebrali odpowiednią sumę, wyjechali po sławę i prawdziwe pieniądze do Ameryki.

TU JADA SŁYNNY SIŁACZ

Liczyli na to, że dzięki szlakowi przetartemu przez popularnych już w USA polskich siłaczy (głównie braci Cyganiewiczów) będzie im łatwiej. Sztekker wspominał, że początki łatwe jednak nie były, a na bezwzględnym kapitalistycznym rynku lat 20. musieli pomagać sobie nie tylko w sprawach zawodowych, ale i codziennych. Przez pewien czas nawet razem mieszkali.

W USA walczyło się wówczas stylem wolnym, inaczej niż w Europie, gdzie królowały zapasy w stylu greckim lub francuskim. Sportowcy musieli nauczyć się walczyć w stylu nazywanym w USA „catch as catch can", co oznaczało zwykle „wszystkie chwyty dozwolone". Starcia były brutalne, z początku płacono marnie, żeby dorobić, Garkowienko brał udział w pokazach strongmeńskich, czym miał sobie zaskarbić miłość młodszej publiczności.

Zapaśnik przybył do Ameryki – jak pisze jego ukraiński biograf Anatolij Żytkiewicz – „ważąc 145 kg. Jego rekord w podnoszeniu ciężarów oburącz wynosił 160 kg. Przywiózł ze sobą walizkę medali oraz tytuły sportowe, nie tylko w sportach siłowych, ale np. w pływaniu (dość zresztą nietypowe: »Za przebywanie na wodach Morza Azowskiego przez cztery godziny bez przerwy czy za przepłynięcie 12 mil wzdłuż północnej Dźwiny«)".

Choć nie dorobił się w Ameryce wielkich pieniędzy, zyskał sporą popularność. Na walki z jego udziałem przychodziło nawet kilkanaście tysięcy ludzi, a na widowni zobaczyć można było m.in. Charliego Chaplina, Mary Pickford czy boksera Jacka Dempseya. Na ścianach restauracji, w których się stołował, pojawiały się reklamy: „Tu jada słynny siłacz Aleksander Garkowienko".

ALEKSANDER WIELKI

Pięcioletni pobyt w USA był pasmem sukcesów sportowych. Garkowienko stoczył ponad 200 walk. Pokonał m.in.: „Irlandzkiego Byka" Jacka Robertsa, „Teksańskiego Tygrysa" „Big Bull" Betta, „Czarną Maskę" Victora Soldata, „Czerwoną Maskę" Hansa Fostera, „Studenta" Teda Paulsena, tureckiego mistrza Boba Monakova, Szweda Jana Friberga, Czecha Pavla Martesona, kanadyjskiego giganta Boba Nelsona, kalifornijskiego giganta Toma Marshalla, irlandzkiego mistrza „Papę" McGee oraz Polaków Adama Burskiego i Władzia Zbyszkę (czyli Władysława Cyganiewicza). W jednym ze starć niemal stracił ucho, jednak sędzia w porę przerwał walkę.

W prasie brukowej pojawił się artykuł, że jednego z przeciwników Garkowienko zabił. Przeciwnikiem miał być zapaśnik o polsko brzmiącym nazwisku Stasiak. Znany był z nieczystych zachowań na ringu. W artykule „Ukraiński Samson" czytamy, że podczas walki Stasiak wściekle atakował Garkowienkę. Gdy wydawało się, że nasz atleta zostanie pokonany, Polak zdołał jednak zebrać siły.

„Złapał przeciwnika za głowę, wykonał kilka obrotów i rzucił Stasiakiem o podłogę tak mocno, że ten skręcił kark" – pisze autor. Nie jest to prawda.

Z „Encyklopedii polskiego zapaśnictwa" wynika, iż Stasiak nie tylko nie zginął, ale też przeżył wojnę.

Z artykułu „Sportowa działalność Aleksandra Garkowienki w relacjach gazety »Dilo« 1927-1939" wynika, że harował w USA jak wół. Tylko w styczniu 1928 r. pokonał Włocha Vargoriniego, by już dzień później wygrać z kanadyjskim mistrzem Frankiem Yushko, a kolejnego dnia z niemieckim zapaśnikiem Hackenschmidtem (walkę oglądało 12 tys. osób). Styczniowy bilans kończy walka w Manhattan Casino, w której Garkowienko pokonał żydowskiego zapaśnika Abego Kaplana.

Według mediów „Aleksander Wielki" (jak nazwała go jedna z amerykańskich gazet) oficjalnie przegrał tylko raz: 12 lutego 1928 r. w Chicago z Edem Lewisem zwanym „Dusicielem". Został pokonany w dwóch rundach. „Nie stało się to dzięki sile, a przy pomocy szorstkich i brutalnych technik, które jego przeciwnik opanował do perfekcji. To była walka bez zasad, z brutalnością sięgającą poza ludzką świadomość, a jej jedynym celem było zwycięstwo" – cytuje jedną z amerykańskich gazet Żytkiewicz.

UKRAINA POKONAŁA ROSJĘ!

W 1928 r. uznał, że jego powołaniem są zapasy w stylu klasycznym, a nie bezwzględny „catch as catch can". Nie bez znaczenia było, że został oszukany przez jednego z agentów na spore pieniądze. Amerykański sen się nie spełnił i Garkowienko wrócił do Polski.

Wykorzystując swą sławę zaczął organizować pokazy siły i pojedynki. Dziennik „Svoboda" z 15 grudnia 1928 r. donosi: „Garkowienko, słynny mistrz świata, który przyjechał na występy do lwowskiego cyrku, co wieczór daje dowody swej niezwykłej siły i atletycznej techniki. Pokonał dobrze zbudowanego berlińczyka Köhlera, wygrał na punkty z kandydatem do pierwszej nagrody z Frankfurtu Poshofą i powalił olbrzyma z Poznania Pineckiego w czasie, gdy wszyscy myśleli, że sytuacja Garkowienki jest przegrana".

W latach 30. osiągnął szczyt formy. W 1931 r. we Wrocławiu zdobył tytuł mistrza świata w zapasach w stylu grecko-rzymskim. Obronił go w Warszawie w 1933 r. i w Berlinie w 1935 r. Wcześniej, w maju 1934 r., w Gdańsku zdobył złoty pas miasta, a na Międzynarodowym Turnieju Zapaśniczym w Berlinie wywalczył złoty pas Niemiec. Stoczył w tym turnieju niezwykle ciężką walkę z Vladimirem Ceisikiem z Moskwy. Gdy rosyjski gigant uległ, publiczność uczciła triumf owacją na stojąco. Nazajutrz niemieckie gazety pisały: „Ukraina pokonała Rosję!".

ZAPAŚNIK O POETYCKIEJ EKSPRESJI

Z prasowych opisów jego walk wynika, że niemal zawsze publiczność brała jego stronę. Chwalono „czystą i szlachetną walkę", nazywano go „dżentelmenem ringu" i „zapaśnikiem o poetyckiej ekspresji".

W „Nowym Kurjerze" z 1931 r. czytamy: „Niedawno całą prasę niemiecką obiegła wieść o niezwykle sensacyjnem zwycięstwie w hamburskim Theater Des Westens, w zawodach atletycznych o mistrzostwo świata, które w roku ubiegłym zdobył Teodor Sztekker. [...] Do walk stanęło ponad 80 zawodników reprezentujących wszystkie narody świata. Polskę reprezentował Aleksander Garkowienko i Leon Pinecki. W finale walk z 80 zawodników pozostało tylko 10, a między nimi obaj Polacy. Rozgrywka o mistrzostwo świata nastąpiła między doskonałym atletą finlandzkim Petersonem a Garkowienką i trwała 40 kilka minut. W rezultacie zwyciężył Polak. Także zwyciężył Garkowienko drugiego, mniej groźnego Niemca Westergardt-Smidtha. Faktem charakterystycznym jest, że mimo porażki Westergardta, który jest Niemcem i rodowitym hamburczykiem, widownia przyjęła zwycięstwo Polaka niesłychanie entuzjastycznie" (za portalem Z silnych najsilniejsi). Garkowienko osiągnął szczyt.

Uczestniczył w balach, poznawał światową elitę, cieszył się sławą.

MIAŁEM JEGO KREW NA SOBIE

„W godzinach popołudniowych staliśmy w bramie tego domu i rozmawialiśmy, już nie pamiętam o czym. W rozmowie, poza mną, uczestniczyli: Ryszard Błeszyński, mój brat cioteczny, Dariusz Ptaszyński, kuzyn z ul. Wspólnej nr 59 i mistrz świata w zapasach, Aleksander Garkowienko. Nagle huk! Ogłuchliśmy. Zrobiło się ciemno. A było słoneczne popołudnie. Bliżej nieokreślony czas, nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Gdy się ocknąłem, poczułem, że jestem oblepiony czymś ciepłym i lepkim. Zawołałem, nie słysząc własnego głosu: Rysiek! Darek! Żyjecie? Rysiek wstaje i wygląda na żywego, Darek też, podnosi się i pada. Okazało się, że ma urwaną nogę poniżej kolana. A Garkowienko? Leży rozerwany na strzępy. To, co było ciepłe i lepkie, to były jego wnętrzności".

Był 16 września 1944 r., trwało powstanie warszawskie.

– Zginął kiepsko – opowiada mi Tadeusz Goldmann, powstaniec, świadek śmierci sportowca. – Miałem jego krew na sobie. Przed bramą, na środku jezdni ul. Koszykowej, wybuchł ważący 2500 kg pocisk wystrzelony z niemieckiego moździerza. Zawaliły się obie frontowe, czteropiętrowe oficyny, po obu stronach ulicy. Stojąc w bramie jednej z nich, cudem uniknąłem śmierci. I tak stałem się świadkiem śmierci tego wspaniałego zapaśnika. Człowieka, którego uwielbiali wszyscy, w tym dzieci, z którymi chętnie rozmawiał, a do tego pokazywał im przeróżne sztuczki, łącznie z chodzeniem na rękach".

Garkowienko nie brał czynnego udziału w powstańczych walkach. Na stronie Muzeum Powstania Warszawskiego opisany jest jako ofiara cywilna. Był za to wspominany jako człowiek, który z zapałem brał udział w budowaniu barykad.

– Każdy po jednej płycie brał na barykadę, a on po trzy czy cztery nosił – wspomina Witalis Hoppe, uczestnik powstania i świadek zdarzeń. Swoją olbrzymią siłę wykorzystywał albo do budowy umocnień, albo wydobywania ludzi spod gruzów. Kiedyś pomogła mu Polska, więc się rewanżował.

Pomagał też w inny sposób. – To był bardzo przyzwoity człowiek, wspierał nas, czymkolwiek mógł, głównie żywnością. Jemu się powodziło lepiej niż nam, dlatego że Ukraińcy u Niemców mieli dobrze. Mieli kartki do niemieckich sklepów specjalnych Meinla i tak dalej. Ale on był zaprzyjaźniony z moim wujostwem i co mógł, to im z tej żywności dawał – mówi Tadeusz Goldmann.

Część Polaków miała mu za złe, że zdeklarował się jako Ukrainiec, a nie Polak.

W opinii Goldmanna Garkowienko zrobił to celowo. – Znał realia, wiedział, że dostanie więcej, do tego lepszego jedzenia. I że będzie się nim mógł podzielić.

Czy mały Aleksander uważał się za Polaka czy Ukraińca? Nie wiadomo. Na pewno dorosły Aleksander nie uważał się za Rosjanina. Zaprotestował, gdy praska gazeta nazwała go „rosyjskim mistrzem"

MIŁY, CIEPŁY, WESOŁY

We wspomnieniach powstańców (m.in. na stronach Muzeum Powstania Warszawskiego), Garkowienko przedstawiany jest jako człowiek „niezwykle wesoły", „miły i ciepły" i „zawsze służący pomocą".

Niewiele wiadomo o jego życiu prywatnym. Wiemy, że uczył się w szkole realnej w Nowoczerkasku oraz że rozpoczął studia na Politechnice Kijowskiej, których nie ukończył ze względu na treningi i występy. W jednej z ukraińskiej gazet przeczytałem, że „był żonaty z kobietą o imieniu Ada". Informację, że miał żonę, podaje też „Mała encyklopedia polskiego zapaśnictwa", wskazując jako źródło pozycję „Piotr Godlewski. Zarys dziejów polskiego zapaśnictwa" z 1994 r. W sieci znaleźć można zdjęcie zapaśnika: pręży się na nim w samych slipach na plaży z uśmiechniętą kobietą w jednoczęściowym stroju i czepku z kokardą. Czy to jest owa Ada?

Tadeusz Goldmann przekonuje, że atleta był kawalerem, a w domu przy Koszykowej mieszkał sam. – U pani Puszonowej wynajmował kilka pokoi. Mieszkał sam, o jego przyjaciołach nic nie wiem, w czasie powstania raczej nikt go nie odwiedzał, ale proszę pamiętać, że miałem wtedy tylko 12 lat – podkreśla.

W jednej z ukraińskich gazet przeczytałem, że Garkowienko miał, „jasne, błękitne" i „śmiejące się oczy". Historyk Piotr Banasiak z warszawskiego Muzeum Sportu i Turystyki, autor podkastu o Garowience, zwraca uwagę, że jego mama, z domu Rudecka, zmarła dopiero w latach 50. Być może więc żyją w Warszawie jeszcze jej krewni i mogliby opowiedzieć o słynnym atlecie. Banasiak powiedział mi też, że grób zapaśnika na Powązkach jest stale sprzątany. Kto to robi? Banasiak od wielu lat zostawia na cmentarzu karteczki z prośbą o ewentualny kontakt. Do tej pory cisza. ●

eprasa.pl 72aacc3640

weekendówka 121

Z UŚMIECHEM!

Wszystko zaczęło się przeszło 50 lat temu, kiedy pisarka Wanda Chotomska, autorka niezliczonych publikacji dla dzieci i młodzieży, odwiedziła małych pacjentów w szpitalu rehabilitacyjnym w podwarszawskim Konstancinie. W trakcie rozmowy pewien chłopiec oznajmił, że jego zdaniem Jacuś zasługuje na medal.

Jaki Jacuś? Otóż Chotomska, wśród mnogości swych dzieł literackich, tworzyła także historyjki o Agatce i Jacusiu, uwielbianych przez dzieci bohaterów telewizyjnych „Dobranocek". Ów chłopiec upierał się wprawdzie, że na medal zasłużył jeno Jacuś, ale Chotomska o rozmowie nie zapomniała, i wspomniała o niej w wywiadzie dla „Kuriera Porannego", który ukazał się w październiku w 1967 roku, z okazji 5. rocznicy pojawienia się Jacka i Agatki na ekranach telewizorów.

Medalową ideę podchwyciła rozmówczyni pani Wandy, dziennikarka „Kuriera" Zofia Zdanowska, podzieliła się przemyśleniami z kierownikiem działu łączności z czytelnikami, Włodzimierzem Karwanem. On uznał, że powinno powstać odznaczenie wręczane przez dzieci.

Skoro to miał być order dla dzieci, absolutnie słusznie uznano, że to one powinny decydować nie tylko o tym, komu odznaczenie przyznawać, ale i jak powinno wyglądać. Dlatego Jacuś i Agatka w „Dobranocce" ogłosili, że taki order jest w planach, i że jeśli jakiemuś dziecku się ten zamysł podoba, niech napisze do redakcji „Kuriera", a nawet narysuje projekt tego orderu.

Wszyscy byli za. Tzn. wszystkie dzieci, które wysłały listy, ale jako że było ich 44 tys., można uznać, że pomysł przyjęto przez aklamację. Zwycięską pracę wybrało jury pod przewodnictwem znanego rysownika Szymona Kobylińskiego, a autorką projektu Orderu Uśmiechu – bo o nim rzecz jasna jest mowa – okazała się 9-letnia Ewa Chrobak. Twórczyni w 1998 r. weszła w skład Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu, zaproszona przez Cezarego Leżeńskiego, wiceprzewodniczącego, a potem przewodniczącego Kapituły Orderu, a następnie Kanclerz odnowionej w 1992 r. Kapituły.

Pierwszym kawalerem odznaczenia z roześmianym słońcem został znany chirurg ortopeda prof. dr Wiktor Dega. To on pioniersko pasowany został różą, a potem musiał wypić sok z cytryny, a spełniwszy toast – uśmiechnąć się.

Do dziś Order Uśmiechu dzieci przyznały około 900 osobom, wśród nich są m.in. Jan Paweł II, Dalajlama XIV, Tove Jansson, Anna Dymna, Jerzy Stuhr, Astrid Lindgren, Majka Jeżowska, Oprah Winfrey, Irena Santor, Adam Słodowy, Marek Kotański, Robert Lewandowski czy Marcin Gortat.

Od 1979 r. Order ma rangę międzynarodową, nadaną przez Organizację Narodów Zjednoczonych. Kapituła zaś, też międzynarodowa, w 2003 r. ogłosiła 21 września Światowym Dniem Orderu Uśmiechu. Więcej ciekawostek znajdziecie Państwo na stronie http://orderusmiechu.pl, a z okazji tego wyjątkowego dnia zapraszamy do uśmiechniętej „Weekendówki". Rzecz jasna, z uśmiechem!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

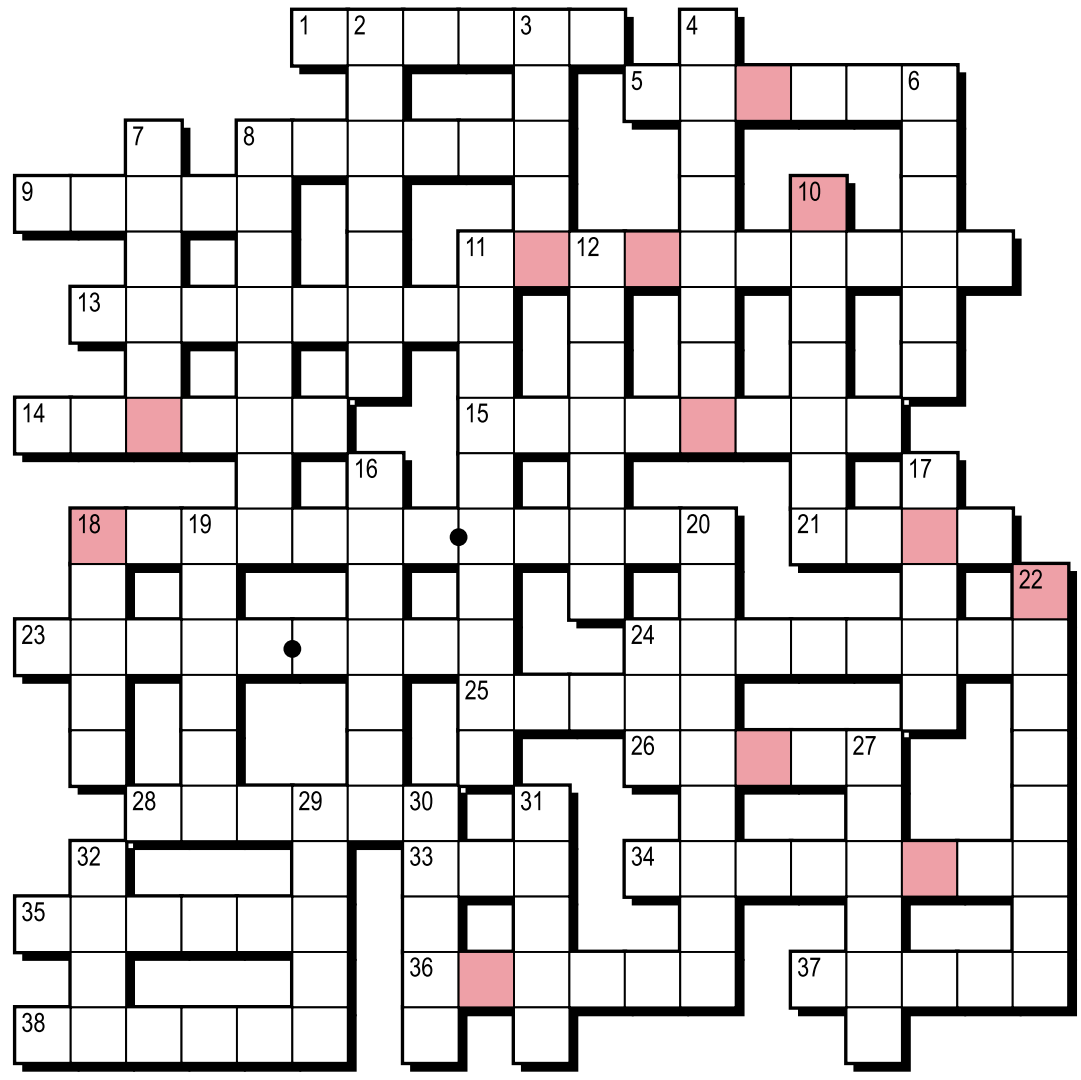

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 120 z 14.09:

Poziomo: 5) Napoleon 7) escape-room 11) Krajewski 12) Savalas 13) zwianie 14) Brody 16) Herbert 19) Zaorski 21) Dolas 24) Steve 25) King 27) Mahomet 28) klawisz 30) Mickiewicz 32) Jan Serce 33) film 35) meta 36) Munro 37) status 38) czas 39) Mazowsze

Pionowo: 1) Elmer Bernstein 2) wojsko 3) Żagań 4) pościg 6) planeta 8) Shawshank 9) Ryszard 10) mity 11) kino 15) zbiegowie 17) Tomasz 18) Gajos 20) krew 22) reakcja 23) serial 26) Irlandia 29) szczury 31) wiersze 32) jeńcy 33) Fromm 34) Metro

HASŁO:
C.K. DEZERTERZY

UŚMIECH, PROSZĘ!
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
1) malują się na twarzy, wyrażane uśmiechem, grymasem
5) antonim radości
8) Duduś i ..., chłopcy z powieści Adama Bahdaja „Podróż za jeden uśmiech"
9) na twarzy Pippi, mieszkanki Willi Śmiesznotki
11) poznać głupiego po śmiechu jego
13) Kot z ..., stopniowo znikał, a na samym końcu zostawał jego uśmiech („Alicja w Krainie Czarów")
14) ... Marianowicz, autor zbioru humorystycznej poezji „Uśmiech bez kota"
15) imię malarza kojarzonego z najbardziej zagadkowym uśmiechem świata
18) grupa z Andrzejem Mierzejewskim w składzie i angielskim uśmiechem w nazwie
21) niekontrolowany ... śmiechu, czyli głupawka
23) nurt muzyczny bliski np. miłośnikom piosenki „Uśmiechnij się" grupy Maxel
24) osobniki pozbawione poczucia humoru
25) „... Młodych", gazeta z kącikiem „Uśmiech numeru"
26) „... dla ciebie", w repertuarze Urszuli („Dla ciebie uśmiech anioła mam")
28) anegdotka, dykteryjka, figielek
33) „... do radości" Fryderyka Schillera
34) w pracy często wypowiada frazę „Uśmiech, proszę!"
35) Anna, nagrała piosenkę „Za każdy uśmiech"
36) dowcipy
37) imię Żurka z kabaretu Neo-Nówka
38) wywołuje uśmiech na twarzach przedszkolaków

Pionowo:
2) ... Griffith, amerykańska aktorka („Uśmiech", „Pracująca dziewczyna")
3) postać z uniwersum Batmana, o demonicznym uśmiechu
4) mewa, że boki zrywać!
6) zabawność sytuacji, osoby
7) rubaszny śmiech
8) „Jej uśmiech" Czerwonych Gitar albo „Uśmiech to lekarstwo" Eleni
10) taki film, że całe kino trzęsie brzuchami
11) cecha śmiechu
12) śmiech to ...
16) dawniej o błaznach, trefnisiach
17) ... na twarzy, potocznie o uśmiechu od ucha do ucha (owoc)
18) złośliwe żarty, szyderstwa
19) ... śmiechu, atrakcja w wesołym miasteczku
20) internetowe buźki do wyrażania uczuć
22) w ręku stand-upera
24) śmiech z piosenki Iwony Niedzielskiej do słów Agnieszki Osieckiej („Niech ... otrze mi z oczu łzy")
27) paszczą – w komedii „Rejs"
29) Regelinda (nazywana Uśmiechniętą Polką) dla Bolesława Chrobrego
30) dolegliwość, którą może wywołać długotrwały śmiech
31) śmiechu lub armatnia
32) śmiech na ..., o dziwacznej, irytującej sytuacji (wpisujemy w mianowniku)

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34310976

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ
Rozwiązuj gdzie chcesz i kiedy chcesz
Pobierz w App Store
POBIERZ Z Google Play

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację

1 RP

eprasa.pl 72aacc3640